

TOM CCXXXIX

SERYA 8

De II d.

ROK 60

ZESZYT 712

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

SIERPIEŃ.

1900.

TOM III.—ZESZYT 2.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka № 14.

—
1900.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. ELEKCJA AUGUSTA III, — przez Szymona Aske- nazego	197
II. PRZEKONANA. Powieść, — przez Al. Suszczyńską (c. d.)	216
III. SZUJSKI JAKO POETA, — przez St. Tarnowskiego	342
IV. ECHA Z WIELKIEGO BAZARU. (Wrażenia i notatki). II. Sztu- ka, — przez Antoniego Potockiego.	287
V. GARCZYŃSKI I KRASIŃSKI. Szkic literacki, — przez Ta- deusza Piniego	312
IV. NOWE POSZUKIWANIA NAD INTELLIGENCYĄ PSZUCOŁ I MRÓWEK, — przez profesora d-ra J. Nus- bauma	335
VII. W DALEKOŚĆ. — OTWÓRZ, JANKU! (wiersze), — przez Edmę Mierz. ,	349
VIII. PIŚMIENICTWO. „Prace filologiczne“, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza i A. A. Krzyńskiego. Tom V, zeszyt 3. Warszawa, 1899 (str. 681 — 1,033);—Antoni Kra- snowolski: „Słowniczek frazeologiczny“. Poradnik dla piszących. Wydanie z zapomogi Kasy im. Miano- wskiego. Warszawa, 1900;—przez Romana Za- wilińskiego	354
Dr Zofia Daszyńska Golińska: „Własność rolna w Galicyi“. Studium statystyczno-społeczne. Warszawa, 1900, w 8-cc, str. 95 i dwie mapki, — przez d-ra Zygmunta Gargasę	360
X. KRONIKA MIESIĘCZNA. Pogotowie ratunkowe i ratownictwo na kolejach żelaznych.—Pol- skie słownictwo techniczne.—Konkurs z ofiary p. Wa- welberga.—Brak kapłanów i przyczyny tego zjawiska. —Kolporterzy nieletni.—Sezon martwy w Warszawie i w prasie warszawskiej. — Wycieczki po kraju	362
X. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE	377



De. II. 1.

Elekcya Augusta III.

Śmierć Augusta II raptem przerywała rozpoczęte zaledwo czynności sejmowe, zatrzymywała nagle zwyczajne obroty maszyny publicznej, i z prawa wtrącała naród i państwo w ten przejściowy, gwałtowny i niebezpieczny stan peryodycznej choroby, gorączki i przesilenia, jaki w życiu politycznem Rzpltej tworzyło bezkrólewie.

Zmarły król przez lat kilkadziesiąt był przewidywał i przygotowywał tę krytyczną chwilę przejściową. I w ostatecznym wyniku, schodząc teraz ze świata, niczego nie przewidział, niczego nie przygotował, wszystko zostawił na lasce przypadku i fortuny. Umierał, nietylko nic, prócz złego, nie zrobiwszy dla swojej dziedzicznej Saksonii, ani dla swojej dożywotniej Rzpltej, ale także nic nie zrobiwszy dla swojego syna i następcy, nowego elektora i kandydata do korony polskiej. Tym synem i następcą był August III. Nie pierwszej już młodości, dobiegał on obecnie czwartego krzyżyka. Słusznego wzrostu, okazałej tuszy, dobrze zbudowany, pięknej jeszcze i fo-

remnej twarzy, już przecie zanadto opasły i ociążały, imponował zdaleka powolną powagą ruchów i mowy, wyniosłą pańskością obejścia. Zresztą, budził szacunek wzorowym porządkiem rodzinnego pożycia, szczerością przekonań religijnych, wrodzonym wysokiem pojęciem swojej godności monarszej, wrodzonym wstrętem dla haniebnych, prywatnych i publicznych, praktyk ojcowskich. Wszakże, przy bliższem wejrzeniu, ujawniał oraz braki kardynalne, niezmiernie w panującym dotkliwie, a nieraz najszkodliwsze, nawet najniebezpieczniejsze. Ujawniał zupełną nieznajomość spraw rządzenia, zarówno domowych, jak europejskich, zarówno w zakresie administracyi, jak i wielkiej polityki, zupełny brak własnego w tych sprawach poglądu, systemu, wyrobienia, a stąd i wewnętrzny brak pewności siebie i rzeczywistego autorytetu, zupełną nicość samodzielnej inicjatywy osobistej, a stąd i wewnętrzną nieporadność i nieśmiałość, które napróżno osłaniał nieprzystępnemi pozorami majestatu, ceremonialnym chłodem, małowólną szorstkością, albo głośnym, nienaturalnym śmiechem. Zamiast burzliwej, nie cofającej się nawet przed zbrodnią, ambicyi ojcowskiej, miał nie tak namiętne i gwałtowne, ale też bardziej puste i bezpłodne zachcenia próżności i dumy; a że w dodatku, zamiast ojcowskiej myśli lotnej i sprawnej, miał głowę dosyć tępą i leniwą, zamiast ojcowskiej przenikliwości i sprytu, zdanie powierzchowne i krótkowidzące, dziwnie był łatwowiernym i nic nie znalazł się na ludziach, więc do najważniejszych i zasadniczych zagadnień swojej polityki wprowadzał, większą jeszcze, niż za ojca, zmienność i dowolność, najchętniej składając z siebie kierownictwo i nawet nadzór naczelny, a zdając wszystko na niezdarnych i niegodnych ministrów i ulubieńców. Obecnie, w okresie otwierającego się bezkrólewia, liczył jeszcze przy swoim boku kilku starszych i wytrawniejszych pomocników, Sasów i Polaków, z gabinetu i rady ojca; to też w tej jedynej potrzebie miał objawić istotnie wyjątkową ruchliwość, energię i rozwagę: później za to, całkiem wzięty w pęta Sułkowskich i Brühlów, coraz głębiej będzie zapadał w senną, nieruchomą apatyę i bezwładność. Sam, przy objęciu rządów, dojrzały w lata, zgola pozostał surowym pod względem doświadczenia politycznego. Raz tylko, przed siedmiu laty, miał sposobność, jako elektorowicz, albo raczej jako królewicz, dotknąć się polityki, a mianowicie, sprawy kurońskiej, wciągnięty tutaj przez brata przyrodniego, Maurycego Saskiego, którego wtedy, bezskutecznie zresztą, popierał w staraniach o następstwo w Kurlandyi. Z wyjątkiem tej jednej, przygodnej i niefortunnej próby, do niczego nie był się wtrącał. Stary król, do czułości rodzicielskich nieskłony, nie wiele zajmował się synem i nie wtajemniczał go w arkana swojej dyplomacyi; zaś stary Fleming, któ-

ry nie znośił królewicza i od niego też mocno był nielubiany, starannie oddalał go od głównych interesów publicznych, nawet od saskich, cóż dopiero od polskich. W Polsce elektorowicz - successor saski, a królewicz-kandydat polski, był prawie zupełnie nieznanym. W młodości przesiadywał długi czas w dalekich Włoszech, potem trzymany przez ojca w Wiedniu i Dreźnie, zrzadka tylko i przelotem sprowadzany bywał do Warszawy. Nie pamiętał też bynajmniej i o tem ojciec, aby syna, któremu po sobie przeznaczał koronę polską, nauczyć języka swoich poddanych. Wprawdzie i Batory, i Zygmunt III, nie mówili po polsku. Ale jeden przynajmniej trochę po polsku rozumiał, drugi przynajmniej syna nauczył po polsku, a obadwaj jeszcze niezgorzej, na one czasy, radzili sobie dobrą łaciną, obadwaj zresztą nie byli przecie sami od kolebki chowani na królów polskich. August III, od kolebki, od urodzenia predestynowany kandydat do korony polskiej, przez całe życie nie wymówił, ani zrozumiał jednego polskiego słowa, a w dodatku najlichszy w świecie łacinnik, przez całe panowanie pozostał głuchym i niemym dla swojego narodu. Była to okoliczność niemałego w swych skutkach znaczenia. Czyniła ona faktycznie niepodobieństwem wszelką rzeczywistą styczność, wszelkie głębsze zjednoczenie wewnętrzne pomiędzy poddanymi a królem. Wyradzał się stąd, tak samo w dziedzinie wielkich spraw publicznych, jak i najmniejszych prywatnych, cały szereg nieuniknionych rozdzźwięków i nieporozumień, których mnogie i skandaliczne przykłady zachowały się w tradycyi, w rodzaju owego osławionego wypadku z polską skargą pocziwego niepołomickiego szlachcica na Mniszcha, czelnie przez tegoż Mniszcha wytłómaczoną po niemiecku wprost naopak. w żywe oczy Augustowi III i w przytomności niefortunnego petenta, nierozumiejących się nawzajem i jednocześnie okłamanych przez nieuczciwego tłumacza. Wśród takich warunków, na nie nie zdała się przyrodzona ludzkość monarchy, jego rzetelne poczucie sprawiedliwości, jego dobre i uczynne chęci, które niejednokrotnie jasno spostrzegać w nim można, a które przecie nigdy nie mogły dotrzeć do właściwego swego przeznaczenia, łatwo chwytane i konfiskowane po drodze przez interesowanych i oszukańczych pośredników pomiędzy nim a narodem. Była w tem oczywiście wina ojca, a nietylko pod tym jednym względem szczególnym, iż zaniedbał dla syna niezbędnej nauki polszczyzny. Była większa oraz wina Augusta II pod tym jeszcze ogólniejszym i najważniejszym względem, iż w samej zasadzie, zaraz po pierwszych nieudanych próbach oparcia się na szlachcie litewskiej przeciw Sapiehom, zwłaszcza zaś po ostatnich zawodach tarnogrodzkich, wolał porzucić na wygodniejszych stosunkach z samą jeno magnateryą, wolał rachować się wyłącznie z oligarchią, a tem samem postawił koro-

nę w niedostępnem oddaleniu od niezliczonych mas szlacheckich, i pozabawił ją bezpośredniego zetknięcia z powszechnością szlacheckiego narodu. Obecnie, w krytycznym okresie bezkrólewia, ten niezdrowy systemat ojcowski miał najniepomyślniej odbić się na synowskich staraniach elekcyjnych. Odczuł to natychmiast i wyraził trafnie dyplomata saski, sprawujący podczas tego bezkrólewia interesa elektorskie w Warszawie. Wielki to był błąd — pisze rozumny Sas, wśród swoich kłopotów warszawskich, do Augusta III, — „że chwalebnej pamięci nieboszczyk król nie okazywał dosyć życzliwości dla szlachty. Korzystając z tego magnaci, sami jednali sobie młodszych braci i posługiwali się nimi, aby krzyżować zamysły dworu. Widywano ciągle przedpokoje możnych panów napelnione szlachtą, zaś przedpokoje królewskie niemal próżne, przynajmniej co się tyczy stanu rycerskiego. Przekonała się dowodnie szlachta, że jedynie przy poparciu magnaterii dojść może do urzędów... Dobrze-by było, abyś W. K. M. w przyszłości, każdego dnia galowego i recepcyjnego, raczył choć przez pół godziny pokazywać się w przedpokojach, zapytać, kto jest ten, lub ów szlachcic, przemówić do nich słowo, lub dwa. Szlachta widziała-by stąd, iż W. K. M. pragniesz poznać ich osobiście, co by ich wprawilo w zachwyt, gdyż dotychczas żyją w tym przesądzie, że król nieboszczyk znał samych tylko senatorów... Skoro zaś stan rycerski ujrzy siebie tak wyróżnionym przez W. K. M., nie omieszka on uciekać się pod Twoją opiekę, ilekroć możnowładcy zechcą nadużywać swoich wpływów, ażeby uczynić go powolnem narzędziem swojej ambicji. Nie ulega bowiem wątpliwości, że bynajmniej nie zawsze wojewodowie, kasztelanowie i senatorowie miewają najwięcej wziętości po województwach, lecz częstokroć podkomorzy, sędzia, chorąży, lub bodaj prosty szlachcic zaściankowy, cieszy się większą powagą, niż dygnitarska głowa województwa. Skąd oczywisty wypływa wniosek, iż król polski, ażeby panować ze spokojem i należnym autorytetem, nie może uchylać się od osobistego poznania ludzi zasłużonych i popularnych pomiędzy szlachtą, gdyż takim dopiero sposobem będzie mógł wielkich przez małych, małych zaś przez wielkich wzajemnie trzymać na wodzy“. Mądre i proste były te rady, ale wcześniej, dużo wcześniej, trzeba było uczynić z nich stałą zasadę kierowniczą, i w codziennym stosować je czynnie. Obecnie, już po otwarciu bezkrólewia, przychodziły one zapóźno. Obecnie, w dobie przesilenia, ujawniała się widomie szeroka przepaść, istniejąca pomiędzy koroną a narodem, której wypełnić naprędce przez zabiegi elekcyjne nie było sposobu. Rządy bezkrólewia leżały w ręku oligarchii polskiej; jego losy ostateczne leżały w ręku mocarstw europejskich.

Wypada teraz, chociażby przelotnie, chociażby na kilku tylko główniejszych zatrzymując się postaciach, rozejrzeć się po onej nie-licznej, a potężnej rzeszy oligarchicznej, dzierżącej w tym momencie ster rządów osieroconej Rzpltej. Na samem czele, z dostojenstwa i nazwiska na stopniu najwyższym, z prawa i zwyczaju urzędowa głowa Rzpltej podczas bezkrólewia, stał prymas-międzykról, Teodor Potocki. Stary już człowiek, właśnie w kilka dni po śmierci królewskiej siedemdziesięcioletnie obchodził urodziny, a trapiiony nadto ciężką chorobą kamienia, stał prawie nad grobem. Jednak, w ciele sędziwym i osłabionem nosił charakter, a raczej upór, niengięty, wielkie, nieraz podniosłe pojęcie godności prymacyalnej i narodowej, przytem ogniste, jak w młodzieńcu, porywy ambicyi i nienawiści osobistej i rodzinnej. W dziwnem połączeniu wcielały się w jego postaci niektóre przyrodzone samozachowawcze instynkta narodowe, i zarazem wszystkie rozkładowe instynkta oligarchiczne. Otoczony potrójną powagą dostojenstwa, imienia i wieku, był przecie w gruncie rzeczy dużo mniejszą siłą, dużo mniej jednolitym i samodzielny, niż na pozór mogło się wydawać, rozerwany i niewyraźny w swoich planach, zmienny i dwuznaczny w sposobach, łatwo dający ucho i wiarę oblegającym go klientom i pochlebcom duchownego i świeckiego stanu, a najłatwiej własnym krewnym i powinowatym. Posiadał doświadczenie i dwulicowość przeciętnego dyplomaty swoich czasów, posiadał także mocną wolę, w razie potrzeby zdolnym był do narażenia siebie, nawet do poświęcenia, ale z tem wszystkiem, zawsze i wszędzie nasamprzód naczelnik rodu i magnat, potem dopiero naczelnik kościoła narodowego, mąż stanu i obywatel, przytem umysłu miernego, niewielkiego ukształcenia, zasklepiony w ciasnym widnokregu dążeń i względów stronnicych, familijnych, lub po prostu osobistych, nie umiał on nigdy wznieść się do wyższej, kierowniczej koncepcyi politycznej, rozświeconej obszerną świadomością powszechnego położenia i uszlachetnionej czystem dobra publicznego pragnieniem. Górowała w nim nadewszystko duma przysłowiowa Potockich, nieodstępna myśl przewodnia wyniesienia swojego domu do wszechwładzy w Rzpltej, nienublagana niechęć dla wszelkich innych wewnątrz Rzpltej potęg, zdolnych do rywalizacyi z tym własnym jego domem, a więc zarówno nienublagana dla innych domów możnowładczych, jako też dla samego nawet domu królewskiego. Królewskiemu domowi saskiemu wiele zawdzięczał prymas i niegdyś do najpierwszych jego stronników i sług się zaliczał. Przez Augusta II wyniesiony był na-przód na pierwsze swoje biskupstwo, potem na stolicę prymasowską. Ale do obowiązków wdzięczności nie poczuwał się zgoła. Wziął, co mu dano, jako rzecz sobie przynależną. Skoro zaś ujrzał króla, dobija-

jącego się samodzielności, a nawet samowładztwa, skoro zwłaszcza ujrzał wykonywane nienawistne rady Flemingowe, wysuwanych na czoło *homines novos*, przesuwany środek ciężkości oligarchicznej w państwie, tworzoną nową przeciwwagę, nowe groźne współzawodnictwo możnowładcze, oparte o stopnie tronu, wtedy bez namysłu zerwał z monarchą i objął przewodnictwo nad opozycją przeciw dworowi, przeciw całej, wewnętrznej i zagranicznej, polityce dworskiej. Co go oburzało i niepokoilo najwięcej, czego żadną miarą ścierpieć nie mógł, i co za wszelką cenę złamać postanowił, to był nagły wzrost Familii Czartoryskich i parweniusza Poniatowskiego. Wtedy-to, w ostatnich latach Augusta II, prymas Rzpltej pierwszy zwrócił się po pomoc przeciw swojemu królowi do mocarstw cudzoziemskich, do odleglejszych protektorów, a zarazem i do sąsiadów najbliższych. Nawiązał wtedy potajemne stosunki z Francją, w celu niedopuszczenia sukcesyi saskiej i zapewnienia następstwa tronu Leszczyńskiemu. I prawie równocześnie wtedy był nawiązał potajemne knowania z Roscją i Austrią. Wprawdzie z Roscją stare miał rachunki prymas, który niegdyś, w najmłodszym dzieciństwie tam był przebywał w niewoli, zaś niebawem, przed samą śmiercią, uprowadzony będzie niewolnikiem do obozu Münnicha; ale to nie przeszkadzało mu tymczasem spiskować tajemnie z ambasadą rosyjską w Warszawie. Co się zaś tyczy najściślejszych jego stosunków z ambasadą austriacką, to dla wyjaśnienia dodatkowo odkryć musimy tę przykrą okoliczność, iż dumny magnat - prymas nie gardził cesarskimi pieniędzmi i oddawna pobierał stałą pensję roczną z Wiednia od Karola VI. Dwulicową tę swoją negocyacyę, z jednej strony z Francją, z drugiej -- z Roscją i Austrią, prowadził równolegle, z niemalą zręcznością, aż do samej śmierci królewskiej. Wszakże obecnie, z chwilą otwarcia bezkrólewia, trzeba było nareszcie zrzucić maskę, trzeba było zdeklarować się wyraźnie i nieodwłocznie, gdyż wypadło w jedną albo w drugą stronę pełnąć opinię publiczną Rzpltej. Prymas bez wahania zdeklarował się przeciw Sasowi, niemającemu jeszcze zresztą bynajmniej zapewnionego w tej chwili rosyjsko-austriackiego poparcia, i oświadczył się stanowczo za kandydaturą francuską Leszczyńskiego. Blisko z Leszczyńskim spowinowacony, znał go doskonale i do głębi przeniknął; to też więcej, niż na powinowactwie, polegał na znajomości duszy króla Stanisława; wymarzonego widział w nim króla, gdyż widział zupełną jego nicość, rozumiał, iż za niego będzie rządził, iż w jego osobie wyniesie na tron kreaturę swoją i swojego domu, przybraną w fikcyjne szaty majestatu, a przeznaczoną do tego tylko, aby służyć interesom i wypełniać wolę Potockich. W tym-to kierunku, wskazanym przez głowę rodu, zwartą lawą ruszyli inni Potocy. Drugie

miejsce wśród nich, po prymasie, zajmował młodszy od niego, a w swoim zakresie również niezmiernie wpływowy, wojewoda kijowski, Józef Potocki. Mała, smagła figurka, słabej i zależnej głowy, pomysłowości i inicjatywy żadnej, trwożliwy i mściwy, obsługiwany a nielubiany od szlachty, najbogatszy pan w Rzpltej, niegdy stronnik Szwedów, hetman w. k. *in partibus infidelium*, dopominający się zwrotu wielkiej buławy, otrzymanej niegdyś od Stanisława, odebranej przez Augusta, a do której odtąd, naprzód we Flemingu, potem w Poniato-wskim, nienawistnych miał współzawodników, tem większą z tego tytułu niechęcią i żalem osobistym zapalony do dworu saskiego i wszystkiej partyi dworskiej, reprezentował on w rodzie potęgę materyalną, obok moralnej prymasa, podobny do niego z dumy i wyłączności rodowej, a bez jego uporu, zręczności, ani imponującej powagi, przez niego zazwyczaj kierowany, wyslizgując się przecie nieraz z pod jego wpływu i jego krzyżując intencye, aby uleść z kolei wpływowi małżonki, urodzonej Mniszchówny, kobiety energicznej i ambitnej, która wyższe w mężu rozbudzała pożądanja, nie do samej tylko buławy hetmańskiej, lecz wprost do królewskiej zmierzające purpury. Trzecim był Antoni Potocki, wojewoda bełski, synowiec prymasa, wielki jego ulubieniec, stąd znacznego w całej rodzinie zachowania i głosu, urzędowy dyplomata rodziny, jak tamci dwaj urzędownie byli jej głową i podporą, nietylko otrzaskany doskonale z całą płataniną matactw stronnicych wewnątrz Rzpltej, lecz potrosze także z tokiem intryg gabinetów europejskich, władający francuszczyzną jak rodowitym językiem, umiejący również wysłowić się i wypisać w mowie niemieckiej i rossyjskiej, częsty podróżnik po obcych stolicach i dworach, znajomy i korrespondent obcych ministrów i nawet monarchów, uważany powszechnie w kraju, a zwłaszcza w kole swoich najbliższych, za znakomitego mówcę, za świadomego, misternego i niezglębionego statystę, istotnie bardzo sprytny, oglądzony i przedsiębiorczy, ale nieporządny, niepewny, niejasny, okazowy, jak wtedy mawiano, *brouillon* polityczny, ni to warchoł, ni dylettant, ni awanturnik na własną rękę, bez określonych celów wytycznych, bez żadnych zgoda zasad, i, co praktycznie najgorsza, bez dostatecznej, jak na swoje imię i stanowisko, podstawy materyalnej, w ciągłych kłopotach, a więc i w ciągłych kombinacyach czysto pieniężnych, podobny z tego względu do rodzonego swego wnuka - finansisty, rozgłośnego Prota, prostszy tylko od niego w finansowych swoich sposobach, po prostu płatny od wszystkich niemal dworów cudzoziemskich, biorący pieniądze saskie, rossyjskie, francuskie, austriackie, pod koniec zwłaszcza pruskie, aż też pod koniec zejdzie na stałego sługę Fryderyka Wielkiego, na zwyczajnego agenta pruskiego w Polsce. Obecnie, w dobie,

o której mowa, jeszcze od Prus oddalony, tem ściślejsze stosunki utrzymywał z Rosyją, wyjątkowe stosunki zażyłości i pokrewieństwa, gdyż przez matkę, urodzoną Sałtykową, ciotkę Anny Iwanówny, był kuzynem carowej panującej; i z tego głównie tytułu wyprawiony do niej niedawno od Augusta II w najdwuznaczniejszej misji popierania jakoby kandydatury polskiej Leszczyńskiego przy dworze rosyjskim, przez półtora roku w charakterze posła królewskiego bawił w Moskwie i w Petersburgu, w towarzystwie całej, sprowadzonej ze sobą z Warszawy trupy teatralnej, forytując tutaj pozornie interesa królewskie, w rzeczywistości forytując swoje własne i ładnej aktorki warszawskiej, donny Ludwiki, i póty intrygując na prawo i na lewo, póki nareszcie, wdawszy się nierozważnie w niebezpieczne konszachty ze swoimi krewnymi z partyi starorosyjskiej, z Dołgorukimi, Jagużyńskim, Rumiancowem, i nawet z doczekującą się swojej kolei pretendentką, Elżbietą Piotrówną, nie obudził czujności wszechwiedzącego Ostermanna, ściągnął pomstę wszechwładnych Niemców, omal zaraz na miejscu karku nie skręcił, i jeszcze szczęśliwie, z całą głową, wyleciał, jak z procy, z powrotem do Warszawy. Jednak, pomimo tej świeżej i nieprzyjemnej przygody, zachował znaczne wpływy rosyjskie, zachował affekt i łaskę kuzynowską carowej, tak dalece, iż tedy-to, ze Wschodu, w pierwszych dniach bezkrólewia, miała wypłynąć na krótką chwilę własna jego kandydatura do korony polskiej. Obok tych trzech: Teodora, Józefa i Antoniego, wszyscy inni pomniejsi ich imiennicy, jak Michał, wojewoda wołyński, skrzętny zbieracz i kłótlivy procesowicz, albo Franciszek, starosta bełski, ruchliwy działacz sejmikowy, bardzo przystępny i zaraz też zyskany od Sasów, jeszcze zupełnie podrzędną odgrywali rolę i jak najmniej wchodzili w rachubę: w osobie tamtych trzech przewodników wcielała się naonczas istotna treść i kierunek oligarchii domu Potockich.

Z odrębną i wyjątkową potęgą tego domu nie mógł równać się w owej chwili żaden inny w Rzpltej. Wszystkie inne, najpierwsze dotychczas, domy możnowładcze silnie były zachwiane politycznie i podkopane materialnie skutkiem długotrwałych i gwałtownych przewrotów domowych i wojennych ostatniej doby. Sapiehowie, niedawno wszechmocni, trzęsący Rzpltą, najciężej ucierpieli za panowania Augusta II. Pamiętni na krwawą rozprawę olkiennicką, kiedy jednego ze swoich widzieli zarąbanego przez rozjuszoną szlachtę, pamiętni na fatalne skutki niszczącej wojny północnej i oplakanej szwedzkiej protekcyi, upokorzeni i upadli na duchu, zrujnowani na wpływie i na majątku, teraz woleli siedzieć cicho, zabezpieczając się na wszelkie strony i, jak ognia, wszelkiej ryzykownej unikając imprezy. Dwie obecnie były głowy tego rodu: podskarbi nadworny I., Józef-Franci-

szek, słaby zdrowiem, niemłody, niebogaty, gospodarny, szanowany od szlachty, chwalony nawet od agentów saskich; i jego brat, starosta merecki, Antoni - Kazimierz, prosty człowiek, ale znaczny i również powszechnie otoczony poważaniem. Na ogół, w domu Sapiehów, przez całą długą i trudną bezkrólewską niniejszą, w przedmiocie głównej i niebezpiecznej sprawy elekcyjnej nie było zgody jednościsłości, owszem, wyraźna i bodaj rozmyślna panowała scyssa, mająca najpewniej ten cel na widoku, ażeby na obiedwie zabezpieczyć się strony: a więc, kiedy tamci dwaj starsi oświadczają się za Leszczyńskim, natomiast młodsi Sapiehowie, Michał, wojewoda podlaski, i Jan-Fryderyk, kasztelan trocki, stale trzymają z Sasem. Radziwiłłowie, którzy dopiero za następnego panowania Augusta III mieli podnieść do dawnej świetności mocno nadszarpniętą fortunę, obecnie jeszcze, podobnie do Sapiehów, w nieosobliwym położeniu majątkowym, nieosobliwych też mieli reprezentantów. Najruchliwszym z nich podczas bezkrólestwa okazał się Mikołaj Radziwiłł, wojewoda nowogrodzki, słaby i nieszczęśliwy człowiek, z wyraźnymi śladami umysłowego rozstroju, obarczony liczną rodziną, a całkiem opanowany przez żonę, nielubianą za dumę i srogość. Ogińscy, Józef, wojewoda trocki, układny i cichy, i Marcyan, wojewoda witebski, jurysta zawołany, wyższego ukształcenia, wielkiego miru na Białorusi, obadwaj doszczętnie zrujnowani, obadwaj służyli dworowi, w skromnym zakresie swoich wpływów miejscowych, a w skromnej myśli podratowania naruszonych swych fortun, bez żadnych śmielszych ambitnych zamierzeń. Inaczej i wyżej mierzyli Wiśniowieccy, powodowani przede wszystkim wyniosłą ambicją polityczną, trawieni retrospektywną za berłem królewskim tęsknotą, a ostatni przedstawiciele swojego upadającego i umierającego rodu, smutni świadkowie przemożnego wzrostu innych rodów magnackich, rozgoryczeni widokiem jawnej Potockich przewagi, zwłaszcza zaś najgłębszym, najzjadliwszym przejęci żalem, zawiścią i oburzeniem na nieznośny widok podnoszącej się z Litwy pokrewnej nowej potęgi i świeżego splendoru Familii Czartoryskich. Tutaj stał na czele Michał Wiśniowiecki, kanclerz w. i regimentarz l., dziwnie dosadny i malowniczy typ polsko-litewskiego magnata starej daty; pan wspaniały i hojny, nadzwyczaj popularny u szlachty, choć nietyle miłowany, ile groźny; przeniknięty dumą niezmierną, niezmiernym dla własnego gniazda książęcego szacunkiem, i w tem wysokim o własnej krwi pańskiej pojęciu czerpiący jedyne wyższe pojęcia własnych obowiązków, godności i honoru; osobliście odważny i bardzo drażliwy, w przegranej potyczce z Rosyanami wybierający niewolę nad ucieczkę, gdyż Wiśniowieckiemu uciekać nie wypada, odstępujący nagle od ułożonej już umowy przekupnej

z dyplomata austriackim, gdyż Wiśniowieckiemu nie wypada brać do ręki pieniędzy; twardy i szczerzy legalista, ślepo a serdecznie przywiązany do starodawnych form ustawodawczych, do odwiecznych obyczajów i tradycyi narodowych, który, z dużym trudem zyskiwany dla Sasa, gotów w ostatniej chwili zepsuć całą sprawę, skoro się dowie ze zgrozą, iż elekcya saska musi odbyć się na Pradze, zamiast na tradycyjnem polu wyborczem pod Wolą, i który naprawdę wtedy dopiero z rzetelną uciechą oświadczy się za Augustem III, skoro mu agenci sascy pokażą na pergaminie pięknie wymalowane drzewo genealogiczne, skąd jaśnie wynika, iż królewicz-elektor jegomość przez dwanaście różnych stopni wywodzi się ze świętej krwi Jagiellonów, jedynej, przed którą on, Wiśniowiecki, pochyla głowę; zresztą ciemny, nieokrzesany, przesądny, nadzwyczaj gwałtowny, zwłaszcza pod wpływem kielicha, a często nietrzeźwy, i wtedy po prostu — jak wyraża się o nim prymas — „dzikie zwierzę“, po prostu szalony i krwiożerczy; skądinąd znów, wytrzeźwiawszy, skruszony i strapiiony, niezdecydowany i słaby, posłuszny szkodliwym podszeptom dworującej mu zgrai zauszników, i całkiem prowadzony na pasku przez żonę, Teklę Radziwiłłównę, doświadczoną, wyrachowaną i chciwą wdowę po wielkim Flemingu, nawykłą przy boku pierwszego męża, ministra saskiego, do znacznych wpływów i korzyści osobistych, i żadną wyciągać je w równej mierze z drugiego małżeństwa z księciem litewskim. Rodzony brat kanclerza, dużo mędrszy od prostaka - brata, dużo zimniejszy, spokojniejszy, gładszy, daleko tęższej głowy, a daleko lichszego serca, Janusz Wiśniowiecki, kasztelan krakowski, był zasiadł po Sieniawskim najpierwsze krzesło senatorskie, pozornie żył w zgodzie z dworem, w istocie stanowił po cichu główną sprężynę konfederacyi tarnogrodzkiej przeciw dworowi, zaś obecnie, forytowany z Wiednia przez cesarza Karola na drugiego kandydata do korony polskiej, na wypadek niedojścia elekcji portugalskiej, sam przecież, praktyczny sceptyk, nie wierzył we własne wyniesienie, brał tymczasem tysiąc dukatów od Loewenwoldego, i spekulował na odszkodowanie od Sasa wzamian za zrzeczenie się fikcyjnej swojej kandydatury. Naprzeciw Wiśniowieckiego, trzymanego w odwodzie przez Austryę, wysuwany był naprzód z Berlina, jako pruski, w razie potrzeby, kandydat do korony, Paweł Sanguszko, marszałek w. l., pan zacny, potulny i osobiście niezamożny, a wdowiec po bogatej Lubomirskiej i nieszczęśliwy ojciec syna rozpustnika i szaleńca, osławionego Janusza Sanguszki, ordynata ostrogskiego, dziedzica olbrzymiej spuścizny macierzystej, fatalnej Pandorowej spuścizny, skąd tyle klęsk ciężkich zejść miało na spadkobierców i wszystką Rzpltą. Spowinowacony z Sanguszkami, Lubomirski Teodor, wojewoda krakowski, znenawi-

dzony od szlachty, którą był obdzierał dawniej bez pardonu jako srogi starosta spiski, obecnie, za bezkrólewia, bez kontroli na swoim województwie, zdzierca skarbu Rzpltej przez bezprawną gospodarkę w kopalniach wielickich, ambitny, śmiały, bezwzględny, niesforny, zniszczony fizycznie i duchowo, wybitny, nawet niepoślednie ukazywał rysy, lecz bodaj najostrzejsze i najbardziej odpychające, zaś stale w ścisłej będąc zależności materialnej od wiedeńskiego dworu, swoje zmienne postęпки w wiszącej sprawie elekcyjnej miał w przeważnej mierze przystosować do odpowiednich odmian polityki cesarskiej. Z nazwiskiem wojewody krakowskiego łączy się węzłem tragicznym nazwisko Tarły, zamordowanego kochanka pięknej Anusi, córki Lubomirskiego i mieszcżki krakowskiej. Adam Tarło, starosta jasielski, teraz jeszcze bardzo młody, a już ogromnie od szlachty kochany, pełen ognia, szlachetności, odwagi, dowcipu, najświetniejsze rokował nadzieje, które wszakże niebawem musiały zmarnieć i zgąsnąć, zalane błotnistą powodzią zawikłań powszechnych, krajowych i prywatnych, i utopione we własnej jego krwi serdecznej. W szczególności, względem owoczesnej sprawy elekcyjnej, był on naturalnym przeciwnikiem kandydatury Augustowskiej, bo cudzoziemskiej, naturalnym oraz obrońcą Stanisławowskiej, bo swojskiej: co zaś najważniejsza, z najogólniejszego stanowiska, wyobrażał żywe wcielenie nie tyle już ciasnej wyłączności pańskiej, ile szerokich prądów, nurtujących szerokie masy szlacheckie, a w blizkiej nadto styczności pozostając nawet z nieruchomą dotychczas, a już budzącą się do życia masą mieszcżaną, zwłaszcza z mieszcżanstwem warszawskiem, wyrastał do rozmiarów wprawdzie nie dość jeszcze klarownej, zrównoważonej, ani nświadomionej, jeszcze pełnej krzyczących rozdźwięków, ale już ze wszech miar znamiennej postaci przejściowej, wiodącej w prostej linii do największych postaci sejmu czteroletniego. Młodego i gorącego starostę jasielskiego wspierał powagą i miarkował doświadczeniem stryj, Jan Tarło, wtedy wojewoda lubelski, generał ziem podolskich i generał-porucznik wojsk koronnych, głęboki znawca praw Rzpltej, znacznej wziętości u szlachty małopolskiej. Oddzielnie od Tarłów, choć związany z nimi przez małżeństwo z Tarłówną, trzymał się Józef Mniszech, marszałek w. k. Przez Augusta II obdarzony wielką laską marszałkowską, to jest najpierwszym urzędem ministeryalnym Rzpltej, a prócz tego, będąc także na stałym żołdzie 12 tysięcy talarów rocznie z prywatnej szkatuły królewskiej, uchodził za najpewniejszą kreaturę dworską; lecz w gruncie rzeczy, bardzo podstępny, giętki i wyrachowany, nie brał bynajmniej zanadto do serca swoich obowiązków wdzięczności względem dworu, obok sekretnej pensyi królewskiej pobierał sekretniejszą pensyę rossyjską, i swoją służbę dla

króla godził zrzęcznie ze służbą dla Rossyi przeciw królowi. Marszałek obszerne miał wpływy w kraju, i nie tylko z mocy samego swego urzędu, lecz również przez rozległe stosunki familijne: przez córkę, wydaną za Józefa Potockiego, trafiał do zięcia, wojewody kijowskiego, do prymasa i do całej partyi magnackiej Potockich; przez żonę, rodzoną siostrę Jana Tarły, trafiał do szwagra, wojewody lubelskiego, do starosty jasielskiego, i do całej partyi szlacheckiej Tarłów. W tej grze podwójnej nader była pomocną mężowi pani Mnischowa, wielka dama politykująca w wielkim stylu owoczesnym, nienawidząca i zienawidzona współzawodniczka innych wielkopańskich „kobiet stanu“, a wyższa wytrawnością i sprytem od wojewodziny Radziwiłłowej i nawet od kanclerzyny Wiśniowieckiej, niepochwytna, niebezpieczna, intrygująca na wszystkie strony, wszędzie poszukiwana, wszędzie opłacana, a nigdzie nie przywiązana, biorąca upominki rosyjskie, ewikcyje austriackie, gratyfikacye francuskie i kosztowności saskie, „zmija, — powiada o niej z passyą Brühl, — która pozostanie przy więcej dającym i lepiej wyplacalnym, *plus offerenti et melius solventi*“.

Jednakowoż tych sylwetek, jakkolwiek rysowanych najpobieżniej, dłużej mnożyć niepodobna, gdyż niepodobna ich wyczerpać na tem miejscu. Przerzywając na razie ich szereg, wypada jeszcze tylko jednym bodaj słowem nadmienić o obsadzie osobistej niektórych ważniejszych ministerjów. A więc pieczęć mniejszą koronną trzymał w tym czasie od roku, a wbrew prawu, biskup krakowski, Jan Lipski, podkanclerzy koronny z łaski dworskiej, zdeklarowany też Augustowiec, człowiek małego serca, równie małej świątobliwości infulat, tem większego sprytu polityk, z którym bardzo liczyć się potrzeba. Obadwa podskarbiostwa w najgorszych znalazły się ręku: koronne piastował Ossoliński Maksymilian, lekkomyślny, rozrzutny, niebaczny na swoje obowiązki, ani nawet na honor; litewskie — wprost już nieuczciwy, Jan Solłohub, u poprzednika, Poniatowskiego, za grubą kwotę odkupione: obadwaj hałaśliwi, a niepewni, Leszczyńskiego stronnicy. Nareszcie, na tem miejscu wypada położyć ladającą przynajmniej wzmiankę o składzie osobistym Familii Czartoryskich, wzmiankę jak najkrótszą, gdyż arcyważny ten przedmiot sam dla siebie, w innym, samoistnym związku, oddzielnych i rozległych wymagal-by pojaśnień. Familia już naówczas, już w ostatniem dziesięcioleciu rządów Augusta II, pośrodku ogółu możnowładztwa zgola odrębne zajmowała stanowisko. W urzędach i majątku dworską zasiloną protekcyą, ale w swojej powadze rodowej mocna własnem starodawnem imieniem i tradycyą, służyła wprawdzie od wypadku do wypadku dworowi, używana od niego jako narzędzie, jako przeciwwaga dla wrogiej

opozycyi możnowładczej, lecz jednocześnie, ze swojej strony, sama dwór czyniła narzędziem dla własnego ponad dwór wywyższenia, sama do własnej w kraju dążyła przewagi i, koniec końcem, przedwszystkiem służyła samej sobie. Na jej czele, w chwili bezkrólewia, stał z tytułu ks. Kazimierz Czartoryski, kasztelan wileński. Wszakże, starzec już podeszły, przytem ulomny, zresztą całkiem słaba głowa, gaduła, wykwinąłsi staroświecki wedle ostatniej mody paryskiej z przed lat pięćdziesięciu, z czasów Saint-Simona i pani Montespan, — przypominający trochę w tym względzie staromodną elegancyę swego wnuka, generała ziem podolskich i feldmarszałka, — żonaty z Morsztynówną, energiczną, mądrą i ukształconą damą, prowadził z nią pospołu pierwszy salon czysto wersalski w Warszawie, i na tem właściwie ograniczał swoją rolę kierowniczą w rodzinie. Naprawdę wszystkiem kierowali w Familii jego dwaj synowie, córka i zięć. Syn starszy, ks. Michał, obecnie w sile męskiego wieku, trzydziestokilkolletni, a już od lat blisko dziesięciu minister pieczęci, podkanclerzy I. po ojcu, uczeń i protegowany Fleminga, od niego tak wczesnie forytowany, od niego wielu rzeczy nauczony, w jego wychowany szkole, sam pojętny bardzo, bardzo żywy, rzutki, pomysłowy, ale też porywczy, zjadliwy i zapamiętały, zanadto uparty i bezwzględny, zanadto przeświadczony o własnem świetle nieomylnem, własnej wyższej wartości, i w samej też rzeczy, przy temperamentie zbyt ostrym, charakterze zbyt twardym, umysł zaiste jaśniejszy i wyższy, bystrości niepospolitej, łatwej wymowy, nadzwyczajnej pamięci, — znał podobno z imienia i nazwiska sto tysięcy szlachty, — wszechstronnego publicznego ukształcenia, doskonały znawca stosunków krajowych, a niezgorszy nawet europejskich, zdolny do szerokich i śmiałych koncepcyi politycznych, był nietylko uznaną „głową ministeryalną“ Familii, lecz niezawodnie, w innej epoce. wśród innych okoliczności, był-by wyrósł na jednego z najznakomitszych statystów Rzpltej. Już za młodu do wielkich wyrывał się rzeczy, krępowany przecie przez małą rodziny zamożność, *res angusta domi*; za młodu też starał się o posażną Łaszcównę, wojewodziankę belską, lecz odpalony, bo ubieżony przez szczęśliwszego współzawodnika, wojewodzica kijowskiego, Potockiego, niebogaty pozostał do śmierci, głęboką odtąd aż do śmierci chowając urazę dla wszystkiego nienawistnego „Potocctwa“. Młodszy o rok ks. August, kawaler maltański, pułkownik gwardyi królewskiej, wreszcie wojewoda ruski, zaufany i zazwyczaj posłuszny brata pomocnik, a zgola do niego niepodobny, dużo ciaśniejsza głowa, lecz roztropniejsza częstokroć i zaradniejsza, zamknięty, powolny i systematyczny milczek, od paru lat filar majątkowy Familii, przez małżeństwo z Denhofówną, „panną krakowską“, dziedziczką ogromnej Sie-

niawszczyzny, odbitą z kolei konkurentowi Potockiemu, krystynopolskiemu „królikowi Rusi“, wziął w ten sposób niejako odwet za despekt braterski, ściągnął z kolei śmiertelną Potockich urazę, sam zaś odtąd w cichości najwyższe piastował marzenia i oswoił się z myślą zdobycia godności najwyższej, zdobycia korony królewskiej dla siebie na przód, potem dla syna, w końcu dla wnuka. Dopełniała obu braci, dostrzymywała im kroku siłą woli i polotem ambicyi, siostra Konstancya, wydana za Poniatowskiego, postać niepowszednia, męskiego hartu, zaciętości kobiecej, „gradową chmurą“ przezwana od szlachty, wyniosła, nieprzystępna, nielitościwa, groźna dla nieprzyjaciół swojego domu, dla otoczenia, nawet dla własnych dzieci, a już w tej chwili matka najnieszczęśliwszego dziecka, jednorocznego teraz niemowlęcia, powołanego ziścić najśmielsze widoki Familii, matka króla, ostatniego króla polskiego, matka Stanisława - Augusta. Nareszcie, przy jej boku, intelligencyą nad nią górując, wedle swoich prowadząc ją myśli, a przez nią prowadząc szwagrów, lecz sam mimowolnie pod wpływem jej mocnej i ambitnej podniety, stał niemłody już małżonek, wtedy pięćdziesięciokilkoletni wojewoda mazowiecki i regimentarz k., Stanisław Poniatowski. Niedy Stanisławowski poplecznik, a właściwie Karolowy żołnierz, dyplomata i dworak, na szwedzkiej służbie był zrobił sobie imię; potem, dezerterski przegranej sprawy Leszczyńskiego, z otwartymi ramionami przyjęty od Augusta i Fleminga, na służbie saskiej zrobił fortunę; nagrodzony natychmiast ręką Czartoryskiej, dostojęństwami obsypany, przy pomocy dworu, a nie bez znacznych własnych nakładów, kosztem 15 tysięcy dukatów, dobil się po Flemingu regimentarstwa; nielubiany od szlachty ani od wojska, kosmopolitycznego raczej zacięcia i poloru, długo tułacz po szerokim świecie, amator karkołomnych przygód i dowcipnej lektury, bywalec stambulskiego Dywanu i salonów paryskich, przyjaciel sułtanek i korespondent Voltaira, nosił w kraju dwuznaczne wspomnienie pewnych dwuznacznych usług, oddanych Augustowi, pewnych papierów, przyniesionych w darze przez dezertera z kancelaryi zabitego Karola, nosił ciemną plamę pewnych spraw benderskich, pewnych skarbów, wywiezionych przez towarzysza broni zmarłego Mazepy; zresztą, odważny i przedsiębiorczy, gładki i świetny, ale partyzant raczej, niż dowódca, raczej intrygant, niż mąż stanu, w głębi duszy sceptyk i epikurejczyk, rad-by zapewne kres położył długoletnim swoim wysiłkom, rad-by je ograniczyć, w spokoju na starość spożywać ich owoce, lecz tymczasem, popychany przez okoliczności, podniecany przez małżonkę, już sięgał po wielką buławę koronną i najpierwsze krzesło senatorskie; zaś w istocie sięgał jeszcze wyżej, wprost po koronę, otwierając tym sposobem w łonie samej Familii owo tajemne, fatalne

współzawodnictwo i rozdwojenie wewnętrzne, które jeszcze w dwóch następnych pokoleniach nie przestanie dzielić i toczyć wspólnego domu Czartoryskich i Poniatowskich.

Ciężkie to, bolesne zadanie taką pokazać i przebieżać galerię. Czynimy to, ile można, najprościej i najzwyczajniej. Czynimy także, ile można, najogólniej. Wizerunek każdego modelu w najpewniejszych swoich zbieramy świadectwach, albo, jeśli w obcych, to u przyjaciół każdej osobnej postaci, nie u wrogów, a więc wizerunek Augustowca — w doniesieniach saskich, Stanisławczyka — we francuskich, sprawdzanych i dopełnianych wszędzie przez relacje austriackie, rosyjskie, pruskie i swojejskie. Z tego obfitego zasobu, jaki mamy do rozporządzenia, nie dobieramy bynajmniej najostrzejszych konturów. Nie dobieramy stąd zgoła barw najjaskrawszych. Ani też, jednakże, prawdziwych, jakkolwiek dotkliwych, nie zatajamy rysów. Aliści, z powodu tych rzeczy tak dotkliwych, które tutaj i w następstwie odsłaniać przychodzi, musimy natychmiast, raz na zawsze, jedno zasadnicze położyć zastrzeżenie. Musimy zaraz w tem miejscu, z powodu niektórych żywiołów ówczesnej społeczności polskiej, przypomnieć to samo, co gdzieindziej, ze strony odwrotnej, rzekliśmy z powodu ówczesnego króla polskiego. Musimy, mianowicie, przypomnieć i do właściwej służby powołać jedyne słuszne w tych rzeczach kryterium, jedyne rozumne i sprawiedliwe: kryterium dziejowo - porównawcze, w całej i pełnej rozciągłości. Ono jedno może nam w tym wypadku dostarczyć trafnej i prawdziwej skali dla naszych wniosków, ono nas nie zaślepi, nie zobojętni w nas uczucia smutku, wstydu albo oburzenia, ale sprowadzi te uczucia do właściwej granicy i miary, wyniesie na wyższy i szerszy, a jedynie właściwy poziom historycznego i politycznego sądu. Chcemy być dobrze zrozumiani. Nie umieli-byśmy, w imię taniego patryotyzmu, ukrywać istotnych win własnego społeczeństwa, ani od napiętnowania ich wymówić się. Lecz chcemy to czynić z pełną świadomością, spokojem i rozważą. Chcemy czynić z należnem uwzględnieniem wszystkich towarzyszących okoliczności, jakoteż nie mniej wszystkich współrzędnych win obcych. Chcemy odsłonić i napiętnować co potrzeba, lecz nie chcemy bez dostatecznego powodu bić się w piersi, szat rozdierać, ani w czambuł potępiać. Wyrażamy to zastrzeżenie z jak największym naciskiem. Kładziemy na nie jak największą wagę. Albowiem kładziemy tutaj rękę nie tylko na jednym szczególnie jednej dobie saskiej, lecz na arcydoniosłej, zasadniczej stronie polskich dziejów nowożytnych w ogólności. Uderzamy tutaj znowuż na ten sam, poprzednio zaznaczony, a wedle głębokiego naszego przekonania, nawskroś szkodliwy i błędny kierunek w nowożytnej historyografii polskiej, będący naturalną, ale, w swojej ten-

dencyjnej skrajności, zgoła niezdrową reakcją przeciw wcześniejszym niezdrowym a odwrótnym zboczeniom nauki i opinii. Lubowano się wcześniej w mistycznym apoteozowaniu własnej przeszłości, sięgano po koronę męczeńską ukrzyżowanego narodu, widziano tylko swoje krzywdy, zamykano oczy na swoje winy. Obecnie, tak zwane trzeźwe pojmowanie dziejów domowych wyradza się naprawdę w jakąś ascetyczną gorliwość pokuty, skruchy, biczowania się i umartwienia, mającą jakoby odkupić pokaranie dziejowe, zesłane za własne, wyznawane i odwoływane grzechy. Ta nowa metoda, powtarzamy, jest szkodliwą, jest błędną. Szkodliwą, bo obezwładnia, bo poniża samowiedzę narodową. Błędną, bo wychodzi z myśli, z góry powziętej, bo z założenia, w połowie tylko trafnego, wyciąga wniosek dwoisty, w połowie też tylko słuszny, w drugiej wskroś mylny i niczem niesprawiedliwiony. Rzecz słuszna odmawiać pełnego rozgrzeszenia narodowi. Rzecz skroś mylna i niesprawiedliwa całą odpowiedzialność zostawiać narodowi. Tę odpowiedzialność należy dzielić. A mianowicie, należy ją dzielić nie na podstawie jakiegokolwiek uświęconej tendencji apologetycznej, albo oskarżycielskiej, nie na podstawie jakiegokolwiek umówionej tezy adwokackiej, albo prokuratorskiej, ale jedynie i wyłącznie na podstawie jak najszerszej pojętego, uświadomionego najjaśniejszego kryterium porównawczego. Błąd zasadniczy owej szkodliwej nowoczesnej orientacji dziejopisarskiej, o której mowa, w tem właśnie ma istotne swoje źródło, że obchodzi się ona bez takiego porównawczego kompasu, że sprawy polskie ogląda i osądza w oderwaniu od powszechnego tła dziejowego. W ten sposób stało się możliwem, iż, w przedstawieniu polskiem polskie dzieje nowoczesne, a zwłaszcza Augustowskie, noszą na czole ohydne znamię jakiejś wyjątkowej, niebywałej potworności, wyjątkowej zbrodni i wyjątkowego przekleństwa. Owóż zastrzegamy się najwyraźniej, iż w te ślady podążać nie mamy zamiaru. Nie chowając niczego pod korcem, nie upiększając niczego, nie myślimy wszakże bynajmniej głowy posypywać popiołem, rozpacznie biadać i nielitościwie wyklinać. Zostawmy to obcym. Zostawmy Haüsserom, Syblom, Sołowiewom. Uczmy się raczej, posłuchajmy, jak oświecony Anglik nowożytny sądzi swoje dzieje krajowe doby hannowerskiej, najściślej współczesne, a z tyłu względów ujemnych najściślej pokrewne naszym dziejom doby saskiej. „*No man ought to be severely censured for not being beyond his age in virtue*“. „Niepodobna — tak mądrze zastrzega się Macaulay, kreśląc uderzający obraz oplakanych stosunków angielskich za Walpola, — nikogo surowo potępić za to, iż nie górował cnotami ponad swoją epoką“. Tak, z głęboką rozważą, z dojrzałym umiarem, przemawia wielki dziejopis, mąż stanu

i patriota, który pojmuje, odczuwa i ocenia swoją społeczność nie w oderwaniu od świata i epoki, nie w oderwaniu od czasu i przestrzeni, lecz w nierozłącznym związku organicznym z powszechnością dziejów i kultury europejskiej. Przeciwnie, słuchając zwyczajnych u nas gromów, ciskanych niemal z urzędu na Polskę zeszlowieczną, a szczególnie na saską, można-by mniemać, iż ona istniała *in vacuo*, gdzieś w pustej przestrzeni, albo istniała pośrodku jakiegoś wymarzonego świata sielanki i enoty. W rzeczywistości, Polska Augustowska istniała pośrodku Europy z pierwszej połowy XVIII stulecia, znajdującej się w stanie niesłychanego politycznego, społecznego i obyczajowego rozkładu. Trzeba znać te czasy, znać ówczesną Europę, znać ówczesne pomniki piśmiennicze, a zwłaszcza dyplomatyczne, najpierwszych, najkulturalniejszych narodów i państw europejskich, aby pojąć, do jakich granic może dotrzeć znieprawienie i wyuzdanie ducha publicznego. Trzeba czytać ówczesną poufną korespondencję dyplomatyczną, gdzie nie tylko treść wszędzie odrażająca, ale i forma z rozmysłu skalana, brutalna, cyniczna, a zawsze dowcipna, — gdyż dowcip i cynizm jest wtedy w modzie, gdyż, jak otwarcie naucza taki Grumbkow, podstawą doskonałego dyplomaty jest „*un mélange d'esprit et de brutalité*“, gdyż w dobrym jest guście popisywać się zręcznem oszustwem, wyszydzać wyprowadzoną w pole ofiarę, żartować sobie z przesądów obowiązku i honoru, lekko brać wszystko w życiu, z wyjątkiem jednej rzeczy: pieniędzy. To też przekupstwo jest powszechne. Pokazaliśmy Berlin, gdzie sprzedajni są wszyscy, zaczynając od księcia następcy tronu i księżniczek krwi, gdzie jeden tylko Grumbkow kosztował skarb austriacki 250 tysięcy florenów, nie mówiąc już o małych jurgieltnikach, w rodzaju Derschaua, Pöllnitsa i towarzyszy. Pokazaliśmy Petersburg, gdzie obławiają się wszyscy, od Birena aż do początkującego, jeszcze niepokąźnego Kayserlinga, przyczem większość bierze tutaj z zasady z kilku stron na raz, i taki naprzykład Bestuzew swoją w tym względzie wszechstronnością zaćmiewa takiego nawet, jak Grumbkow, arcymistrza. Pokazaliśmy Sztokholm i stosunki szwedzkie. Nawet dwór najpoważniejszy, wiedeński, nie jest wolny od tej plagi. Kanclerz cesarski, imponujący hr. Sinzendorf, był na żołdzie saskim i hiszpańskim. Nie są wolne kraje najbogatsze: Anglia i Francya. Wielki Marlborough splamiał się pieniędzmi francuskimi, wspaniały Bourbon-Condé angielskimi. O prawodawcach londyńskich okropne daje świadectwo wszechwładny minister: Walpole przechwala się, że zna cenę każdego członka parlamentu. Należy także pamiętać, iż były to osławione czasy Lawa, czasy „Kompanii Południowej“ i interesów cejlońskich w Londynie, „Kompanii

Zachodniej“ i interesów luizyańskich w Paryżu. bajecznych szalbierstw, miliardowych przeniewierstw. w których maczał ręce król Jerzy i Regent Orleans. Ponad całą Europą unosiła się gęsta atmosfera swawoli i rozpasania, przenikająca do wszystkich dziedzin życia publicznego, i która też szczególniejsze odbicie znalazła w piśmiennictwie. Wtedy-to, z tłoczní amsterdamskich, skąd wówczas najgładsze i najnieprzystojniejsze wychodziły druki, ukazała się słynna najpierwsza edycja świetnych i bezpiecznych Pamiętników kardynała Retza. Rozchwytywano je chciwie, noszono się z niemi, uczyniono z nich katechizm wzorowego męża stanu. Każdy minister, każdy radca legacyjny, każdy awanturnik, od Sekwany aż do Newy. czuł w sobie materyał na drugiego Retza, każdy żywił ambicję zjednoczyć w swojej osobie tyleż zbrodni, sukcesów, hańby i dowcipu, co nieporównany kardynał Gondi. Wtedy także ukazały się przesliczne i bezwstydné arcydzieła Lesage'a. Rozkoszowano się niemi bez miary, a najwięcej w wielkim świecie dworów i pałaców ministeryalnych i pańskich. Dostojni smakosze ocenili nietylę romansopisarza, ile obserwatora. Poznali siebie w dziurawem przebraniu jego dwuznacznych bohaterów ulicy i galer. Poznali siebie najcelniejsi przedstawiciele i sternicy Europy, Gil Blasy i Guzman y d'Alfarache polityki i dyplomacyi. Nie wolno również przepomnieć o nadzwyczajnych świadectwach pamiętnikarskich, zachowanych z tej epoki. Trzeba zajrzeć do gospodarki domowej pruskiej przez jedyne w swoim rodzaju pamiętniki margrabiny Bareith, czelne wynurzenia Pöllnita, albo humorystyczny dziennik młodego Seckendorffa; do austryackiej—przez szczególniejszy żywot starego Seckendorffa, nauczające rewelacye Foscariniego, albo nieprawdopodobne wspomnienia obu Trencków; do rossyjskiej—przez suche, kronikarskie zapiski Bassewita. Mansteina, Münnicha, albo barwne obrazki pani Rondeau; do francuskiej—przez zatrute ostatnie karty Saint - Simona, lekkie anegdoty Richeliengo, cięte spostrzeżenia Duclosa, albo jowialne Barbiera; do angielskiej — przez bezlitosne pamflety Swifta, albo perfumowaną a ckliwą prozę pamiętnikarską i epistolarną Chesterfielda i Walpola. Gdziekolwiek się obrócić, jedno i to samo zawsze dobywa się i powtarza wrażenie, jeden i ten sam płynie i potwierdza się wniosek. Zaraza była powszechna i ze wszystkich stron przychodziła nad Wisłę. Albowiem ci panowie z nad Wisły, z którymi tutaj mamy do czynienia, nie byli przecie murem chińskim odgradzeni od Europy, lecz, owszem, zewsząd znajdowali się pod naciskiem jej polityki i jej kultury, byli otoczeni jej wpływem, kształceni jej przykładem. sami skwapliwie udawali się do niej po doświadczenie, naukę i polor, a odbierali od niej zarazę. Te wszystkie rzeczy koniecznie potrzeba łącznie sobie uzmysłowić

i razem uświadomić. Potrzeba wiedzieć i widzieć nasamprzód, co myśleli, czytali, pisali i czynili, jak naprawdę żyli, jakimi byli naprawdę, prawdziwi Europejczycy tych czasów. A potem można wziąć współczesne polskie pomniki, albo cudzoziemskie z Warszawy relacje, i rozsądzić sprawę upadającej Polski doby saskiej. To wymaga nieco zachodu,—zapewne. To zapewne jest droga nieco zmuenniejsza i przydłuższa. Krócej zapewne, łatwiej i taniej wziąć odrazu pierwszą lepszą anegdotę Kitowicza, albo depeszę Essena, jęknąć *anticipando* nad traktatem podziałowym, i wydać wyrok, skazujący w ostatniej instancji. Takie wyroki, skoro ferowane są przez cudzoziemców, stoją jeszcze na zrozumiałem uprzedzeniu i na logicznej, świadomej intencji; skoro ferowane przez domorosłych sędziów swojskich, stoją już tylko na karygodnej lekkomyślności i, żeby rzeczy nazwać po imieniu, po prostu na nieuctwie. Nauka, sprawiedliwość, dobro publiczne, znają tutaj—powtórzmy raz jeszcze — jedno tylko, obszernie i głęboko pojęte i stosowane, kryterium porównawcze, jako jedyny trafny drogowskaz, jedyną mocną i trwałą podwalinę dla dziejowo-politycznych wniosków, orzeczeń i sądów.

SZYMON ASKENAZY.

PRZEKONANA.

P o w i e ś ć.

„Moja najdroższa!

Dziś niespodzianie byłam świadkiem sceny.

Po obiedzie, że to dzień był nieupalny i pochmurny trochę, poszłam sobie z książką na werendę. W tem do salonu, słyszę, wchodzi Jadzka rozśmieszona, opowiadająca coś żywo p. Ludwikowi. Nie zwróciłam uwagi, co? Zaczęli grać niebawem. Ale Jadzka najwidoczniej tyle w tej chwili myślała o muzyce, co ja o tańcu. Smętny nokturn Fielda skakał pod jej wesołym smyczkiem.

— Ależ proszę pani! — zawołał wreszcie pan Ludwik ze zgrozą.

Ale dziewczyna widocznie usposobioną była przekornie.

— A bo co?

— Czyż to nokturn!

— Ach! bo taki ekliwy...

*) Patrz zeszyt lipcowy.

P. Ludwik w milczeniu zdjął nuty, bo słyszałam jak kartki szeleściły i rozłożył inne.

Popłynęła pieśń Mendelssohna w tempie polki.

— Ależ! ależ...

— Mój Boże, nie mogę dziś panu dogodzić—rzekła złośliwie Jadźka.

— Pani chyba to naumyślnie robi?

— Ja? A to w jakim celu?

— Żeby mnie denerwować.

— Ja, pana!

Było takie oburzenie w jej głosie, że pan Ludwik widocznie się zmieszał.

— Przepraszam, ale pani mnie taką przykreść robi. Nie mogę znieść, jak kto profanuje muzykę.

Na to poprostu ona w bek! Wyobraź sobie: w bek!

P. Ludwik musiał skamienieć, jak ta żona Lota (ach! przepraszam, ona się w słup soli zamieniła), bo przez chwilę słychać było chlipanie Jadźki i brzęczenie much w powietrzu.

A potem:

— Panno Jadwigo, co pani jest?

Łkanie jeszcze silniejsze:

Drżący nieco głos p. Ludwika:

— Jeśli pani dziś nie usposobiona do muzyki, proszę, niech pani nie gra.

Słodki idyota! myślę sobie.

Musiał stać tak bezradnie, patrzeć na jej kasztanowate loki i mieć arcyważną minę. Poczciwy pan Ludwik.

— Panno Jadwigo, ja panią bardzo przepraszam!

O jej! a to co znowu? słyszę głos Jadźki:

— Ależ co pan robi... niech pan nie przepraszaj!

Wyobrażam sobie, że ją po rękach całuje...

— Nie gniewa się już pani?

Ona milczy, więc prawdopodobnie patrzy mu w oczy z uśmiechem...

Aha! więc to już tak?

Po chwili wychodzą oboje i z werendy widzę, jak idą do ogrodu już w najlepsze rozbawieni.

O sobie nie mam ci nic do opowiedzenia. Status quo. Chodzimy na spacer, ponieważ niebo nam sprzyja, deszcz nie chłapie. Pływamy czasem łódką, czasem urządzamy koncerty domowe, gramy w cerceau

i krokietą, przy którym p. Stanisław okropnie się klóci, tak, że stanowczo nie chcę go za przeciwnika. Ale właściwie niema wyjścia, bo jak gramy w jednej partyi, to w nim się objawia dziwna tępość umysłu: zamiast mnie pomagać, co leży w interesie partyi, on staje mi zawsze na przeszkodzie. Powiada, że ja się „ładnie złoścuję“. Jak ci się to podoba!

Czas nam schodzi słodko, mile, bez najmniejszego cienia tragedyi. Widzisz, wiele hałasu o nic. Ot, już popisałyśmy całe libry papieru o jego ewentualnej miłości, o mojem prawdopodobnem okrucieństwie, rozmyślałyśmy, jakby to on nie zginął od tego ognia okrutnego, który go pali, a co ja mam robić, a w jaką włosienicę się ubrać... zawsze jednakże ja mam rację: niewinny flirt et voilà tout.

Czy prędko już wracasz do Paryża?

Pisz mi o sobie.

My tu mamy zapowiedziany grand bal u pp. Iglickich. Ciocia powiada, że koniecznie trzeba będzie być.

Sacrebleu!

Twoja un peu Folle, un peu Exagerée, un peu Rien du tout

Eli.“

„Więc nie chcesz, żebym przyjeżdżała, więc naprawdę nic ci nie jest? List twój tak mię zaniepokoił, że nie dowierzała mu, i wysłałam telegram. Ty mi telegrafujesz, że zdrowa jesteś i wyjeżdżasz z Zermatt. Czy to prawda? Więc nie chcesz, abym przyjechała cię pielęgnować. Czy naprawdę już nie trzeba? Chwała Bogu. Ale jeszcze drzę cała. Zdaje mi się, że cię widzę toczącą się w dół wąwozu ku przepaści, aż mi się zimno robi. Daj Boże zdrowie temu dobrodziejowi, co cię w porę pochwycił. „Skończyło się na wywichnięciu nogi i z tego powodu tydzień cały przykutą byłam do fotelu, bo w łóżku za nic leżeć nie chciałam dla takiej drobnostki“. Dzięki Bogu. A ja wyobraziłam sobie, że ty ukrywasz przede mną swój stan, aby mnie nie niepokoić, że co najmniej złamałaś nogę, że cała połamałaś się, że coś okropnego się dzieje i dlatego telegrafowałam ci, że przyjeżdżam.

Moja jedyna, nie narażaj się. Będę się teraz ciągle niepokoiła. Pamiętaj o tem i daj mi słowo, że będziesz tak ostrożną, jak sama ostrożność.

Prędko odpisz, natychmiast, czekam.

Twoja

H.“

„Wyobrażam sobie ciebie doskonale łażącą po górach, odbywającą karkołomne wycieczki, i zawracającą głowy ciężkim Szwajcarom i suchym Anglikom. Ale ty nie flirtujesz i nie lubisz flirtu, twierdząc, że nie umiesz i jesteś rzeczywiście na flirt za gruntowna. Traktujesz mężczyzn nie jak mężczyzn, ale jak ludzi! Ale... ale... co się stało z tym doktorkiem, Polakiem, który, à la lettre powstrzymał cię na drodze ku przepaści. To on również leczył twoją zwiechniętą nogę, a ty, niewdzięczna! nie nawet o nim nie wspominasz. Czyżby zniknął jak „sen jaki złoty“, nie próbując wryć się w twą pamięć? „Ukażał się i zniknął już“, co?

Młody, rodak, na obczyźnie, wybawiciel i „uzdrowiciel!“ a ty nic?

Jak ty nie umiesz bawić się, złota.

Ja bo bawię się tu coraz lepiej.

Zrana o godzinie 8-ej budzi mię z oddali dochodząca muzyka.

To pan Ludwik gra. Ma ten zwyczaj, że zrywa się o tej godzinie z łóżka i czemprowadź do skrzypiec w tem błogiem przekonaniu, iż taki wczesny ranek jest od tego, aby normalni ludzie, nawet na wsi, spali jeszcze. Dlatego też grywa i późnym wieczorem, bo późnym wieczorem normalni ludzie również śpią. I jestem pewna, jest tak o tem przekonany, iż nawet nie przyszło mu na myśl naocznie to sprawdzić.

Ja zaś zrywam się wtedy z łóżka i przez uchyloną ostrożnie firankę rzucam spojrzenie w sad.

— Aha! jest.

To Jadzia w białym negliżu z szafirowemi lub pąsowemi wstążkami, siedzi niby z książką, a w rzeczywistości cała zasluchana w czarodziejskie dźwięki, płynące z pod smyczka p. Ludwika.

Skonstatowawszy to, czempredzej wracam do łóżka i najsmaczniej sobie zasypiam. P. Ludwik ma słuchacza, jestem mu więc nie potrzebną. I za to sny mam cudowne, aż do przebudzenia się, a wstając omal, że nie ze śpiewką na ustach.

Dzień zaczyna się radośnie.

Do południa prawie nie wychodzę ze swego pokoju. Trochę maluję, a jak nie mam usposobienia, to czytam, piszę listy. Herbatę piję w swoim pokoju.

Jadźka gra z p. Ludwikiem, wujowstwo przy gospodarstwie, chłopcy śpią. Oni idą spać, kiedy wujowstwo wstają i od tej kwestyi niezmiennie zaczyna się rozmowa przy obiedzie, o godzinie drugiej, chwila kiedy bez zawodu wszyscy zgromadzamy się w dużej, cieniejszej jadalni.

Chłopcy tylko co wstali, jakkolwiek my z Jadźką razem, albo każda oddzielnie, zrobiliśmy już spacer i wracamy pomęczone i zgłodniałe.

— A hultaje! świat się do góry nogami przewraca! z dnia robią noc!—burczy wuj.

Ale chłopcy rozbrajają go:

— Wie papa, ten bałwan Tadeusz wpakował się na pięć bez siedmiu.

— No, no!—mówi wuj.

— Seryo—dowodzi Józiek.

Tadzik usiłuje się bronić, ale Józiek mówi.

— Bałwan.

— Sam bałwan jesteś. Bez koloru grasz.

— Na renonsy! na renonsy chciałem.

— Djabli ciebie wiedzieli.

Józiek już pięść podnosi, aby walnąć w stół z oburzenia, podczas kiedy wuj się śmieje, że Józiek ma rację, ale ciocia mityguje:

— Chłopcy! jak wy się wyrażacie.

Józiek pogardliwie macha ręką, a Tadzik zwraca się do mnie:

— Twoje paryskie uszy cierpią męki, co?

— Proszę, pozwól sobie;—mówię uśmiechając się, co go niewymownie drażni.

Edek już opowiada o jakimś nadzwyczajnym mięśniu, który znalazł przy sekcyi żaby. Zapala się, cytuje nam łacińskie nazwy, demonstruje po nożu i widelcu.

— Dość! dość!—wołam.

Odbiera mi to apetyt.

Ale po chwili on swoje. Niema nauk nad nauki przyrodnicze. Fizyologia to grunt. Zrobić odkrycie jakie ważne, kopać się w laboratorium...

— Flirtować z pannami—podpowiadam.

— To nie przeszkadza.

— Ty-byś był dobry, ale ty się uczysz i pracujesz dla przyjemności,—obserwuje Tadzik.!

Ale Edek mało sobie z tego robi. Doktrynera w nim ani za grosz. Ty wiesz, ja nie idee i dążności Tadzika ośmieszam, ale jego pozę. Zresztą ja wiem nawet, że i ta poza, to tylko często wynik szczerych przekonań i że z takiego pana, który dużo mówi o pracy dla społeczeństwa, może się naprawdę wyrobić pożyteczny członek zbiorowiska ludzkiego, ale wiesz, les grands mots zawsze mię trochę bawią. Więc lubię bardzo i Tadzika, bo to uczciwy chłopak, ale zawsze muszę go trochę podrażnić.

— No, no, nie wyciągajcie się na kwestye—mówi Józik.—Do diabła z tem.

On woli dyskutować o wińcie i rzeczywiście wpada w zapał oratorski, jak zacznie mówić o polowaniu. Ale ja się na tem nie znam i opowiadania jego nie tkwią mi w pamięci. Szanuję jednak i jego indywidualność. Dla mnie wszystko, co chcecie, byle człowiek nie był banalny.

Wuj bieduje:

— Żaden na gospodarza. A to się wyrobili! Chyba Józik najwięcej.

— Daj ojciec mnie w dodatku pięć tysięcy, to będę gospodarzył, o jej!—mówi Józik.

Tadzik oświadcza:

— Ja, owszem. Będę siedział na wsi i z ludem miał do czynienia.

— Czemu teraz z nim nie przestajesz?

— Bo jeszcze nie umiem. To nie tak łatwo.

— Ja myślę! Oni ciebie zjedzą razem z twemi ideałami—twierdzi wuj.

— Ojciec nie zna ludu.

— Ja całe życie siedzę na wsi.

Ale dopiero kiedy przyjdzie p. Stanisław, dzień staje się prawdziwie rozkosznym. Bawię się. Jest mi tak przyjemnie, jak dawno nie było, więc wynalazłam nowy powód do gryzienia się, bo wiesz, ja długo bez spleenu wytrzymać nie mogę.

Ot, powiadam sobie:

— Dobrze ci jest tutaj, przywiązujesz się do ludzi, otoczenia, życia tutejszego, a zapominasz, że jak ci przyjdzie oderwać się od tego, to może będzie boleć. Lecisz, jak ćma na ogień. Przecież tu nie zostaniesz, to nie twój ką, nie twoje miejsce, pójdiesz w świat. Więc uciekaj, póki czas, bo później może ci się odejść stąd nie będzie chciało.

I każda chwila słodsza, miłsza, gryzie mnie.

Zamyślam się czasem mocno, nawet przy p. Stanisławie, i kiedy raz pytał, przyznałam się do swych myśli.

On zbladł, ale to powiadam ci, zbladł i przymknął oczy, ale to trwało sekundę.

Jednak mimowoli spytałam:

— Co panu?

A on rzekł:

— Jeszcze nie czas, abym pani wyznał powód mego wzruszenia. I to źle, że pani je spostrzegła.

— Nie rozumiem— rzekłam chłodno.

A on popatrzył mi w oczy, a potem podniósł moją rękę do ust.

Źle!

Jeżeli mnie pokochał, dlaczego ze mną politykuje i dlaczego nie odchodzi, choć widzi, że ja się nie poddaję.

Chciałam mu odebrać rękę, ale raz zawładnąwszy nią, nie puszczał.

Zaczął się gniewać!

— Czy i tego niewolno? Ach! Boże, co się pani ręce stanie?

— A toż co nowego?

— A bo mię pani z cierpliwości wyprowadza. Słowo powiesz, mrozi lodowatym spojrzeniem. Spojrzysz od duszy, królowa groźnie brwi ściąga. A jednocześnie: marz! patrz! słuchaj! truj się! Dobrze sobie. Gdzież to logika? Psa nawet pan, kiedy trzyma w karności, głasze go i pięści od czasu do czasu. A pani mi z własnej woli nawet tyle nie daje, co psu.

— Czy obiecywałam co panu?

— Nie, nie! Ale czy to ja mam czekać, aż u pani serce odkamienieje?

— Nic nie czekać.

A on puścił dłoń moją, spoważniał i po chwili rzekł:

— A nieprawda. W duszy pani jest ślad, który ja zaszczipiłem mimo pani woli i wiedzy. Czas dokona reszty. Niema rzeczy, którychby wola świadoma i uczucie prawdziwe nie pokonały i nie zdobyły.

— Pan, mnie?

— Chociażby.

— W jakim celu?

— Ażeby panią uspokoić, a siebie uszczęśliwić.

Byłam tak oburzona jego zuchwałstwem, że odsunęła się od niego i rzekła prędko:

— Żegnam pana.

On skłonił mi się poważnie i spokojnie zupełnie powiedział:

— Pani pozwoli, że ją doprowadzę. Ciemno jest i nie mogę zostawić tak pani samej.

Wracaliśmy w milczeniu i w milezeniu ukloniliśmy się u progu domu.

Siedziałam na werendzie długo w noc, pogrążona naprzód w gniewie, potem w czarnej melancholii...

Spostrzegam się, że się wypisałam! A wcale przyznać się do tego nie chciałam. Miałam ci powiedzieć: bawię się i jest mi dobrze, tymczasem zdradziłam się.

Bawię się, ale do zabawy mojej zaczynają się mieszać niepokój i żal.

Może ty masz rację, najdroższa, że flirt to niebezpieczna zabawa?

H.“

„Chodziłam dziś cały ranek trochę kwaśna; po obiedzie zaś nastąpiła w całym domu taka cisza, że miejsca sobie znaleźć nie mogłam. Wujowstwowo, jak zwykle, udali się na poobiednią drzemkę, Jadzia zamknęła się w swoim pokoju pisać listy do swych przyjaciółek, p. Ludwik również zamknięty w swoim pokoju, nie wiem co robi, a chłopcy od rana pojechali na polowanie w sąsiedztwo.

Siedziałam sama w salonie, wtulona w róg szeszlągu i nieczytany numer Tygodnika Ilustrowanego rozsypany leżał koło mnie. Możliwym było zdrzemnąć się z nudów i irytacji—nie wiem, dość, że nie usłyszałam kroków wchodzącego do pokoju p. Stanisława.

Zdziwiona patrzyłam, jak stał przede mną i, zanim ocknęłam się zupełnie, powiedział:

-- Jak pani ślicznie śpi.

Zerwałam się oburzona.

— Nie spałam wcale!

On uśmiechnął się.

— Przepraszam panią najmocniej za śmiałość. Był-bym się cofnął, spostrzegłszy, iż pani ma oczy przymknięte, ale już było za późno.

Stałam przed nim gniewna i myślałam, co mam mu powiedzieć, bo widocznie jednak drzemałam trochę, albowiem czulam jasno, iż nie mogę jeszcze dobrze myśli połapać.

— Czy pani mi nie poda rączki na powitanie?

Potrząsnęłam głową przecząco, a ten, wyobraź sobie, potwór! uśmiechnął się.

— Dziecko.

— Co? co pan powiedział!

— Mój Boże, jaki ja jestem nieszczęsny... a przyjechałem właśnie panią przeproszać.

Podszedł prędko do mnie, wziął mię za obie ręce, posadził na krześle, sam osunął się na dywan i, nie puszcżając moich dłoni, mówił:

— Proszę się nie gniewać... ja bardzo przeproszam i bardzo żałuję, że taki jestem zuchwały. Bo o to się pani gniewa, prawda? Nie trzeba się gniewać, bo mnie bardzo, ale to bardzo przykro i miejsca sobie znaleźć nie mogę i wyrzucam sobie, że pani taka dobra dla mnie, pozwala mi być przy sobie, a ja panią zrażam i sceny pani robię, kiedy nie mam dotego żadnego prawa. Nie trzeba mi mówić, nie! nie! ja sam wiem, że pani nic nie obiecywała, że ja sam leżę w ogień. Nie! nie wrywać rączek... ja bardzo proszę i bardzo przeproszam i obiecuję być posłusznym. A widzi pani! nie może się już pani gniewać i ot, ot, zaraz się pani uśmiechnie... a co!

Więc cóż miałam robić? Przebaczyłam mu i w dodatku jeszcze pozwoliłam mu obejrzeć swoją pracownię. Nie był tam jeszcze nigdy. Oglądał moje szkice i studia i nic nie mówił. Trochę mię to intrygowało, aż wreszcie rzekł:

— Mój Boże, pani taka artystka, a ja co? Naturalnie, że pani nie może mnie kochać.

— Czy to znaczy, że tylko artystę mogła-bym kochać.

— Hm... czy ja wiem. Choć właśnie może to i dobre. Pani sama ma duszę niespokojną, kapryśną, zmienną—to pani potrzebuje człowieka pewnego, spokojnego, mocnego i równego. Trzeba tylko, żeby on panią rozumiał i kochał bez granic. Ot, jabym takim akurat był dla pani!

— Nie może być...

— A doprawdy, wcale nie żartuję. Czyż nie przykro nie mieć gniazdka swego, ciepłego, miękkiego, które zawsze czeka i zawsze przyjął gotowe. A czyż nie smutniej jeszcze nie mieć duszy bliskiej, której zawsze poskarżyć się można w smutku, a podzielić radością. Pani tego nie ma, ale pani może-by i chciała. Tylko pani nie wierzy, aby to było możebne, prawda? A ja podejmuję się przekonać i nawrócić panią. Jabym panią na rękach nosił i jak skarb chował, i jak największą świętość szanował. A kochał-bym panią...

Ale złość mnie zdjęła, więc przerwałam złośliwie:

— Bym?

On pomileczał chwilę, a potem, pochylając głowę nad rysunkami, rzekł spokojnie:

— A naturalnie. Czy pani przypuszcza, że już kocham?

— Czy nie mogę przypuszczać?

— Nie. Widzi pani, nie mogę kochać osoby, która mnie nie chce.

— A gdybym chciała?

— Marzę o tem i dlatego chcę panią nawrócić.

— Nie rozumiem takiej warunkowości uczuć.

On mi nie odpowiedział. Przewracał rysunki i pilnie im się przyglądał.

Więc znowu rzekłam:

— Jak to szczęśliwie. Jak to wygodnie umieć opanowywać i kierować swojemi uczuciami. Ot tak: raz! dwa! trzy! chcę, kocham, nie chcę, nie kocham.

— Bardzo wygodnie.

A ja zaśmiałam się głośno.

— To świetnie. Więc mogę się z panem bawić, jak mi się podoba. Nic panu złego się nie stanie.

Aha! pobladłeś kotku!

Pobladł, ale rzekł spokojnie:

— Nic mi się złego nie stanie.

Czy on tylko panuje nad sobą, czy rzeczywiście nic mu nie grozi?

Nic nie rozumiem.

Ile-to razy wydawało mi się, że on mnie kocha i już gotowam była bić na alarm i głos sumienia zaczynał się we mnie podnosić; a tymczasem, jak tylko chcę się o tem przekonać i on to spostrzeże, zamyka się na cztery spusty i tyle się dowiesz!

Nie rozumiem.

Jeżeli nie kocha mnie, to dlaczego działa umyślnie na moją wyobraźnię? Czy ja tego nie widzę! Nie, ptaszku, nie chcesz się tyl-

ko przyznać. Jaka ja głupia, wdając się w te rozumowania. Toż w oczy bije.

On mnie kocha.

I cóż ja teraz z tym fantem zrobię, Janiu?

Właściwie miłość to tak dobra zabawa, jak każda inna. Nie warto sobie tem głowy zaprzętać. Ale kiedy ja mimowoli myślę o tem.

„Nic mi się złego nie stanie.“

Tem lepiej! tem lepiej! bo jabym chciała mózdz zawsze się z nim bawić, słuchać jego spokojnej, pewnej mowy, być przy nim, nawet się złościć na niego. Chcę, aby nie zrażał się i nie odchodził, bo jest w nim coś, co jednocześnie działa na mnie i uspakajająco, jak odurzający trunek. Bez niego jestem znudzona, apatyczna, przy nim kipi we mnie życie.

Nie kocham go. „Le roi est mort, vive le roi!“ to-by było okropne. Nie kocham go, ale jest mi z nim spokojnie, rozkosznie, dobrze dobrze! Lubię go i chcę, aby nie odchodził!

Janiu, oświeć mnie.

Elka.“

„Co znowu, Janko, co znowu!

... „prosiłaś mię i listami swemi upoważniłaś mię do wypowiedzenia szczerze swoich myśli. Mnie się zdaje, dziecko, że ty go pokochasz, jeżeli nie kochasz już...“

Ależ, Janiu...

... „a z drugiej strony powiem ci, że ty potrzebujesz spokoju, zadowolenia, odpoczynku. Człowiek, który ci to da, może liczyć na moją wielką wdzięczność

i sympatyę. Pana Stanisława nie znam, ale z tego, co mi piszesz o nim, wydaje mi się, że z nim mogłabyś być szczęśliwą.“

Jestem oszołomiona twoją energią i pewnością zdania. Jakie to wszystko dla ciebie wyraźne, pewne, nieomyłne.

Ja go mam kochać...

Ależ, Janiu!

Elka.“

„Moja złota,

Ani trochę mię nie uraziłaś. Jak ci taka myśl mogła przyjść nawet do głowy! Ale wierz, dziś dajmy pokój mej drogocennej osobie; je suis aujourd' hui un peu dégoûtée de moi, lepiej mówmy o czem innym.

Więc nareszcie wspominasz mi o doktorku. Jest nawet na tym samym pensyonie w Champex, co i ty.

Gdybym nie była w tej chwili cała minorowa, powiedziałałym ci:

— Ej! Janiu, ej! coś mi to podejrzenie wygląda.

— Że ty temu doktorkowi w oczko wpadłaś, głowę daję.

Ot, wiesz: przecucie i koniec.

A że ty mi o nim skąpisz wieści, to w twoim stylu.

Więc i ja już milknę. Nie gniewaj się.

Co to pomoże zagadywać. Jest mi jakoś nijako, ale to tak nijako, że tracę wątek do gawędy z tobą.

Jestem nawet bardzo wesoła, śmieję się dziwaczę, gadam dowcipy, ale już p. Stanisław kilka razy mnie pytał:

— Co pani?

Pytanie!

Edek dzisiaj rano przyszedł do mnie i wyciągnął mię na przechadzkę.

— Słuchaj, Hela, tobie coś jest.

— Mnie? zwaryowałaś.

— Może być, ale mnie się zdaje, że nie; jesteś zdenerwowana.

— Czyż dotąd nie spostrzegłeś, psychologu, jak wogóle mam nierówne usposobienie?

— Tak, ale teraz co innego.

— Cóż?

— Et, obrazisz się.

— Nie, powiedz.

— Ja tak myślę sobie: coś jest między tobą...

— Dokończ. pozwalam.

— A panem Stanisławem.

— No cóż? podobam mu się i on mi się podoba.

— Coś tu nie tak prosto, ja myślę.

— Źle myślisz.

— A może być. Tylko nie gniewaj się.

Więc, żeby zatrzeć wszelkie ślady i wszelkie domysły, zaczęłam mu opowiadać różne rzeczy z werwą niesłychaną. Śmiał się wraz ze mną i wyglądaliśmy na dwoje osób rozbawionych do niemożliwości.

Czasem nie mogę się sama wydziwić, jaka ja jestem naiwna.

Bo Edek odprowadził mnie do domu i całując mnie w rękę, rzekł:

— Nie gniewaj się, Hela, ale ja tobie bromu dałbym.

— Masz tobie!

— No, nie gniewaj się.

A tak właśnie chciałam być równą, spokojną; jakby nigdy nic. Bo właściwie nic nie zaszło, a że ja mam zawsze swoje głupie myśli, w swojej głupiej głowie, co to kogo obchodzi?

Tobie tylko jednej daję na to prawo.

Pisz mi o sobie, to [mnie] najprędzej przyprowadzi do równowagi.

Ot, wiesz, trzeba mi będzie poprostu zabierać się stąd. Jak długo zabawisz w Champex? A co powiesz, gdybym ja tam nagle ci z nieba spadła, co? złota.

Twoja
niemądra

Eli.“

„Ah! ça m'embête à la fin. Wypisuję ci rozmaite głupstwa, roztrząsam kwestye, których miałam nadzieję nigdy w życiu nie podnosić, zastanawiam się nad miłością, prawie w nią wierzyć jestem gotowa, ja, której wierzyć zabrania cała moja przeszłość, obserwuję w jaki sposób dany osobnik reaguje na próby, którym go poddaję, urządzam rozmaite kombinacye, wysuszam sobie mózgownicę, w jakim celu, w jakim celu? w jakim! w jakim!

Obrzydło mi to już wszystko.

Jeżeli nie mogę tout bonassement przyjmować życia, to lepiej nic nie chcieć, zamknąć się na siedem spustów, i nosa na zewnątrz nie wysuwać. To przynajmniej było-by logiczne.

Ale dręczyć siebie w imię czego? czego? zlitujcie się ludzied i być szorstką, nieprzyjemną, dwuznaczną, fałszywą dla innych, jakie mam do tego prawo, nie prawdaż, Janiu? Psuć sobie wszystkie chwile i truć je innym, to już doprawdy dowodzi braku piątej kleпки w głowie (powiadają, że jest ich pięć...).

Dosyć tego.

Moje refleksye, doświadczenia, wnioski—są licha warte.

Obrzydło mi to.

Gotowam znieawidzić p. Stanisława, który zmusza mię do roboty i do postępowania, które mi są niemiłe.

Jestem zła, zła, zła!

Nie wolno się do mnie zbliżyć.

Jestem wściekła, bo nie maluję.

Co ja złego zrobiłam temu człowiekowi, iż zatrul mi mój spokój i zdolność do pracy. Trzyma myśl moją przy sobie i nie umiem się z pod tego wpływu wyzwolić.

Nie czuję ani odrobiny uczucia do tego spokojnego, zimnego, tajemniczego człowieka, który mnie, jak to się nazywa, kocha. Tak, kocha ale serce swoje i wolę, i czucie trzyma w żelaznych rękach i tem mocniej się zacina, im ja natarczywiej chcę wydrzeć z niego tajemnicę.

Zazdrość...

Aha! cóż, wszak nie jest mym narzeczonym, więc nie ma prawa nic mi powiedzieć, wie to i nie nie mówi. Milczy i ścisną zęby.

Widzę, że ścisną zęby, więc flirtuję z zaciekłością jakąś.

Dla czego milczy, kiedy tyle już mi był dał do poznania?

Jaka ja śmieszna! Więc cóż mnie to obchodzi, czy on mi ilezy czy mówi, czy zdradza się, czy jest jak sfinks.

Zadnego zaufania nie ma do mnie. Boi się. Nie podobam mu się taka, jaka jestem. Czyż to żona dla niego? Słusznie! Słusznie!

Moja Janeczko, wyzwierzam się przed tobą, bo mi to ulgę robi. To atak nerwowy! Ale ty uwagi na to nie zwracaj. Nerwy, ty wiesz!

Niczyją żoną nie będę. Gdzieżbym wytrzymać mogła poddana kurateli mężowskiej, mająca ciągle bez ustanku kogoś nad karkiem. Zwaryowała-bym. A mnie i tak do tego niewiele brakuje.

Flirt z p. Stanisławem zmęczył mnie. To nie flirt, to ciężkie roboty... Uf!

Chcąc mnie zdobyć, trzeba mi mówić o miłości, jęczeć, rozpaczać, łamać ręce, błagać. Trzeba mi u nóg leżeć. Ja to lubię. Ja tego chcę, wiele wskórasz dumą swoją szanowny panie. Brzeziewice, wiele! wiele!

Jak on mnie nie rozumie.

Nie kocham go. Nie, ponieważ nie rozumiem, co to miłość. Nie! rozumiem, jaką-by być mogła, jaka jest w fantazyi poety, ale nie w życiu. Nie kocham go, ale w tym człowieku jest coś, że chcę go zdobyć zdobyć, aby rzucić.

Zegnę go. Zwalczę jego dumę, za to, że mi się opiera.

Nie kocham go.

N a z a j u t r z.

Prędko, zanim Marcin pojedzie na pocztę, dopisuję słów parę. Nie bierz moich bazgroł na seryo. Tyle hałasu o nic. Ani zdobywać, ani karać go nie chcę. Nic on mnie nie obchodzi. Nie warto się o to troszczyć.

Znudzona jestem. Spleen mię napadł, bo pracować nie mogę. W bezczynności jestem upadłą moralnie kobietą. Praca mnie uszlachetnia.

Chciała-bym już się z tobą jaknajprędzej zobaczyć.

Droga moja, pomyśl tam poczciwie o mnie, wiesz...

H.

„Moja jedyna,

Piszesz, że sliczne masz lato, prześliczne spacerzy, przyjemne towarzystwo, i że Szwajcaryja cię zachwyca.

Szczęśliwa!

I chwala Bogu, bo kto więcej, niż ty, zasłużył na trochę spokoju, na trochę chwil jaśniejszych. Daj Boże, aby twoja rezygnacya — nie umiem tego u ciebie inaczej nazwać, taka szlachetna, taka wzniosła ożywić się mogła odrobiną słońca i uśmiechu! Wszak życie czasem obdarza szczęściem niektóre swoje dzieci. Oby wszystkie najpiękniejsze promienie na ciebie skierowało. Ty mi nic nie piszesz o p. Emilu, prócz pobieżnej wzmianki, że razem odbywasz cudne wycieczki; jak chcesz Janiu, ale ja wiem, że on się w tobie kocha.

Może być miłość, może. Ty mnie nie słuchaj, to tylko ja należę do tych ludzi, którzy słodczy uczucia nie zaznają nigdy, bo nie umieją nic brać prosto, świeżo, naturalnie: po ludzku. Jestem upośledzoną moralnie istotą. Sama psuję sobie życie. Nic chcieć mocno, silnie, nie umiem, więc i w nie wierzyć mocno, silnie, nie potrafię.

Jestem znudzona, p. Stanisław mię nie bawi, nie wiem co się dzieje wkoło mnie, a tu jutro bal u Iglickich. Nie pójdę.

Nie; wiesz? une idée: pójdę! i będę bawiła się jak szalona, chcę kokietować, flirtować, wyzywać, palić! To mię wzrusza! To lubię! Tak, trzeba wymyślić jaką efektowną toaletę. Oh, niedołęga ze mnie, jutro bal, a ja nic przygotowanego nie mam. Chcę się bawić. Pour épater le monde, będę wystrojoną, wygorsowaną, avec des demons fous, które umiem pokazywać, jak chcę. Coż ja włożę? Czeka! Biała? Ach! nie na jutro. Czarna, nie, to jeszcze za correct. Już wiem.

Czy pamiętasz tę żółtawo-różową, którą obiecałam ci, że nie będę no-
sić, bo jest koloru ciała i obciska mnie niby pancierz, i stanik ma, two-
jem zdaniem, zbyt wycięty. Ale wiesz, doprawdy, teraz noszą suknie
tak obcisłe i décolté tak obfite, że, zaręczam, strój mój nie wyda się
ani o połowę tak wyzywającym, jakim jest w intencji, chociaż ten
frazes przeznaczony jest na to, aby cię uspokoić—jakie to szczęście,
że jak ty odpiszesz, to już będzie po wszystkim. Jutro bal. Złota
moja, dostają gorączki.

Słyszę jak wołasz:

— Pysznic jej na głowę i bromu, bromu!

Tak, tak. Nerwy, wiem. Jak dusza chora jest, mówi się
nerwy.

Dość już mam rozumowania i cnoty.

Ukochana, nie zabij mnie.

Może jestem marna i nikczemna, ale nie mogę inaczej.

Na p. Stanisława zero uwagi.

Chcę pohulać trochę... to tak przyjemnie.

Wolno mi; nie mam męża, o którego honor dbać-byćm powinna!
Wolno mi.

Jutro ani słówka do ciebie, dopiero po balu napiszę ci, czym się
dobrze bawiła.

Twoja

Waryatka*.

„Janiu, słuchaj, jestem jeszcze oszołomiona, nie wierzę, że to
się stało, nie siebie nie rozumiem, czy zaraz nie wpadnę w rozpacz,
czy może zaraz omdleję z rozkoszy. Czekaj, zrzuć suknię, otulę się
ciepło, bo ranek był taki świeży, że mnie jeszcze dreszcze przecho-
dzą. Tylko co wróciłam do domu. Odwiozł mnie Edek, bo powie-
działam, że mię głowa rozboleła. Już dzień jest a tamci jeszcze zo-
stali. Poczekaj, włożę kaftanik, zaraz ci wszystko opowiem.

.

Bal był liczny bardzo, całe prawie sąsiedztwo zjechało się, moc młodzieży, panie postrojone. Ja wyglądałam świetnie. Ramiona moje od razu efekt zrobiły, a w dodatku werwa aż kipiała we mnie (wedle programu), więc otoczona byłam rojem fraków, aż do nieprzyzwoitości. Ciocia była zmieszana trochę mem zbyt jaskrawem powodzeniem. Muszę względem niej naprawić ce manque de respect. Ale mnie to ujdzie, bo mam opinię ekscentryczki.

P. Stanisław, co chwila pokazywał się w sali balowej i co chwila znikał.

Tańczyłam do upadłego.

On nie tańczył.

Czy to dla tego, żeby nie być zmuszonym mnie do tańca zaprosić.

Był jeden taki młodzieniec, blondyn, wymuskany, z monoklem i blagier...

Takiego blagiera w życiu swoim jeszcze nie spotkałam. Nie odstępował mnie specjalnie. Ośmielałam go umyślnie i udawałam, że się biorę na jego komplementy. Młodzieniec leciał, leciał... i omal, że mi się nie oświadczył. Mam tu opinię posażnej panny, a młodzieniec podobno zarówno ceni wdzięki, jak dźwięki.

Właśnie, kiedy nachylony ku mnie słodko przemawiał. we drzwiach ukazał się p. Stanisław.

Mam dobre oczy, więc spostrzegłam, iż wzrok jego zatrzymał się na nas uporczywie i nie odchodził.

Zrobiłam najśłodsza z mych słodkich min.

— Chce pan listka od mojej sukni?— rzekłam młodzieńcowi, który wygłosił z przejęciem:

— O, pani! zachowam go na pamiątkę najpiękniejszej kobiety, jaką w życiu widziałem i jako szczęśliwy omen, że...

Idyota!

Odpięłam liść bluszczu, leżący przy piersi i już go podawać miałam, ale mimowoli opadła mi ręka: przed nami, jak chmura, stanął pan Stanisław i rzekł prędko:

— Pani Łaniewska prosi pani. Pani pozwoli, że ją odprowadzę.

Machinalnie wstałam, rzuciłam uśmiech młodzieńcowi, który zarwał głowę do góry, przypatrując się natrętowi, i przyjąwszy ramię mej chmury odeszłam.

— Ciocia mię wola?

On przeprowadził mnie przez parę pokoi, milczący, groźny, i nagle znaleźliśmy się na ganku, z którego schodziło się do parku.

— Gdzie pan mię prowadzi?

— Do parku.

Zdziwiłam się; ciocia w nocy, zamiast przyzwolicie ubierać kanapę w salonie, spaceruje po parku.

Co prawda, powietrze było dziwnie łagodne i park rzęsiście oświetlony, niby salon.

— Gdzie ciocia?

— Nie wiem.

Zatrzymałam się oburzona.

— Więc poco pan mię wyprowadził z sali?

— Ażeby pani nie kompromitowała się więcej.

— Co to znaczy?

— Widziałem, jak pani chciała dać kwiat temu błaznowi.

— Kwiatów dziś nie mam na sobie, tylko liście. Nie zna się pan na botanice, ale mniejsza o to. Więc cóż?

— Może świeże powietrze otrzeźwi panią trochę!

— Panie!

— Czyż pani nie czuje, co pani dziś robi! To już nie kokieterya, nie flirt.

Wyrwałam mu ramię i zawróciłam.

— Gdzie pani idzie?

— Bawić się.

— Bawić się!

Zaśmiał się ostro, pogardliwie.

— Jak ja się na pani zawiodłem!

Stanęłam.

— Pan, na mnie?

— Tak. Szukałem i zdawało mi się, że znalazłem w pani duszę. Wszystko, co kładłem na karb pani nerwów, to właśnie stanowi pani duszę. Wszystko, co idealnego znajdowałem w pani, to właśnie były nerwy. Od jakiegoś czasu właśnie natura pani wychodzi na jaw: kapryśna, zmienna, powierzchowna, sucha, bez serca. Efekt, wrażenie to pani sfera. Niezdolna pani ani czuć, ani kochać nic poważnego, dobrego. Blichtr! flirt! A ja myślałem, a ja myślałem...

Machnął ręką.

— Czy wolno mi już odejść? — rzekłam spokojnie.

— Nic! nie! I pani nic mi nie powie i wróci pani tam, do tego błazna znowu, który do pani nagich ramion się pali.

Wyprostowałam się cała pod tą obelgą.

On cofnął się o krok jeden.

— Nie będę pani przepraszał! Pani nigdy taką, jak dziś, nie była. To można oszaleć! Chciałbym panią móżdź zdusić! tak, zdusić.

A ja...

Mój Boże! co to było?

Zbliżyłam się do niego powoli, z oczami utkwionymi w jego oczy, wzięłam jego ręce w swoje i szepnęłam:

— Zduś...

On zaczął nagle drżeć, czułam to po jego rękach. które w moich trzymałam. Nagle ogarnęło mnie zmęczenie, powieki ciężkie jak ołów opadły mi na oczy. Zdaje mi się, że się zachwiała na nogach.

Wtedy on objął mnie ramionami.

— Proszę, jedź pani do domu—szepnął.

— Dobrze—odpowiedziałam.

.

Zmęczona jestem, Janiu. Idę list ten położyć w jadalnym pokoju, Marcin weźmie, jadąc na pocztę. Może-bym jutro ci już tego listu nie wysłała. Dobranoc, Janiu, idę do łóżka.

H.

„Nie mogę zasnąć, Janiu, nie mogę wyleżeć na łóżku. Przewracam się z boku na bok, miejsca sobie znaleźć nie mogę.

Dzień już wielki i już gorąco.

Nie mam czem oddychać.

W głowie czuję chaos i jestem pewna, że będę miała migrenę. W skroni mi pulsuje.

Nie mam czem się odświeżyć, nie mogę odpocząć.

Oderwane epizody, obrazy, frazesy, fakty przesuwiają się w mej świadomości, niby nieuchwytny cień. Nie mogę się im opędzić, nie

mogę się skupić na jednej, jednej rzeczy, która mnie całą przejmuję, interesuje: jak to było?

Przypominam sobie, odtwarzam i znowu mi się mąci wszystko, zebrać w jedno nie mogę tego, co się stało.

Czy to już mnie z nim wiąże nierozdzielnie?

Fakt jest, że przez chwilę byłam cała w jego objęciu.

Nie jestem dziecko, nie jestem szesnastówka—ale takie rzeczy zostają i wykreślić tego nie można.

Czy on mię już tem samym zabrał na wyłączną własność swoją? Czy nie mam już prawa powiedzieć mu: nie!

Czy chcę „nie!“ powiedzieć?

Przymykam oczy i zdaje mi się, że ramię jego dotyka mego ciała...

To już koniec?

Więc „tak“?

Tak prędko, tak nagle, tak niespodzianie?

A on jak to rozumie?

Ach!

Jak on patrzył na mnie... co myślał...

Zimny dreszcz mię przechodzi.

Co to jest? Dlaczego jestem taka niespokojna? Co za myśli przychodzą mi do głowy.

On przyjdzie dzisiaj. Jakiemi oczyma spojrzy na mnie? Ja się tego spotkania boję. Po tem, co on mi mówił — w szale zazdrości, ale powiedział—po tem, ja sama rzucam mu się w ramiona...

Janiu, straszna rzecz stać się może!

Jeżeli on mię nie rozumiał?... Ja sama nie rozumiem, to cóż dopiero on.

Ale czy tak się pomylić można?

Ja tracę głowę. Pójdę do ogrodu odświeżyć się trochę.

To było-by okropne.

.

Gorąco. Nie mogę ochłodzić rozpalonego czola. Pójdę do rzeki wykąpać się. Spać mi się nie chce, ale jeżeli nie zasnę, ból głowy na dzień cały, to wiadome.

.

Przyjechał, ale powiedziałam Jadzi, że nieprzytomna jestem z bólu głowy, i nie mogę wyjść do nikogo.

Nie chcę go widzieć... nie mogę.

Głowa mi pęka.

.

Jadzia ostrożnie uchyla drzwi od mego pokoju:

— Czy mogę wejść?

— Możesz.

Niesie olbrzymi pęk róż pachnących, zroszonych, przezroczy-
stych, delikatnych... kładzie mi je na łóżku.

— Pan Stanisław przysłał dowiedzieć się o twoje zdrowie i te
oto kwiaty. Prawda, jakie przepiękne?

— Prawda.

— Czy ci lepiej trochę, Heluniu.

— Lepiej.

— Ale nie przyjdiesz na herbatę?

— Wolą-bym nie.

— Przyniosę ci tu, chcesz?

— Nie, dziękuję ci, nie chcę, będę spała.

— Dobranoc, Heluniu! Zadzwonisz, jak będziesz czego potrze-
bowała.

— Dobrze, dziecko, dziękuję ci.

— Nic nie powiedzieć panu Stanisławowi? •

— Podziękować.

— Dobranoc!

— Dobranoc.

Zrywam się z łóżka. Kwiaty rozsypują się świeże, pachnące...

Te słów kilka do ciebie i pieczętuję list.

Czuję, że nareszcie zasnę.

Nie chcę myśleć o niczem.

Śpać! spać!

H.

Tyle godzin, tyle wieków męki — napróżno.

Noc przespalam snem ciężkim, kamiennym i obudziłam się dziś o dziewiątej rano, uspokojona już i z dziwnym przeczuciem w duszy, iż skończy się moja niepewność na dobre.

Przedziutko wzięłam kąpiel, włosy zwinęłam bez fryzury żadnej w jeden węzeł, narzuciłam biały, batystowy szlafroczek, w którym mi bardzo do twarzy, wypiłam śpiesznie herbatę — czego się śpieszyłam? Żeby mi kto powiedział! I coś mnie gnało do ogrodu, na świeże powietrze, do słońca.

W parku naszym jest jedna aleja w samej głębi, opuszczona, zarosła, z dwoma płatami zielonej murawy po obu stronach i z kilku nędznymi, smutnymi wierzbami srebrnymi. Po tej alei chodzić lubię namiętnie, bo cicha, bo melancholijna, bo zapomniana i smutna.

Poszłam tam się przechadzać i chodziłam z jednego końca w drugi, tam i z powrotem, swoim zwyczajem, a wiatr rozwiewał szerokie rękawy mego szlafroka, i było tak świeżo, pomimo słońca i dnia lipcowego.

Cień jakiś na ścieżce... Czulałam, że cała krew z twarzy ściekła mi do serca. Nie spodziewałam się go tak wcześnie.

— Niech pani ze mną pójdziena spacer... daleko stąd... od ludzi... — rzekł, nie witając się ze mną.

— Jestem nieubrana, — rzekłam cicho.

— Niech pani prędko narzuci płaszcz, czy jaki gałgan. Nie będę zachodził do państwa, wyjdę na pola. Zaraz, dobrze?

Pobieglam prędko do domu, chwyciłam płaszcz swój mauve, lekki taki, parasolkę do ręki, i w kilka chwil potem byłam już przy nim.

Szliśmy prędko, w milczeniu, w kierunku rzeki, pod las, przez złote pola, porośłe żytem, którego kłosa wiatr słał po ziemi. Słońce wesoło siało po ziemi, po zbożu, po nas, swe jasne promienie.

Wreszcie on spytał miękko:

— Dlaczego pani taka blada?

Uśmiechnęłam się, ale jakiś dziwne uczucie ścisnęło mi gardło i nie mogłam nic odpowiedzieć.

— Nie chciałaś mnie pani widzieć wczoraj, dlaczego?

— Głowa mię bolala.

— Dlaczego głowa panią bolala? Czy żalujesz?

Wyciągnął rękę ku mnie, ale cofnęłam się przerażona.

— Czego się pani boi?

Wziął delikatnie dłoń moją w swe ręce, i leciutko dotknął jej ustami.

— Czy moja?

Milczałam.

Opuścił powoli rękę moją wzdłuż sukni.

— Co pani? Panno Heleno, pani przecież zrozumiałaś, że wtedy na balu, to był tylko szal zazdrości. Ja nie potrzebuję pani mówić, żem nie wierzył w żaden frazes, który usta moje wymawiały. Przebaczyłaś mi?

Czalałam, że krew zalewa mi twarz, czoło, szyję.

On patrzył na mnie, a potem nagle ukląkł na ziemi, w piasku, i objął ramionami nogi moje:

— Niegodzien jestem dotknąć czołem twego bucika.

Pochyliłam się i dotknęłam jego ramienia:

— Proszę, niech pan wstanie.

— Nie wstanę, póki nie powiesz: przebaczyłam!

Uśmiechnęłam się.

— Przebaczyłaś?

Kiwnęłam głową.

— Powiedzieć!

— Przebaczyłam.

Wtedy on wstał, strzepnął piasek z kolan, zrobił ruch, jakby się chciał do mnie zbliżyć, odstąpił, całą piersią zaczerpnął powietrza i rzekł z komiczną rozpaczą:

— Jaką ja będę miał biedę z moją malutką panią, strach pomysleć!

Tak byłam nieprzygotowaną na ten zwrot, iż patrzyłam na niego wytrzeszczonymi oczyma.

— Jak cię dziwi! Będę cię musiał uczyć kochać. Bo nie umiesz, pomimo całej swej mądrości. Śmieję się, śmieję! a zobaczysz.

No, powiedz! ot, i po tragedyi.

Poszliśmy nad rzekę.

Rzeka leżała złota u stóp naszych. Siedziałam na trawie, w płaszcz zawinięta, iż końca pantofli nie widać było z pod niego. Głowę miałam opartą na obu dłoniach, „jak korona kwiatu na swym kielichu“, on powiedział, i słuchałam, co on mi mówił.

On mówił, że ja jestem królowa, ale że nie umiem się obchodzić z poddanymi, bo wzrok mój zbyt wysoko błądzi i szuka równych sobie, a że takich niema, więc, niezadowolony i zawiedziony, zamyka się w sobie, i niech się co chce, dzieje! Nic mnie to nie obchodzi.

Mówił mi, iż nic się właściwie nie zmieniło, tylko, iż on ma prawo mówić mi teraz o swej miłości, więc jest szczęśliwy, ale zresztą,

to tak samo, jak przedtem, musi mię jeszcze zdobywać, bo jak sfinks jestem milcząca i kamienna, i dość czasu upłynie, zanim we mnie lód stopnieje. Ale on wie, że ja jestem jego, że będę jego, że jego nie rzucę, bo on wziął mię przemocą i nie puści. Ze mną nie można inaczej, bo zanim się na coś zdecyduję, jemu-by włosy od oczekiwania posiwiały, więc choć go nie kocham jeszcze naprawdę, ale on wie, że już jestem jego i jest pewien, iż mi się to nawet już wydaje, jako obowiązek. On wie, że ja jestem i dobra jak anioł, i obowiązkowa jak ideał, i uczuciowa jak sama miłość, a tylko wmawiam w siebie, że nie, i często maskę taką nakładam, że wydaję się kobietą lekkomyślną i bez serca. Brr! Jak on tego nie lubi. Ale nie jego brać na te kawały. Tylko że pomimo mego poważnego wieku,—ojej! jaka stara, aż wstyd! — jestem dzieciak i dlatego—jestem jego Malutką — i on mię uwielbia.

Czy ja mogę spamiętać, co on mi mówił?

Mówił, mówił, mówił — a mnie od tego mówienia tak ciepło się na duszy robiło, i lekko, i rzeżko, i chciałam wyciągnąć do niego ramiona i wołać:

— Dziękuję! dziękuję...

Ale nie mogłam, i on mi znowu mówił, że siedzę taka skulona i taka osłonięta, niby jaka bogini tajemnicza, i oczy mam takie dalekie... dalekie... ale on się tego nie boi, i niech ja sobie porozmyślam trochę, połapię się z sobą, oswoję się z tem, żem już nie własna własność, ale jego, i że choć na razie może mię to nawet gniewać trochę, ale niech ja się choćby i pozłoszczę trochę, to mi dobrze zrobi; jestem tak ładna, że mi złość nie zaszkodzi, a za to potem będę mu wdzięczną, bo mnie z nim musi być dobrze, musi, musi, bo inaczej on się powiesi, i mnie się zrobi jego żal i będę płakać, a to mnie zepsuje oczy, cudne, szare, tajemnicze oczy, więc szkoda ocząt, prawda? I litując się nad nim, właściwie jeszcze nad sobą będę się litować. Jaka egoistka!

Zdawało mi się, że nigdy nie skończy, że zaleje mię potokiem słów pieścizotliwych jak muzyka, słodkich jak miód, pachnących jak świeże, polne kwiaty.

Tak! Nie umiem kochać.

On pławi się w swem uczuciu. Zdaje się, że siły wszystkie stamtąd czerpie, całą moc, całą pewność, całą ufność. Trzeba kochać — to życie, zdrowie, urok, szczęście! Trzeba całemu oddawać się miłości, do najdrobniejszego drgnienia duszy. Można kochać — jest miłość. Trzeba tylko oczy mieć otwarte, duszę nieuprzedzoną, trzeba umieć się poddać, i wtedy miłość wchodzi w serce, w myśl, w krew, w życie — już jej się nie pozbyć.

Czy ja tak potrafię?

Czem mu zapłacę za to szczęście?

Jestem jakby w hallucynacyi. W uszach mi dźwięczą słowa jego i ten ton jego głosu gorący, pewny, mocny, słodki...

Cisza, śpią wszyscy, a mnie się zdaje, że on jeszcze przy mnie, i całą mnie owiewa atmosfera paląca, a taka jednak świeża, od której tracę zmysły.

Co za rozkosz!

Dniu jutrzejszy, nie zbudź mię z upojenia!..

H.

AL. SUSZCZYŃSKA.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Szujski jako poeta.¹⁾

Jeżeli własnych mało, to tłumaczonych dramatów przybywa znacznie; aż dziwno, że czasu mogło na nie starczyć tak zajętemu pracą człowiekowi. Było to poniekąd wypoczynkiem, w każdym razie rozrywką, oderwaniem myśli od współczesnych ciągłych trosk i frasunków. Przekłady te ciągnęły się przez całe życie; w pierwszych latach uniwersytetu już Szujski tłumaczył razem Agamemnona Eschylosa i Sen Nocy Letniej Szekspira (ten nieszczęściem zaginął). Później, kiedy mógł, ile mógł, bawił się temi przekładami i do nich powracał. Tak powstały z biegiem czasu tłumaczenia z Eschyła „Orestei“ całe, „Prometeusza“ i „Persów“; z Arystofanesa „Rycerzy“ i „Ptaków“, z Calderona „Życie snem“. „Ryszard III“ Szekspira tłumaczony był dla potrzeby krakowskiego teatru, nie w całości, z opuszczeniem scen, które nie miały być grane, i bardzo pośpiesznie, tak, że tłumacz nigdy go za dobre i dla siebie obowiązujące uważać nie chciał, zbyt względem siebie surowy, bo przekład, choć nie bez za-

1) Patrz zeszyt lipcowy.

rzutu, jest z polskich najlepszy. Były to dobre czasy krakowskiego teatru, kiedy dyrekcya artystów i publiczność z szlachetną skwapliwością chcieli widzieć na scenie dzieła różnych wieków, cywilizacyi i rodzajów. Wtedy zdarzyła się rzecz, nigdy przedtem niaslychana, prawdziwa grecka komedia na scenie polskiej. Z jakim humorem ciętym, z jaką świetną satyryczną werwą przełożył Szujski nieśmiertelne licytacje Masarza i Kleona, chcących zyskać łaski starego Demosa! Nie obeszło się bez gniewów na Szujskiego za to, że Arystofanes napisał wiecznie prawdziwą komedję. Znać dobrze stary Grek uderzył w stół, kiedy na to uderzenie do dziś dnia odzywają się nożyce.

O wartości i wierności filologicznej tych przekładów nie mnie sądzić. O ich kształcie i stylu polskim dadzą wyobrażenie wyjątki. Tu jedna tylko uwaga: to, że im późniejsze, tem są świetniejsze; młodociany „Agamemnon“, słabszy daleko od „Eumenid“ i od ostatnich „Persów“. Są zaś pewne sytuacye, które on oddaje ze szczególną siłą i natchnieniem, znać poruszają go najgłębiej. Taką jest naprzykład Prometeusza duma i niezłomność, takie skargi i lamenty Persów i ducha Daryusza groźne, smutne do nich wyrzuty.

Z „PROMETEUSZA“.

GWAŁTY PRZEMOC *wiodą* PROMETEUSZA, *za nimi idzie* HEFAJST
z kajdanami i narzędziami kowalskimi.

PRZEMOC.

W dalekie ziemi przybyliśmy krańce
Socytyjską drogą, pustą i bezludną.
Z rozkazu Zejsa bierz się do roboty,
Hefajście! Pomnij, że ci Zejs polecił
Tego zuchwalca do nadmorskiej skały
Niepożytemi przykuć kajdanami.
On-to niebiosom ukradł ogień święty,
On cudotwórczy dał ogień śmiertelnym,
On wziął ci klejnot, któregoś był panem!
Niechże więc splaca świętokradztwa zbrodnię,

Niech się nauczy cześć rządu Kroniona,
Miłość ludzkości niech wygasi w łonie.

HEFAJST.

Gwałcie! Przemocy! Co wam Zejs polecił,
Dokonałście. Mnie reszty dokonać,
Ale mi ciężko — ciężko mi krewnego
Bogów przykuwać do odludnej skały!
Nie mam odwagi, a trzeba odwagi,
Bo ciężko ojca nie słuchać rozkazów.

Mądrej Temidy wolnodumcze dziecię,
Wbrew sercu muszęć temi kajdanami
Do tych samotnych przykować granitów.
Twarzy tu ludzkiej nie spotkasz, ni głosu,
Młodzieńcze ciało zwiędnie ci od skwaru
Jasnego słońca, a choć upragniona,
Gwiazd tysiącami przetkana, noc tobie
Zwilży powieki, to wnet jarkie słońce
Utrapienemu ulgi pozazdrości,
I chłodną rosę wypije z oblicza.
Straszną ci będzie każda terażniejszość,
A nie urodził się, kto-by ci pomógł!
Takie owoce niesie miłość ludzi!
Czemużeś, rodu bożego potomku,
Tak mało gniewu obawiał się bogów,
A ponad słusność czcił śmiertelne stwory?
Przyszło ci stróżem tej skały być smutnym,
Z rozpiętem ciałem, z niezgiętem kolanem
Przyszło ci wieczność przepędzać bezsennie,
W płaczu i skardze przepędzać daremnej.
Zejs bo, jak każdy, co się dorwał władzy,
Nieprzeblagany jest i niezmiękczony.

PRZEMOC.

Przestań zawodzić i zwlekać daremnie!
Cóż to? Wrogiemu bogom szcędzisz boga,
Co dar twój własny śmiertelnikom zdradził?

HEFAJST.

Wielkąż-bo krwi jest i związków potęga.

PRZEMOC.

Nieposłuszeństwa strach większą być musi.

HEFAJST.

Pełną dzikości, a bez miłosierdzia.

PRZEMOC.

Ży tu daremne, więc nie trudź się łzami.

HEFAJST.

Stokroć przekłete rąk moich rzemiosło!

.

PROMETEUSZ.

O święta powietrzna przestrzeni,
 O wiatru powiawy skrzydlate,
 O źródła przeczyste szumiących strumieni,
 O morskie wy fale, które blask rumieni,
 Śmiejące, wesołe, bez końca.
 O ziemio, ty matko, w ubiory bogate
 Strojna od słońca,
 Ty, słońce, wszechwładną patrzące źrenicą,
 Patrzajecie, co boga od bogów dotknęło!
 Jaka hańba i jaka męczarnia!..
 Patrzajecie: to Zejsa dzieło!
 Napróżno ma boleść gdzieś przyszłość ogarnia:

Lat krocie otchłanną mnie chłoną ciemnicą,
Nie widzę wybawcy i końca!

Ależ co mówię? Wszak znam przyszłość moją,
Żadna mi boleść nowością nie będzie,
Los mój znieść muszę, przeznaczeń potęga
Jest nieugięta. Lecz milczeć mi trudno,
Choć trudno mówić o losu wyrokach.
Żem zniósł śmiertelnym wielki niebian udział,
Żem światła skryte stworzył im źródło,
Sztuk niezliczonych skarbnicę bogatą:
Za to mi gniecie kark to jarzmo kary,
Za to przykuty jęczę na tym szczycie.

Lecz oto!

Co za szmer, co za woń ku mnie nadlata
Z świata śmiertelnych, czyli z bogów świata?
Miałabym wabić ciekawość skrzydlata
Lub co innego gości w to pustkowie?
Ktobądź się zbliża, ludzie, czy bogowie,
Patrzcie! Okuty Prometej tu stoi,
Wróg Zejsa, bóg sam, od bogów wygnany,
Ile do Zejsa wchodzi ich podwoi,
Bóg odepchnięty, że kochał ziemiany!
Ha! Znowu szelest niby ptasząt słyszę,
Cichy szmer skrzydeł maści niebios ciszę,
Coś zbliża się i lęk mnie napada!

*(Od strony morza przybywa niesiony przez ptaki
Chór Oceanid).*

CHÓR.

S t r o f a.

Bądź bez obawy!
Przyjaźne tobie skrzydłami wiotkiami
Szybko na kraniec biegniemy ziemi,
Zmiękczywszy serce rodzica.
W nadmorskich nas grotach pobudził młot krwawy,
A przestрах nieśmiałość nam z lica
Spędził rumianą:

Bledziuchne na twarzy i z kosą rozwianą,
Z bosemi nóżkami my ptaszym rydwanom
Wieżć się kazały ku tobie.

PROMETEUSZ.

O córki Tetydy! o dzieci
Okeanosa, co morza strumieniem,
Bezsenny, ziemię obejmuje świętą,
O dzieci, popatrzcie! Jam w wielkiej żalobie,
Ja kajdan żelaznym przykuty pierścieniem,
Na stróża mnie skałom rozpięto!

CHÓR.

A n t i s t r o f a .

Ach! Widzim ciebie!
Żrenice nasze mgłą zaszyły nam białą
Od łez, któremi nam oko wzbierało,
Gdyśmy wionęły ku szczytom:
O drogi! Ty w wielkiej usychasz potrzebie,
Okrutnie do skał cię przybito!
Biada! ród nowy
Panuje w Olimpie, ponury, surowy,
Nowemi prawami ugniata Zejs głowy
Pierwej władające berłami.

PROMETEUSZ.

O, gdyby mnie zepchnął do Hadu,
W noc Tartarosa, co umarłe gości,
Góry granitów na pierś mi położył!
Niecch-bym się tylko nie spotkał z bogami,
Ani szyderstwa zwycięzców nie dożył!
On rzucił mnie na cel ich złości!..

CHÓR.

S t r o f a.

Któryż z bogów ma serce z kamienia,
 By takim widokiem się cieszył?
 Któż jest, aby z litością nie śpieszył
 Ulgą cierpienia?
 Zejs jeden, co boże Uranosa plemię
 Niemordowaną dłonią ugniata,
 On nie spocznie, aż ujrzy rzucone o ziemię...
 Albo dopóki mu podstęp władzy nie wydrze bułata.

PROMETEUSZ.

A przecież czas przyjdzie, gdy wszechwładcy nieba
 Pokurczonego kajdan brzemieniem
 Będzie potrzeba;
 Ja jeden znam matnię, co zgubna nań czyha:
 Lecz próżno z ust sączyć będzie miód wymowy,
 Napróżno gromkimi przerażać mnie słowy.
 Nie złamie milczenia pierś cicha,
 Dopóki mi własnem nie zdejmie ramieniem
 Więzów z bolesnej postaci,
 Dopóki mi zadość czyniąc
 Hańby i krzywdy nie splaci.

CHÓR.

A n t i s t r o f a.

Twardym jesteś na twoje męczarnie!
 Puszczasz wodze śmiałemu duchowi!
 Mnie zaś w zimne strąch ramiona garnie,
 Bo któż mi powie,
 Gdzie kres, gdzie koniec strasznej twojej męki?
 Gdzie przystań spoczynku i ciszy?
 Niezbadana-bo przyszłość z Kronionowej ręki.
 Twardy, lecz on nie widzi i jęków nie słyszy.

PROMETEUSZ.

A przecież czas przyjdzie, gdy sędzia ów srogi,
 Co władzę swoją, władzy swojej k'woli
 Potępia bogi,
 Zwolnieje łagodny, gdy los go mój spotka...

Z „PERSOW“.

SCENA 1.

CHÓR.

Perskiego ludu czestną my starszyną,
 Wybraną przez syny Dariusza
 Ku stróży palacom, ku stróży krainom,
 Gdy naród na wojnę wyrusza.
 Wyruszył Helladę potłumię zuchwałą,
 Wyruszył bezbrzeżną gdzieś falą:
 Nam starym drży serce przed przeczuć nawałą,
 Lżą twogi się oczy kryształą.
 Od złota błyszczeli, rdzeń siły, kość z kości,
 Kwiat dzielnej, rycerskiej młodzieży:
 A z wieścią zwycięstwa, a z słowem radości,
 Ni jezdny, ni pieszy nie bieży.

Zc starej Suzy, z złotej Ekbatany,
 Z murów Kissyńskiego grodu
 Poszli — tłum nieprzejrzany,
 Nieprzeliczony narodu...
 Jeźdźców błyszczące szeregi,
 Piechoty węzowe skręty:

Tam, gdzie oceanu brzegi
Pochłonęły ich okręty.

.
Kroła Persów, kroła królów sługi,
Pany wojska, wodze nad wodzami,
Ziemia dudni pod ich rumakami,
Od ich luków biją światła strugi,
Strach od hufców ich podlata blady,
Poszli ugnieść zuchwałstwo Hellady.

Poszedł Masistr i Artembar,
Koni dzikich poskromiciel;
Poszedł Imaj lukobrojni,
Farandakes mocarz wojny,
Sostan poszedł, lwów niszczyciel.
Z Nilowej bujnej doliny,
Za rzeką, co miota falami,
Egiptu poszły syny;
Susigan, Pegastagon, Arsames,
Memis świętego pan. moźny,
I ten, co władnie Tebami,
Ariomardes poboźny;
Z wybrzeża, na morza straży
Poszedł tłum niezliczony żeglarzy.

Toż z Lydów miękkiego narodu
Poszedł tłum bez miary,
Poszli z Lydii starej
Arktej i Matragat książęcy:
Z złotego Pardes, z wysokiego grodu
Mnogo zagrzmiąło tysięcy
Wojennych wozów, rumaki warfkieni
Parą, lub trójką goniących z wysoka:
Cudo dla oka,
Dziw groźny drgającej ziemi.

Od Tmolu gór i łąnów nieprzejrzanych
 Poszli. Tharybes i Mardon w pochodzie,
 Co procarzy jest w Myzów narodzie.
 Poszło wszystko. Z złotem wykładanych
 Babilonu bram, jak wąż tęczowy
 Popłynęły mnogie ludu głowy,
 Plemię majtków i strzelców gromady.

.

Kwiat ludów Persyi, Azji plon bogaty
 Poszedł w dalekie strony,
 I Azya wzdycha, liczą czas skrzydlaty
 Matki i żony:
 Tęsknota je zmaga, łza z oczu im ciecze,
 A chwila za chwilą się wlecze.

S t r o f a I.

Już-bo przecie króla królów niewstrzymana armia cała
 W kraj sąsiedni, w kraj zuchwalców ostrym prądem wbiedz musiała.
 Już przez fale Hellespontu, mostem, co mu kark ugniata,
 Spłynąć musiał prąd narodów, zdolen zdobyć końce świata.

A n t i s t r o f a I.

Już od łądu i od morza najdzielniejszych śląc bojarzy,
 Jako burza zagnać musiał panów pan, mocarz mocarzy,
 Chmury ludów, chmury czarne i na strasznej ich rozłodze
 Błysnąć słońcem, on, syn słońca, pogrążonym w niemej trwodze.

S t r o f a 2.

Już tam świeci, ognie zionąc, jak na łupy smok napięty
 Oszczepami Babilonu, Assyrskiemu toż okręty,
 Chmurą strzał rzuconych odzian, dzid najeżon strasznym rojem
 Poszedł mocą nad mocami, niewaleczonym poszedł bojem.

A n t i s t r o f a 2.

Kto się waży stawić czoła strasznej wojsk szumiącej fali,
 Kto żelazną stając tamą, pochód naprzód mórz oddali,
 Kto powstrzyma prąd szalony pękających wraz czeluści?
 Kto odeprze moce Persów, mocy Azji nie dopuści?

M e z o d o s.

Bóstwo tylko! tylko bóstwo... to gdy myśl poweźmie zdradną,
 Próżny odwrót stóp najszybszych: brzegu życia nie dopadną...
 Nie wypłaczą się z więcierza, gdzie zwabione weszły snadnie...
 Kto śmiertelny się urodził, w nieśmiertelnych moc popadnie.

S t r o f a 3.

Bóg od wieków Persomaczył dzielne i zwycięskie boje,
 Zdobył grodów, miast zniszczenie i rycerskich lupów stroje:
 W szecerem polu, wśród rumaków, co wściekłością rzą bojową,
 Dał najwyżej podnieść sztandar, szablą świecić dał stalową.

A n t i s t r o f a 3.

Lecz ten lud znać zaufany w dzikim oceanu szumie,
 Świętość jego poznał groźną, głębin jego myśl rozumie,
 W ciasnej nawy swej skorupie, w poruszonym falą domu
 Żaglom swoim się powierza, nie chcąc prymu dać nikomu.

S t r o f a 4.

Stąd i trwoga mojej duszy, stąd w umyśle ciemność nocy!
 Cyt! bo dojdzie jęk mej piersi do bram Suzy, do sierocej,
 Bo wysoki gród Kissyjski echem trwogi mej się stanie
 I niewiasty wyjdą z grodu, rwąc zasłony i ubranie.
 Gdy z pszczelnego ula ludu tłum wyroił się za panem,
 Pozostały ze lżą w oku, z włosem zostały rozwianym.
 Zwilżył płacz małżeńskie łoża, gdzie zamieszkał smutek wdowi:
 Cyt! o troskach naszej duszy niech stęskniona się nie dowie.

Raczej siedząc na stopniach książęcego grodu,
 Radźmy cicho nad dolą narodu,
 Radźmy, co z Xerxesem się dzieje,
 Potężnego synem Dareja,
 Czy powrotu i zwycięstw Xerxowych
 Daleka, czy bliska nadzieja.

.

CHÓR.

Ani zbytnia pewność szczęścia, ani zbytnia o zło troska
 Niech twej duszy nie przyciska, o Atosso, pani boska.
 Módl się raczej ty do bogów, niech odwróćą cios mierzony
 Na sądziwą twoją głowę i syna, co ulubiony
 Naszą, twoją jest pociechą. Cieniom zmarłych też ofiary
 Nie poskąpisz, skoro we śnie Daryusz zjawił ci się stary.
 Niech z ciemności grobu światło ześle ci na padół ziemi,
 Niech światłością zło pochłonie, drżące nad głowy naszymi.
 Wszystko jeszcze szczęsny skutek znaleźć może, jako tuszę.

.

SCENA 3.

POŚLANIEC (*wchodzi*).

O biada! miastom Azyi biada,
 Biada Persyi bogatej!
 Jeden cios — a rdzeń jej siły pada,
 Jeden cios a sztandar poszedł w szmaty,
 Co nad kwiatem rycerstwa powiewał...
 O, czemu chciał los,
 Abym klęski nasze obwoływał,
 Abym głosił, że ten cios
 Zniszczył nas!

Powiem krótko, powiem wraz:
 Wojska naszego już niema...

CHÓR.

Okropność! Okropność! Persowie,
 Któż usty wypowie,
 Kto wypłacze oczyma.

POŚLANIEC.

Przepadło wszystko! wszystko! sam się dziwię,
 Że światło niebios oglądam szczęśliwie.

CHÓR.

Czego przyszło się doczekać,
 Na co starców patrzeć będą oczy:
 Persom-że uciekać!
 Persów-że — wróg troczy!

POŚLANIEC.

Okropna prawda! nie z innych ją brałem,
 Ale patrzałem! patrzałem! patrzałem!

CHÓR.

Azya poszła, Azya cała,
 Poszła, zbroje bez końca.
 Nie! nie podolala
 Helladzie córka słońca!

POŚLANIEC.

Nie! nie! trupami leżą wasze syny,
 Gdzie Salaminy toń, brzeg Salaminy!

CHÓR.

O, widziałeś na twe oczy,
 Widziałeś, jak je przewala,
 Jak się krwią ich broczy
 Zdradliwa fala?

POŚLANIEC.

Nie pomogły oszczepy i strzaly,
 Uderzyły okręty... strzaskaly!

CHÓR.

O, w krzyk nam! w lamenty!
 W biadanie! w rozpaczę!
 Zgubiony! podcięty
 Lud Persów niech płacze!

POŚLANIEC.

O, póki życia, dopóki godziny,
 Aten nam pomnieć, pomnieć Salaminy!

.

POŚLANIEC.

Po liczbie, isticie, nam się tryumf znaezyl:
 Xerxes nad zagli przewodził tyściem,
 Dwieście siedm sławnych biegiem swoim rwącym
 Wiódł naprzód... Garstkę przed sobą zobaczył,
 Było naw razem trzy razy trzydzieści,
 Dziesięć pośpiesznych w tej liczbie się mieści.
 Lecz nie myśl pani, by nas pokonano!..
 Nas demon jakiś zgniółł w to straszne rano,

Bogowie sami gnięli nas swą dłonią,
 Oni, co sami gród Pallady bronią!

ATOSSA.

Więc stoi Aten gród — i niezburzony?

POSLANIEC.

Z męskich ma piersi mur — mur doświadczony.

ATOSSA.

Mów, kto bój zaczął? Helleńskie ziemiany,
 Czy syn mój, w siłę swoją zadufany?

POSLANIEC.

Duch jakiś zaczął zły, o zdradzie w oku!
 U syna twego mąż jakiś ateński
 Zjawił się, twierdząc, że o pierwszym mroku
 W ucieczce szukać będzie lud helleński
 Przed straszną Persów przewagą zbawienia.
 Syn twój, wszelkiego próżen podejrzenia,
 Zazdrości bogów zdradzieckiej niepomny,
 Powołał wodze floty swej ogromnej.
 Więc skoro w morzu oko słońca zgaśnie,
 A noc świetlane powietrze pokona,
 Kazał się flocie w trzy dzielić ramiona,
 By, pochwytawszy uchodzących właśnie,
 Żadnego z Greków nie puściła żywo.
 Nie wiedział, w dumy pogrążony szale,
 W jaką to wyrzekł chwilę nieszczęśliwą.
 Potężny rozkaz obiegł morza fale —
 Wieczereżę perscy gotują żeglarze,
 I wiążą wiosła, jak pan ludów każe.
 Toż gdy ostatni przygasł promień dniowy,
 Gdy noc nadeszła, każdy mąż gotowy

Z bronią się pełną znajdzie na pokładzie.
Hłasła wojenne od nawy do nawy
Płyną, do wielkiej szykując się sprawy,
Noc całą pluszcze fał wiosły sieczona,
Aż każda nawa tam, gdzie przeznaczona,
Stanie wśród śpiącej i ciemnej zatoki.
Ale noc przeszła, a w eiszy głębokiej
Nigdzieś nie spotkał drżącej Greków trwogi.
Toż gdy porankiem w jarkiej światła fali
Brzeg się dokoła zatoki zapali,
Od naw helleńskich powiał śpiew radośny,
A skał nadbrzeżnych echa uroczyste
Krzyk ich wojenny odbiły rozgłośny,
Pełny, nadzieją zwycięstwa natchniony,
Że barbarzyniec zadrzał przerażony!
Nie strachem brzmiały te głosy faliste,
Wojennym ku nam huczały zapalem,
Miedziane trąby gromko im wtórzyły:
Szybko, w takt pieśni, z wysuniętem ciałem
Równemi wiosły nawy morze biły,
Że w roziskrzonym rąbku morskiej piany
Nagle zjawili się, jak bóg zgniewany
Prawem się skrzydłem ruszyli do biegu,
Za niem w ściśnionym całym tłum szeregu
Rwał się wśród krzyku: W bój dzieci Hellady,
W bój za ojczyznę, za bogów, za dziady,
Leżące w grobach, za dzieci i żony.
Chodzi o wszystko! Więc i z naszej strony
Wołań nie brakło! Walki czas nadchodził.
W tyryjski okręt helleński ugodził,
Od dzioba padły stroje jego złote,
Z trzaskiem się nawy waliły w ciasnotę,
Gniotąc się, dzioby dziurawiąc ostremi,
Morze się krwawej zdało płatem ziemi.
Zrazu trzymamy się liczby przemocą,
Ale zagnanych w zatoki cieśniny
Gubi nas natłok, gnieciami się w ruiny,
Pękają wiosel wśród trzasku krawędzie,
Mniejsze pod większych toną statki wagą,
Gdy greckie prą nas, ściskają, gruchocą,
Żelazną w koło trzymając obręczą.
Wtedy od ruder zniszczonych okrętów,

Od ciał, co toną, od ramych, co jęczą,
 Już zielonych nie ujrzał odmetów,
 Tylko co żywo, co wiosłu podoła,
 W dal gdzieś gonilo, co ujść mogło zdrowo
 Pod gradem gruzów, co żeglarzy czoła
 Ranią, wśród krzyku, gdzie rozpaczy słowo
 Z tryumfujących wiązało się śmiechem,
 Zielonej fali powtarzane echem.
 Tak aż do nocy, czarnej nocy trwało. •
 Dnie-by minęły, zanim-by zdołało
 Ucho człowieka objąć grozę kłęski...
 Bo nigdy, nigdy, odkąd hymn zwycięski
 Naród nad drugim narodem zaśpiewał,
 Nie była taka rzeź i strach nie bywał.

.

CIÓR.

O słysz mnie, błogosławiony
 Boski władzco, użyż ucha!
 Z głębi złamanego ducha
 Wołam do cię, zwycięski, wielbiony,
 Wołam w boleści ku tobie!
 O, czyli mnie ty słyszysz w tym grobie!

 O Gajo, o zmarłych stróże,
 Puśćcie władzę nad władzcami,
 Niech stanie między nami
 Technienie królewskie, boże.
 Ten, co nie miał równego sobie
 W żadnym grobie Persyi, w żadnym grobie!

Droga głowo, w cieniach śmierci drogi kłejnoście zamknięty,
 Zaświeć nam, o zaświeć nam blaskiem pomocy, obrony,
 Hadesie, wróć go nam, jak był, potężny, niezwyciężony!

Nigdyś, nigdy ludu swego na marne nie wodził boje,
 Kochanek bogów imię twe, szczęśliwe imię twoje,
 Gdyś wiódł, toś do zwycięstw wiódł, w królewskie odzian stroje.

O wstań, o pójdź,
 Pieluchy grobu rzuć.
 Królewska na skroni tyara,
 Na nogach sandałów para
 Złotych barwą szafranu...
 Niech się skłonię i ojcu i panu!

O wstań, o słysz,
 W wspaniałej myśli pisz
 Moją skargę, moje boleści!
 Słyszę już! to Styx szeleści,
 Wstajesz z kurhanu,
 Niech poskarżę się ojcu i panu!

Niezapomniany,
 Nieopłakany
 Nigdy zadosyć!
 Czybyż nam było przyszło przed tobą
 Krzyk ten podnosić,
 Gdybyś żałobą
 Nie powłóki nas sierocą?
 Śmiercią twą, panie, królu nasz święty,
 Giną okręty,
 Floty się nasze gruchocą!

SCENA 6.

DUCH DARYUSZA

(wstając z grobowca).

Starszyno perska! wierne druhy moje,
 Wierni nad wiernych, cóż za niepokoje,

Jaki krzyk ziemię ojezystą porusza?..
 Jaka przyczyna, że wdowa Daryusza
 Obiaty niesie na grób swego męża,
 A dzielnych moich tak boleść zwycięża?
 Sen mi wieczysty przerwaliście trwogą,
 Nie pomnąc iście, jaką trudną drogą
 Ku światłu iść nam dziennemu przychodzi,
 Że bogi Hadu przyjmują nas skoro,
 Lecz nie puszczają tych, których zabiorą.
 Dobrzeć, że nawet i tam mi nie schodzi
 Na władzem słowie, zem mógł się wydostać...
 Więc mówcie, mówcie, skąd ta rzeczy postać?...

CHÓR.

Święty strach nas chwyta
 Na twój widok, władczy panie!
 Jak za dni, gdyś dzierżał panowanie...
 Drzę, gdy pan nasz i król nasz mnie pyta

DARYUSZ.

Na głos wasz z Hadu przybyłem otehlani,
 Mówcie mi wszystko, mówcie niezmiészani.

.

DARYUSZ.

Więc dokonało się, w pełni stanęło
 Straszne, na zawsze wiekopomne dzieło,
 Dzieło zniszczenia! Więc opustoszała
 Suza, nad którą z Jowisza przejrzenia,
 Trzody i mnogie chroniąc pokolenia
 Dłoń jedna zawsze, króla dłoń władala!
 Gdzie władał Medos, pierwszy wódz narodu,
 Gdzie syn Medosa dokończył budowy,

Mądrości steru dzierząc się surowej!
 Gdzie Kyros, szczęścia kochanek od młodu,
 Pokoju darem świat weselił cały,
 A łagodnemu nie zazdrościł chwały
 Bóg, chociaż Lidyę i Frygię pozyskał,
 Zwycięskim mieczem Jaonię uciskał!
 Gdzie syn Kyrosa władał, gdzie Mardosa
 Złość nie szkodziła, bo dały niebios
 Artafernowi zmieść Persyi zakalę;
 Gdzie ja z kolei przywodziłem koronę,
 Niejedno z ludem zwycięstwo wspaniałe
 Odnosząc, wszelkiej unikając klęski.
 Na mego syna, na dziecię rodzone
 Przyszło ten pochód zakończyć zwycięski
 Szaleń młodości, spuścizny zdeptaniem.
 O mężo moi, wy głośnem biadaniem
 Świadczyć, że żaden, ilu ziemią władało,
 Nie bywał, jakim jemu być wypadło!

CHÓR.

O królu wielki, zwróć słowo inaczej,
 Nie żądaj świadectw, ty powiedz nam raczej:
 Jak wyratować lud Persów z obieży?

Wszak dobrze oddany majestat wielkości i bólu? A teraz zobaczmy, że i z innego tonu grać umie:

DUDEK.

Obudź się małżonko moja, obudź się Prokno smętna,
 Itysa, dziecięcia naszego, zmarłego dziecięcia pamiętna,
 Rozplyń się w pieśni żalu z głębokiej piersi matczynej:
 Przez zwoje liści szemrzające, przez ciemne jasionu krzewiny,
 Do tronu Zejsa niech leci, gdzie bóg z kędziory złotemi
 Uderzy w lutnię zbudzony, spółczując z matką na ziemi,
 Aż pieśni Olimpu dźwięki, aż żalów twych zawodzenia
 Połączą się w nutę jedną: tęsknoty, boleści, natechnienia.

PROJEKTOWICZ.

Jaki ptaszęcy głosik—miodem płynie
W piersi człowiecze.

ZŁOTOGÓRSKI.

Milcz, zaczyna ninie.

SŁOWIK.

Epopoi, popopo, popoi
Jol ito, ito!
O chodźcie skrzydlata
Bracio, co swobodnie lata
Gdzie rolnika łan,
Chodźcie zjadacze jęczmienia,
Co w skoczny tan
Oblatujecie,
Obskakujecie,
Zagony pełne nasienia,
I głową kręcicie,
I wdzięcznie nucicie:
Tio to! tio tio! tio to!
I wy także,
Wy z ogrodu,
Wy od wschodu
I zachodu,
W bluszczu gałązkach,
W krzakach gór
Igrający chór,
Z jagód żyjący,
I śpiewający:
Trioto, troto, tritobrix.
I wy i wy,
Co w tym czasie,
Po bagnach, po łące

Za muchami brodziecie,
 W Maratonu okolice,
 O chodźcie kuliku, bekasie!
 I wy co leciecie,
 Nad morze szumiące,
 Chodźcie! Stała się nowina:
 Przyszedł mąż, co ród cały ściągający szyją¹⁾,
 Do czynu napomina.
 Mądry umysł, bystra głowa,
 Wielki pomysł dla nas chowa.
 Niech leci, co żyje,
 Niech leci, co śpiewa,
 Czy głosu używa;
 Tororo tororinx!

CHÓR.

O piękna, o ty słodka, o białowłosa ptaszyno,
 Śpiewów naszych towarzyszko skrzydlata;
 Niesiesz pieśń? Zaczynj pieśń z twojego świata...
 Niechaj tony, wiosny tony z piersi twej płyną,
 O piękna, o ty słodka, o białowłosa ptaszyno.

PROKNE.

O wy mieszkańcy cieniów, wy nędzne lepianki z gliny,
 Wiotkie widziadła senne, przewiewne liście jesienne,
 Śmiertelne ziemi syny,
 Posłyszcie pieśni naszej, nas wiecznych pieśni wiecznej
 Dzieci eteru śmiałych, o prawach niebios wspaniałych,
 Posłuchajcie powieści statecznej,
 Co tajemnic nas ptaków i bogów początek zamyka,

¹⁾ Co za wyborna charakterystyka ptaków! Jakie chwycenie gestu, który wszystkim bez wyjątku, a każdemu inaczej jest właściwym!

Co początek nocy i chaosu;
 Posłuchajcie głosu,
 Abyście wzgardzić umieli próżnem mędrkowstwem Prodyka ¹⁾.

Noc była, Chaos tylko i wielkie Erebu pustkowie,
 Ziemi, nieba nie było, powietrza nie było przestrzeni,
 Kiedy noc ciemno-skrzydła, wsparta o wichrów wezglowie,
 Prajajo urodziła, z którego w czasów bezdeni
 Namiętny wyszedł Eros złotemi skrzydły skrzydlaty:
 Szybki jak wiatr pustyni pogonił chaosu światy.
 On-to z cieni Tartaru, niby swoich pragnień watek,
 Wypuścił w świat ród ptaszy, z Erosa biora początek.

Nie było jeszcze śmiertelnych, ziemi, i bogów, i ludzi,
 Eros-to mieszając wszystko z nami do życia ich budzi.
 I patrzcie jaka pamięć starszeństwa ptakom została:
 Drużką nam para każda, co się poznała, kochała,
 Podarunkami ptasząt wabi się dotąd dziewczyna,
 Gołąbkim i przepiórką, miłość od ptasząt się wszczyną.

Lecz i wszelakie dobro od nas początek swój mieni:
 Myśmy wrózbity wiosny, zimy i późnej jesieni.
 My śpiewami żorawia w pole wołamy rolnika,
 Za naszym głosem żeglarz z sterem do domu umyka,
 Czapłą wieścimy wiosnę, jaskółką dajemy znaki:
 Sprzedajecie futro zimowe, letnie wdziewajecie kubraki.

Zejssem-Ammonem, Febem, Dodoną jesteśmy, Delfami.
 Nim zaczniecie rzecz jaką, za nami patrzycie, za nami,
 W chudobie i miłości przyszłość wam ptakiem się zdaje,
 Kłamiwa kaczką z wieścią oblata grody i kraje,
 Dudkiem wam głupi człowiek, niezdarny sługa gawronem:
 A co, czyśmy nie Febem, czyśmy wam nie Apollonem?

¹⁾ Solista, trudniący się kosmo- i teogonią.

O uznajcie nas bogami,
 Dobrze, dobrze będzie z nami,
 Nie ucieknij pod obłoki,
 Jak ten Zejs piorunooki;
 Blizko was upleciem gniazdo.
 Nad kolyską waszych dzieci,
 Opiekuńcze ptaszę wzleci,
 Zdrowia, szczęścia wzleci gwiazdą!
 Radość będzie i biesiada,
 Wieczna młodość, wieczne tany,
 W ptasiem mleku ukąpany,
 Każdy syty i szczęśliwy!
 Dziwy będą, będą dziwy,
 Jak ród ptaszy światem włada!

PÓLCHÓR.

O muzo leśnej zaciszy,
 Tio tio tio tiotorinx!
 Bądź pozdrowiona!
 Z tobą ja często pośród dolin łona,
 Na wzgórzach, gdzie echo mnie słyzy,
 Zawodzę chór
 Kolysany gałązką jesiona.
 Tio tio tio tio tiotorinx!
 Panowie w cześć,
 W cześć matce gór,
 Ztamtąd ja wieść
 Słodkie Frynicha umiem wieść piosnki,
 Wabiąc je na dźwięki:
 Tio tio tiotio tiotorinx!

CHÓR.

Jeśli który z was słuchacze życia ptaków upragniony,
 Niech przybywa, inne prawa u ptasiego kwitną rodu:
 Nieraz synek na tatunia nagłym gniewem rozperzony,
 Oстрыm zerwie się pazurkiem. Lecz uchodzi to za młodu.
 Nieraz sługa da drapaka i to mu uchodzi czasem,

Ledwie, że srokatym za to nazwać zwykli go bekasem.
 I przemycać się cichaczem za złe nie bierzem nikomu.
 Spintaros wasz i Exesyd znajdą u nas się jak w domu.
 Pizyasz¹⁾ nawet, który wrogom otwarł wrota i uciekał
 Pod nazwiskiem kuropatwy, u nas nie będzie narzekał.

PÓLCHÓR.

Wszakżeż łabędzie
 Tiotio, tiotio, tiotorinx
 Z skrzydły szumnemi,
 Z sitowia ziemi
 Zerwą się w pędzie
 Na Hebru fal:
 Tiotio, tiotio, tiotorinx.
 Eteru chmury pieśń ich przebiła,
 W lesie się zwierząt zbudziła siła.
 Wzruszone wody pomknęły w dal:
 Tiotio, tiotio, tiotinx.
 Odbrzmiało niebo pieśnią łabędzi,
 Koło taneczne Charytów pędzi,
 Muz wdzięczny chór
 Biegnie na wtór:
 Tio tio, tiotio tiotorinx!

Drobnych wierszy w tych późniejszych latach bardzo mało; prawie niema ich wcale, a jak się zdarzą, nigdy o sobie, o własnych uczuciach, czy wrażeniach: stan społeczeństwa, jego usposobienia i potrzeby, a przedewszystkiem potrzeba jasnych, świadomych siebie, przekonaniań, zgodności postępowania z przekonaniem, potrzeba odwagi, hartu, charakteru, oto,—co go do pisania pobudza, co z niego wybuchu słowem nieraz szorstkiem, zawsze poważnem i ciężkiem od myśli. Wystarczy na to lada okoliczność, nawet zwykła i drobna, jak składkowy obiad naprzykład, a na tym obiedzie toast „Kochajmy się.

¹⁾ Alluzya do nieznanego Ateńczyków.

O naszej niezgodzie prawiono już wiele,
 O łatwej ja zgodzie dziś raczej wystrzele:
 Zapytam, czy raczej niezdrowo, przedwcześnie
 Nie brzmiały tam u nas: Kochajmy się! pieśnię,
 Czy nie brzmią po dziś dzień wołania do zgody
 Rozumu i głupstwa -- płomienia i wody?

Gdzie twardych walk braknie o życia zadanie,
 Tam, czy to przy Węgrze, czyli przy Szampanie,
 Całować się, kochać i upić się łatwo
 Dojrzałym z warchoły, starszyźnie wraz z dziatwą.
 Gdzie silnie przy dobrem nie stanie mąż woli,
 Tam złemu i głupstwu się kochać pozwoli.

Zanadto też było tego się kochania
 W przeszłości, na braci swawolnej wierzganía,
 Zanadto! Zbyt łatwo przy czarze Węgrzyna,
 Regalista ściszał dłoń Rokoszaniina,
 Zbyt łatwo też w imię ciepłych słów powodzi,
 I u nas starszyznę zwykli wodzić młodzi.

Nie! Zgodą maślaną marnieją narody:
 Marnieją, gdy górą nad krewki duch młody,
 Nad zapał, co w chwili namiętnej porywa,
 Nie schwyca je ciężkie przekonañ ogniwa,
 Gdy ponad wzgląd każdy, nad uczuć wołanie
 Nie stanie im prawda—odwaga nie stanie.

Nie! Zdrowy i silny gniew święty ma w oku,
 Gdy krnąbrni zuchwalce zrywają się z troku,
 Gdy pycha i głupstwo publiczną rzecz kazi,
 Gdy z słówek złoczonych prywata wylazi,
 Gdy z mózgow zwiechrzonych trucizna pociecze—
 Kochajmy się? tak zdrowy, tak silny nie rzece.

Nie rzece! bo bardziej nad siebie i brata,
 On kocha myśl wyższą, co nad nim ulata,
 On prawdy zdobytej trudem życia strzeże,
 On pragnie mieć w życiu, co w myśli i wierze,
 Ku celom wysokim zwrócony skwapliwie,
Nie kocha się łatwo, bo kocha prawdziwie.

Kochając, *chcieć* musi, *chęć*, łatwo nie może
 Się kochać, dopóki jedne myśli Boże
 Nie błysną w zrenicy, co k'niemu zwrócona,
 Dopóki nie złączą się bratnie ramiona,
 By dźwigać jednak, by dźwigać statecznie,
 I *jedno kochając*, pokochać się wiecznie.

Jest jeszcze kilka satyr, tej samej zawsze treści i dążności Szujski mniemał i mawiał, że na ludzi, głuchych na głos sumienia, i na głos rozumu, bywa czasem jedyną radą i środkiem strach: strach śmiechności, a potem gorszy strach prawdy, strach, żeby świat nie zobaczył, jaka czasem pod piękną maską kryje się twarz nieszlachetna i brzydka, jaka pod szumnemi słowy myśl płytka. Broni tej używał on nieraz i nie bez skutku. W ostatnich latach życia uważał, że ona staje się potrzebniejszą, i napisał satyr kilka. Są o bieżących opiniach, sądach i dyskusjach,—te pomińmy. Ale są i takie, które się odnoszą do naszych stałych usposobień. Oto jedna naprzykład o naszej zbytnej pobłażliwości, miękkości, którą bierzemy mylnie za dobroć i jako taką cenimy ją w sobie:

DOBROĆ SERCA.

Szlachetność, przebaczenie, litość, wzgląd zasługi,
 Tak miękkości się polskich mieni szereg długi.
 Znaj, wrogu, polski rezon, wzniosłość przyrodzoną,
 Znaj łaskę, winowajco! wolno cię puszczone!
 Szkodliwys? jest doktrynka, która cię rozgrzesza,

Przewrotnyś? przebaczenie zmieni cię, pomiesza,
 Nawróci, wszem cię wobec zawstydzi przed tłumem;
 Bezkarność jest mądrością, mazgajstwo rozumem.

Pięknie! Dobrym niech bywa, kto się dobrym mieni,
 Tylko z własnych funduszów, nie z cudzej kieszeni;
 Tam, gdzie dobro publiczne, bracie miły! wara!
 Inna tam łagodności i dobroci miara.
 S siedł głupstwem, nieładem, stracił wioskę tłustą,
 Ty na zebraniu braci mówią złotoustą
 Radzisz go na pensyjce umieścić krajowej,
 W instytucyi, gdzie trzeba wiedzy, hartu, głowy.
 Kandydat, z ortografią w ustawnej rozterce,
 Niczego się nie uczył... „Lecz dobre ma serce,
 Miły sąsiad, dla dzieci potrzebuje miasta:
 Kto mnie kocha, niech za nim co żywo się szasta,
 Niechaj pozbiera głosy, czułe serca wzruszy,
 Hodie mihi eras tibi, przemówi do duszy,
 Nie święci lepią garnki”. Choć z lichą głową,
 Instytucję ozdobił bankrut finansową.

Przy nim, pod nim, gdzie samo wymaga decorum,
 Aby mieć zdolnych ludzi do kraju posługi,
 Nieuk lub próżniak veniam otrzymał studiorum,
 Veniam aetatis dostał przez protekę drugą,
 Gdzie trzeba wykształcenia, biegłości, bystrości,
 Tworzy się dom przytułku, dom dobroczynności.

Skłonny za krzykaczami do szafarki zdradą,
 Gdy ci przed oczy jawnie wszystkich kart nie kładą.
 Łotrom znanym, o których szept biega złowrogi,
 Dobrze jeśli ostrożnie chciałbyś schodzić z drogi.
 Ale nie: dłoń uczciwą podajesz bez sromu:
 Ten hultaj, lecz patriota; tamten blaskiem domu
 Brud zasłania; bezczelnie inny się wyśpina.
 Gdy mówisz: „Jam nie bocian, niech żyje gadziua,
 Czystać świata nie będę, zwykła rzecz hultaje,
 Inni dłoń mu podają i ja mu podaję“.

Tak w soki zdrowe, miękkość, dobroć przyrodzona,
 Do społecznego jady zwykła puszczać Iona,
 Aż złych większość ucziwych z widowni wystraszy,
 Aż w łacie protestujem przeciw nędzy naszej.
 Dłoń ucziwego czleka brudnej nie dotyka,
 Gdy nie chce sprośnym czynom dostarczyć spółnika,
 W mysiej jamie sumienia nie chowa człek prawy.
 Łotr rządzi? To ucziwy puścił go do sprawy.

Pan Piotr, słabe czleczyisko, za warcholów dęciem,
 Jak kwoka się z szkodliwym nosi przedsięwzięciem,
 Zbiera ludzi, namawia. Niewinny baranek,
 Alboż on wie, co robi? Wie, gdzie pełny dzbanek,
 Kuchnia dobra — a lubi spotkać się w gazecie:
 Ty wiesz Janie, wiesz dobrze, że on duby plecie,
 Ze liberał żydowski z odezwy przeciera.
 Wiesz dobrze, lecz cię z Piotrem wiąże przyjaźń szczerą:
 „Włazł biedak, wleźny za nim, złe jest, lecz nieznaczne,
 Zmieni się, kiedy gadać, fulminować zaczną.
 Samej nie trzeba puszczać złości i głupoty,
 Ucziwi rzecz poprawią“. Głowy do pozłoty!
 Ilekroć ta licha rachuba zawiodła,
 Bohater-reformator ile wypadł z siodła?
 Ilekroć się w przewrotnym znalazłszy hałasie,
 Szeptaliście po cichu: „Teraz nie na czasie:
 Drażnić szkodzi“ ilekroć, pozostawszy sami,
 Krzyczeliście dla milej zgody z warcholami?

.....

Cóż dopiero, gdy służba publiczna nas woła?
 Iść z złem w szranki, łotrówstwu śmiało stawić czoła,
 Tępić jady społeczne, wichrzycieli krócić,
 Srodze winnych — ukarać, zarazę wyrzucić:
 Kogo podówczas dobroć niewczesna napada

Z podpalaczem zaiste podpala sąsiada.
 Niestety, w błędów polskich zabójczym łańcuchu
 Krwawem byłeś ogniwem dobroci tej ducha.
 Rokoszanie powalony? strzegą jego głowy
 Bracia, co z nim niedawno w tan poszli marsowy.
 Zbrodniarz schwyty na króla i Ojczyzny zdradzie?
 Kochał wolność! przebaczyć, niech głowy nie kładzie.
 Toć i dziś, w własnej grozy nie czujem obronie:
 W uczuciowych tam jeden wątpliwościach tonie,
 Drugiemu posłyszana przeszkadza doktryna,
 Wsiada na głupi frazes, jak na kij chłopczyzna.

.....

Miła dobroć! Gdy szyku na nieprzyjaciół
 Potrzeba, ona strzela—do własnej stodoły;
 Gdy społeczeństwo sędzią dźwiga się i panem,
 Z męża pragnie go dzieckiem, ze lwa mieć baranem,
 Piętrząc nań lekkomyślnie oskarżenie winy.
 Miła dobroć! lecz głębsze jej bytu przyczyny:
 Płytkość uczuć jej matką i zamęt sumienia,
 Siły brak, którą zdrowe stoją pokolenia,
 Hamletyzm, szparki w myśli, niedołączony w czynie,
 Samowola, co stawia przyszłości świątynię,
 Wedle bzika, co luźnie w każdej głowie świta.
 Tak, zmysłu rządu biedna ruina rozbita,
 Anarchią rwiem się w górę z zguby topieliska,
 A stare wraca głupstwo i w przepaść nas ciska:
 Świecimy w rycerskim blasku, w cudne zdobna drzewce
 Strzelba... Lecz, gdy chcesz trafić—spali na panewce.

NARÓD - PACYENT.

Narodzie! toś ty pacjent? wiekuiste nieba!
 Krzyczą, że w tobie ducha podtrzymywać trzeba,
 Że gasić go nie trzeba—więc zgasić snąć można?
 Cóż to za Eskulapów tłuszcza nieostrożna,
 Wszem wobec na ramieniu wskazująca duszę?
 Ja nie Augur, a lepiej snąć o tobie tuszę.
 Widzę ran, guzów, sińców bez liku w twem ciele,
 Widzę wad charakteru, błędów ciężkich wiele,
 Waleczyć nawet gotowym z narodowym duchem,
 Kiedy pod złych lub głupich ugnie się obuchem;
 Lecz mniemać, że ci próżno dziewięć wieków grało,
 Chrobry cię próżno stawiał, próżno szablą śmiałą,
 Tysiące bohaterów w świat rąbało drogie;
 Że krzyż próżno wiódł szablę—dalipan nie moge!
 Żebyć z głowy wywietrzał skrzydeł szum hussarski,
 Gdyby go nie wspominał frazes dziennikarski;
 Że Adama i mistrzów harfy - by nie grały,
 Gdyby w homeopatycznym rozczyńie babrały
 Codziennie mizernemi nie psowały słowy,
 Co huczy w harfie mistrzów, jako psalm gromowy?
 Że wodzianką tą ducha trzyma się napięcie?
 Tak obrażać cię nie chcę, narodzie pacyencie.

Ducha w narodzie trzymać, nie ludzka rzecz: Boża!
 Zdrowia nam tylko dała, nie żywota stróża,
 Nie żywot w naszych rękach, ale żywych zdrowie,
 Nie duch, lecz objaw ducha, w myśli, czynie, słowie.
 Kto w drażliwym chce tylko podniecać drażliwość,
 W miękkiem miękkość, kto w tkliwym potęguje tkliwość,
 Kto z obawy o ogień słomę ciągle pali,

.

Wierz mi, mój pacyencie, lichy taki radca:
 Szarlatan, co na złudnych przestaje objawach,
 Albo łotr co cię w twoich pokrzywdzić chce prawach!
 Prawo twoje: potężnie dźwigać się od wnętrza,
 Gdzie cię porywa przeszłość, gdzie boleść wypiętrza,
 Dźwigać się wolą, wiedzą, mądrością, sumieniem,
 Wbrew przeznaczeń do walki urość z przeznaczeniem.
 Nabyć czego ci braknie, co chore uzdrowić:
 Sanabiles nationes! raczył Bóg przemówić!
 W zwierzu tylko się instynkt jedncj kształci miary,
 Człowiek i naród zdolny poprawy, ofiary!

Więc, by z głębiny myśli, z sumienia głębiny,
 Ku pracy odrodzenia polskie wodzić syny,
 Tępić wady, co brózdzą, krzewić jędrne cnoty,
 Których brak pod tulacze przywiódł nas namioty.
 Nie mówić: „gdy uczucie z prawdą stanie w sporze,
 „Cofnąć prawdę, uczucie urazić się może“.
 W prawdzie wolność od więzów najsroższych, bo ducha.

Z głębin bólu i prawdy o sobie i świecie,
 Wydobywajcie przyszłość a—życie znajdźciecie.

Ostatnia, niedokończona, ma tytuł „My i Oni“. Oni, to Francuzi, Anglicy, Niemcy, Włosi; przychodziła kolej na innych, wizerunek zaczął się kreślić, ale się przerwał; choroba postępowała, siły opadały. „Nas“, niema wcale.

Jeszcze jeden dramat okolicznościowy, mały. Akademia Umiejętności urządzała zjazd historyków w czterechsetną rocznicę śmier-

ci Długosza. Sekretarzowi jej, organizatorowi tego zjazdu, historykowi, przystało, należało z obowiązku zabrać głos przy tej okazji, złożyć po wiekach hołd wielkiemu ojcu historyjografii polskiej. Zrobił to, kiedy napisał i na owym zjeździe odczytał rzecz swoją, tłómaczącą „Stanowisko Długosza w historii Polskiej”. Ale, jak dawniej przy obchodzie Kopernika, tak teraz trzeba było wymyśleć coś i na wieczór także, i dla całej publiczności. Szujski napisał na przedstawienie w teatrze sztukę, którą odegrali amatorowie, uczniowie uniwersytetu: jak wtedy o Koperniku, tak teraz o Długoszu napisać dramat nie było zapewne łatwo. Ale treść znalazła się w dziejach samych, a znaczeniem i przystosowaniem była tamtej bliżką. Tam w Koperniku, to dawna jedność chrześcijańskiego świata, już rozbita na katolickie i protestanckie połowy, a zdaleka, w przyszłości ukazane skutki tego rozbitcia. Tu dopiero początki, zarody tego rozbitcia, to niebezpieczeństwa, jakie przynieść mogą światu starożytne pojęcia i zasady, chwywane skwapliwie, łatwowiernie, bez braku, stosowane bez rozwagi—a po drugiej stronie, prosty i silny duch katolicki, który się obawia nie światła nowego, ale jego złego zrozumienia i złego użytku. Jeden z tych kierunków wyobraża Kallimach, który przewiduje, nie pochwała, ale przyzwala, że świat dojdzie aż do pojęć Lukrecjusza i niemi się przejmie: drugi wyobraża Długosz; każdy akt kończy się taką między tymi dwoma dysputą, której konkluzya brzmi tak:

DLUGOSZ.

Straszne bywa świat widział koleje,
 Straszniejsze widzieć może. Czemże płyną dzieje
 Człeka, świata, ludzkości, jak nie walką ona,
 Którą z prawy Bożemi wiedzie ludzkie łono?
 Praw tych dzierzy się wszystko, granitów tych szczyty,
 Szumy wód, lasów ciemnia, gwiazdy i błękity,
 Bo im woli Bóg nie dał, więc jak obłok biały
 Potulne, pod królewskie kładną się sandały.
 Nam dał wolę i prawa, dał przedwieczne słowo,
 Dał tyle, że najstarsza moc wolnych na świecie
 Tych, co spadli, by przeczyć, archanielską mową
 Rzec mogła rzeszy ludzkiej: Jako Bóg będziecie!
 Rzekła! mówi! w twych ustach dzisiaj się odzywa,
 Ażeby groził prawu, lud Boży wyzywa.
 Leez nie dla wielkich tylko i mądrych tej ziemi;

Dla maluczkich Ten przyszedł, między maluczkiemi
 Ten stanął, co niebieskie dziejom prawo pisze.
 Biada tym, co prostaczych przerwą zbożną ciszę,
 Co w morzu ludu zażędz chcą swęj piersi burzę
 Bez słowa, co wszechmocnie panuje naturze!
 Spiętrzy się, olbrzymiego lwa pustyni grzywą,
 Lud, co nie tylko myśli, ale czuje żywo,
 Lud, którego On chował na mieszkańca nieba,
 Zażąda nieba od was. Wy dacie mu chleba,
 Ducha, ciała, wy trwoźni w jego straszne tonie
 Rzucicie wszystko, wszystko on głodny pochłonie;
 Nieba w duszy i drogi w niebo mu nie dacie...
 Sam je znajdzie... Lecz wtedy w bólu majestacie,
 W uczuciu drogi błędnej, którą szedł za wami...

KALLIMACH.

Księgi nasze i pisma ułoży stosami.
 W stosach tych apostołów krzywej drogi spali.
 Czy nie tak?

DEUGOSZ.

Jest stos inny, który bardziej smali;
 Jest stos, w którym się topi zły kruszec i złoto,
 Gdzie złoto pozostaje a kruszec czernieje.
 Na sławy buntownicze stosem tym—są dzieje!
 Świat to koleją inną może się znów rzucić...
 My, co wyszliśmy z stosów, możemy na nie wrócić,
 W katakumbowych cieniach kiedyś zmarłe chować,
 Nad czem panujem jeszcze, może zapanować.
 Lecz odkąd On na ziemi, On nie ludzkiej miary
 Stanął, niema już innej, jak ta na tym świecie.
 A im stanicie dalej—tem niżej stanicie...
 Lat tysiące jak jeden dzień przed Boga okiem!
 Kurczy się księga dziejów wstecz wiekami pełnięta:
 Nie zginie, kto był mędrcem, zbawcą lub prorokiem,
 Nie zginie, co myśl ludzka skrzydłami rozpięta
 Zdobyła, praca żadna i cnota nie zginie,
 Ale w każdej tej myśli, natchnieniu i czynie

Prawd jego wiecznych święta droga się wypali.
Chwalić go będzie ludzkość, jak natura chwali.

Treść zaś faktyczna, historyczna, obraca się około zatargu Kazimierza Jagiellończyka ze Stolicą Apostolską, o przyznaną Maciejowi Korwinowi koronę czeską, i około bezkutecznej jego wyprawy na Węgry, celem osadzenia na tronie drugiego syna Kazimierza. Zły koniec tej wyprawy służy za protest do wydania historycznego sądu o polityce Kazimierza. Była ona mylną, gdy z wielkiego pożądanego wpływu na zachodnie strony i sprawy, zaniedbała, spuściła z oka, wschodnie granice. To wypowiada Długosz w zakończeniu sztuki. Sztuka sama ładna, a pomimo długich politycznych i filozoficznych rozpraw (które stanowią jej treść główną), zajmująca. Figury narysowane wyraziście i trafnie—król mianowicie, jego synowie (młodzieniaszki lub dzieci), każdy z tym w zarodzie charakterem, jaki później w życiu okazał; Kallimach jako typ sceptycznego humanisty. Długosz ma powagę i jędrność, jaka przystoi temu duchowi, który się objawił polityką polską w wieku XV i jej powodzeniem. W zakończeniu sztuki był znowu obraz z żywych osób, i znowu wiersz na chwałę Długosza, na chwałę wszystkich wielkich i dobrych w dziejach, na upomnienie dzisiejszym. Pomiędzy wierszami Szujskiego jeden to z bardzo charakterystycznych, z bardzo pięknych.

Pamięcią wielkich w ojczyźnie ludzi
Dźwiga się naród, mocni się duch,
Orle się skrzydła do lotu budzi,
W orli przyszłości porasta puch.
Wszystkie ma strzały w swoim kołczanie,
Na codzienności walkę i trud,
Komu wczorajsza dzisiejszą stanie
 Się dni osnowa.
W kim grają ojców czyny i słowa,
W kim krew stuleci potężnie krąży,
 Szczęśliwy lud!
Bo wie, skąd wyszedł, więc wie, gdzie dąży.

Naród, jak rzeźbiarz, by z ziemskiej gliny,
 Na chwałę Panu postacie snuł:
 Ducha i woli potężne czynił!
 A więc kto myślał, czynił i czuł,
 W krew ten pokoleń winien przechodzić,
 Ściągnąć ich siłą winien się stać:
 Kto się z przeszłości umiał odrodzić,
 Ten będzie wieńce przyszłości brać!

.

Niechaj od dziejów nicąś odcina
 Tego, co krzywdę w dziejów ma wątku:
 Większa jest krzywda wasza, jak wina!
 Więc od zbożnego dziejów początku,
 Od dni Chrobrego, przez Piastów dzieje,
 Przez Jagiellońskie pogodne dni,
 Niech płynie ogień, co siłę leje,
 Płynąć krew dziadów w potomków krwi.

Twardo, surowo, Długosza wzrokiem
 Niech winy wnuków strofuje dziad;
 W wyżyny patrzy namiętnem okiem,
 Kto winą własną z wyżyny spadł:
 W sobie siłę szuka, by zdobyć szczyty,
 Ciężkich nie miękkich szuka on dróg,
 Męża ma ducha a nie kobiety,
 Pięść zaciśnioną, a nie wzrok łzawy:
 Na zbożnych, czystych, twardych łaskawy
 Ojców był Bóg!

Cóż jeszcze? Tylko jedno. „Głos z Polski na cześć św. Cyryla i Metodyusza.“ W roku 1881 podczas pielgrzymki słowiańskiej do Rzymu na uroczystość tych świętych, odbywała się w Watykanie

w obecności Ojca św. tak zwana akademія. W każdym z zebranych tam języków czytany był wiersz, na tę okoliczność napisany. Piękny to, i sprawiedliwy, zasłużony, koniec poetycznego zawodu Szujskiego, że jego słowo ostatecznie odezwało się tam, że wobec tych słuchaczy zaświadczyło duchowi, z którego zawsze płynęło:

O Ty błogosław—Ty Namieśniku Pański,
 O Ty im wyproś duch wytrwania męski,
 Ty mu Anioła dobrej wyproś rady,
 Ty ducha zgody, błędów pokonania
 Łaskę...

Trzydzieści lat czasu, od ławek szkolnych do śmierci, obejmuje poetyczny zawód Szujskiego. Wiele obejmuje cierpień i gorczy, walk myśli i serca ucisków? Któż odgadnie i zliczy? Z dzieł poznajemy, jakiego były rodzaju, co je zrodziło, poznajemy, że były i mnogie i wielkie: ducha nie złamały, lecz serce rozdzierały i krwawiły bez wytchnienia i litości. Ale znamy je ogólnie tylko: a jak one każdego dnia i każdej godziny bolały, ile ich było, tego nie wiemy: tajemnica została między Bogiem, który widział i liczył, a człowiekiem, który cierpiał.

Cóż po przejrzeniu dzieł pomyślimy i powiemy o tej poezji i o tym poecie? Musiał być chyba jakiś bardzo słaby i nieznaczący, kiedy za życia czytano go tak mało, a po śmierci, przez te długie lata, jeden się dotąd znalazł, który mu czas i pracę poświęcał — pan German. Prawda, że ten jeden z zamilowaniem wielkiem i głębokiem zrozumieniem, wniknięciem w naturę talentu, w myśl i duszę człowieka. Czy słaby i nieznaczący? Jaki był talent poetyczny Szujskiego, to pytanie, które (ufamy) będzie roztrząsaniem nieraz, a rozwiązaniem nie prędko. Dziś na prawomocny wyrok zawczasie: sprawa za świeża, sędziowie sami nie dość z jej aktami obeznani, przysięgli do sądzienia nieprzysposobieni. Przyszłość wyda werdykt, a na jedno w każdym razie liczyć można, to, że ona nie powie: „nieznaczący, obójtny, mały, zdolny przez jeden dzień podobać się i zająć, a prze-

znaczonej na to, by po jednym dniu zwiędnął, usechł i zniknął w niepamięci piasku“.

Czy Szujski był organizacją i zdolnością poetyczną zupełną, skończoną, doskonale i harmonijnie złożoną, jak Mickiewicz, jak Goethe, jak Byron lub Schiller? Nie, oczywiście, nie. Dowodzi tego w sposób niewątpliwy choćby sam ten fakt, że Szujski historyk i Szujski polityk, jakkolwiek nieganiiony tylko, ale szarpany i prześladowany, przyjął się jako taki, i ma stanowisko wielkie, które najzawziętszy przeciwnik może próbować osłabić, ale którego nawet taki nie próbuje przeczyć. Szujski poeta tak się nie przyjął, takiego stanowiska nie ma. Dla czego? Jakie są po temu w jego talencie powody, jakie niedostatki?

Przedewszystkiem ta rzecz zewnętrzna niby, i jako taka, niby mniej ważna, ale w sztuce nierozłącznie z istotą rzeczy związana, forma. Ta jest u niego nierówna, a nieraz trudna. Natchnienie będzie prawdziwe i potężne, uczucie porywające, myśl głęboka—ale wyrażenie będzie często zawile, albo jak żeby wymęczone, sztuczne. Niedoskonałość w tem jest oczywiście, a choć pomimo niej jest i wielka siła, i wielka świetność wyrażań i stylu, to przecież dziwić się nie można, że czytelnik nie lgnie, nie rwie się do poezyi, która go tą zewnętrzną ponętą nie wabi, tylko owszem nieraz zraża trudnością. Tu nie forma sama wiedzie czytelnika łatwo i rozkosznie do zagłębiania się w treść; tu treść poznana, myśl zgłębiona, prowadzi dopiero do stopniowego uznania i ocenienia formy. Kto wydobył myśl i do niej się przywiązał, ten potem, ale potem, dochodzi do przekonania, że i ta forma jest niezwykła, oryginalna, dzielna, często (częściej niż zrazu widzimy i wiemy) wspanała.

Ale to jest już skutkiem czasu, pewnej pracy i pewnego przyzwyczajenia: z góry, odrazu, ta forma nie chwyta, nie czaruje, nie podbija.

W tem wielka oczywiście niekorzyść dla poezyi i poety.

Jaki zaś powód? Naprzód myślenie niezmiernie szybkie i obfite. Taki nawał myśli, argumentów w rozumowaniu, w prozie, lub pierwiastków sytuacji w poezyi, że umysł i pamięć, i wyobraźnia, zachowują i utwierdzają na papierze te tylko, które są najistotniejsze, główne.

Te rzeczy poboczne, mniejsze, ale potrzebne, bo łączą i uwiadcniają związek, Szujski pomija, opuszcza w swoim stylu i sposobie pisania, w swoim planie i sposobie tworzenia.

W jego umyśle one są i tkwią, on o nich wie i pamięta, a myśli, że tak samo wiadome, tak samo przytomne czytelnikowi także. I w tem się często myli. Czytelnik nieraz widzi przeskok myśli tam, gdzie dla autora związek jest jasny: czytelnik często nie zna tego historycznego szczegółu, który, autorowi doskonale wiadomy, stanowi powód lub utrzymuje związek dramatycznych sytuacji. Jasność i krótkość okresów, zdań, wyrażeń, dokładniejsze wytłómaczenie i rozwinięcie myśli, oto, co było-by potrzebem na to, by Szujskiego zrobić pisarzem powabnym, powszechnie wziętym, popularnym.

Oprócz tego miał on w młodości skłonność do wyrażeń przesadnych, naprężonych; zdawało mu się, że to siła i jędrność. Skłonność z wiekiem przeszła, ale zostało pewne przyzwyczajenie, pewne oswojenie się z wadami stylu i prześlepianie ich; zmysł estetyczny, który czuwa pilnie nad wyrażeniami i stylem, strzeże się tego, co brzmi źle, i wygląda brzydko, ten albo z natury nie był dość drażliwym, albo nie wykształcił się dostatecznie. Ten sam zaś błąd daje się widzieć nie tylko w jego wyrażeniach i stylu, ale także w jego pomysłach, w jego wyobraźni. Jak nie czuje, że pewna sytuacja potrzebuje rozwinięcia, dokładniejszego wytłómaczenia, tak również nie czuje, że jakaś inna, zamiast być bardzo wyrazistą i energiczną, stała się przesadną, nienaturalną, a przez to zmarnowaną, straconą (np. w Halszce przysięga, w Marynie zdrętwiałe ramie Dymitra i rozdarcie korony, w Władysławie IV śmierć Koniecpolskiego).

To są jego główne błędy, defekta jego poetycznej organizacji. Ale jest coś więcej, co nie da się uważać za błąd, tylko za nieunikniony pierwiastek pewnego rodzaju poezji i pewnego rodzaju talentów. On jest poetą tendencyjnym, a w takich organizacja poetyczna może być bardzo potężną; doskonałą, zupełną nie jest nigdy. Dante, z takich największy, był zapewne mędrszym od Homera, ale nie był takim jak on poeta; a żeby bliżej porównania szukać, jaka jest różnica ogromna między poetycznymi usposobieniami Mickiewicza a Krasińskiego!

Poeta, który jest przedewszystkiem tendencyjnym, który tłómaczy, dowodzi, chce coś sprawić, musi być dydaktycznym: a wskutku tego kierunku swojej poezji (który znowu jest skutkiem jego natury i umysłu), musi być więcej myślicielem, niż artystą. Szujski już w pierwszej młodości, choć się wtedy mniemał do poezji wyłącznie powołanym, oburzał się na sztukę dla sztuki, gardził nią, chciał żeby poezya miała jakiś cel nad sobą, żeby wyższym od siebie względem

i sprawom służyła. W latach dojrzałych to jego przekonanie stało się mniej absolutnem: ale przez jego duszę przeszły takie wrażenia i wstrząśnienia, ta praktyczna potrzeba służenia, budzenia i szczenia pewnych pojęć i uczuć, sądzenia faktów i ludzi, rozstrząsania sumień, tak się wzmogła i narzuciła, że wzięła w posiadanie całą duszę, całą siłę, całe życie człowieka, a poezya przejęła się i przesiąkla tym obowiązkiem nawskroś, on stał się jej duszą i treścią. W formie ta poezya niby nie ma nic wspólnego z filozoficznymi lub politycznymi kwestyami współczesnego świata; nie stawia sobie tez, nie wciela idei czy dążeń w allegoryczne postacie i pomysły. To są proste, zwykłe sceniczne dramata, lub proste wiersze uczuciowe, ale każda figura, każda scena dramatu, każda strofa takiego wiersza, uczy, upomina, służy, do czegoś dąży, jest środkiem do poruszania, do przekonania, do działania.

Ta tendencyjność, ten ukryty dydaktyzm, wskazuje i dowodzi, że jego organizacya artystyczna nie była doskonałą, że myśliciel i człowiek publiczny był w nim potężniejszym od poety. Podobny tem jest i zbliżony dotego, którego poezya raczej mu się nie podobała, a którego myśli i teorye w swojej nieraz zbijał i prostował, do Kraśnińskiego. To jest, przy całym niepodobieństwie, przy całej różnicy form, pomysłów, usposobienia, i sposobu pisania, to jest jego bezpośredni poprzednik w naszej poezyi, a związek pomiędzy nimi taki, że jeden jest koniecznem następstwem, uzupełnieniem i sprostowaniem drugiego.

Ze sfer historyozofii ideal ten sam zstępuje tu na grunt rzeczywistości. w niej się rozpoznaje i oryentuje, z nią się porównywa, a widząc, jak jej do niego daleko, ściąga swoje wielkie rozmiary do jej małości, i nie zmieniając swojej natury, zmienia swój kształt. Nie patrzy w przyszłość daleką i nieoznaczoną, ale na współczesną, dzisiejszą terażniejszość; nie kres wskazuje, ale początek drogi i wszystkie na nim kamienie i ciernie: jeden widzi szczyt budowy, drugi uważa na fundamenta, jakie są, czy dość pewne i mocne, by budowa na nich wznosić się mogła, a jeżeli nie, to jak je wzmocnić i utrwalić. Ale plan budowy jest ten sam, droga jest ta sama: a przy zupełnej odmienności form, rodzajów niektórych pojęć, przy całej różnicy talentów, duch i cel jest ten sam.

Z tego tendencyjnego, dydaktycznego charakteru poezyi Szujskiego wynika znowu to, że ona przemawia i szturmuje gwałtownie do myśli swego czytelnika, do jego przekonania, do jego sumienia i woli, nierównie mniej do jego wyobraźni, a wcale już do jego nerwów.

I to znowu jest może jednym z powodów tej obojętności, jaka ją spotyka. Ona wstrząsa gwałtownie, a nieraz silnie porywa uczucie, ale ona nigdy siebie ani drugich nie roztkliwia, nie rozmarza; a my oddawna do tego przyzwyczajeni, to przedewszystkiem lubimy, tego w poezyi szukamy. To nam dawali niektórzy z romantyków—nawet wielcy—jak Słowacki, i ich epigonowie; to w innej formie dzisiejsi realisci. Czy wolno jest uważać za wielką zaletę i zasługę Szujskiego, w poezyi, jak prozie, to, co jest jego niezaprzeczoną cechą, tę męskosć i jędrność, która do męskich władz duszy udaje się i trafia, która nie westchnienia i lży wyciska, ale wykrzesać, wyrąbać chce ze swego czytelnika zastanowienie i postanowienie, która, sama z woli i charakteru zrodzona, wolę i charakter chce budzić, wyrabiać, hartować?

Można mówić co się podoba o okresach zawitych lub błędnej budowie dramatów; jednego przecieź zaprzeczyć ani zmienić nie można, że w tej poezyi całej niema nic marnego i pustego. Żadnego słowa, w którym nie było-by myśli, żadnego źdźbła bez ziarna.

I to sprawia, że pomalu, nieznacznie, dotąd nielicznie, czytelnicy (a co dziwna i dobra, młodzi), zaczynają zwracać się ku tej poezyi i do niej lgnąć. Przewyciężają trudności formy, rezygnują się na jej niedoskonałości, bo pod tą formą znajdują myśl, która ich wzmacnia i krzepi, uczucie, które ich podnosi, pokarm duchowy, który się bierze na zapas na całe życie, żeby w drodze z sił nie opaść i nie ustać. Potrzeba, prawda, pewnego przysposobienia, pewnego wychowania, żeby w tej poezyi przywyknąć: przyzwyczajenia do surowego nad sobą sądu i do wysokich a twardszych od siebie wymagań. Dlatego poezya Szujskiego jeszcze między nami nie rozeszła się i nie przyjęła, dlatego igdy będąc na wielką wziętość liczyć nie może. Ale jeżeli te przymioty, które ona w sobie ma i których od nas żąda, z postępem czasu i postępem społeczeństwa samego, zdołają w nas rozwijać się i wzrastać, to przyjdzie kiedyś czas, że będziemy w niej widzieć wyraz naszych uczuć i pragnień. Wiele kwiatów zwieździe i uschnie, i upadnie, a ten pień, pełen jędrnej, twardej, silnej rdzeni, żyć będzie.

W tem, co było częścią najbardziej umiłowaną jego poezyi, w dramacie, jakie jego właściwe stanowisko i zasługa? Czy zrobił się przez niego jaki krok naprzód w tym kierunku? Sam uważał swój dramat za próbę, za usiłowanie tylko: nie śmiał spodziewać się (choć marzyć musiał), żeby próba się udała, a usiłowania doprowadziły do celu. Tak się nie stało: żaden z jego dramatów nie jest tym, którego chcemy, na

który czekamy. Takiego dotąd niema. W przytoczonej powyżej pracy o Szujskim mówi pan German, że i czas nie po temu. i Szujski sam zbyt był synem swego czasu, zbyt napojony jego goryczami i jego bólami szarpany, żeby mógł zapanować nad temi wrażeniami i tworzyć spokojnie, pogodnie. Czy czas był powodem, czy natura jego talentu, to pewna, że po nim, jak przed nim, tragedia polska jest zawsze jeszcze naszym pragnieniem i oczekiwaniem. Polskiego Wallensteina, polskiego Macbetha nie dał nam on, jak nie dał nikt inny. Ale czy tej sprawy znacznie naprzód nie posunął, czy się dramatowi przyszłemu nie przydał, i czy nie miał sam niepospolitych w tym rodzaju przymiotów, to inne pytanie. W każdym razie jest on inny, jak wszyscy dotąd tragicy, i nie tylko polscy. Na Szekspirze kształcony, to oczywista: ale w tem zupełnie oryginalny i jedyny, że jest bardziej niż każdy inny tragikiem historycznych sił i dążności: nie wypadków, ale tych zbiorowych sił, dążności i praw, które sprowadzają wypadki i w nich się objawiają. U Szekspira jest to najwyraźniej w tragediach rzymskich, w Cezarze, a zwłaszcza w Koryolanie. W dramatach z historii angielskiej są fakta i są indywidua ludzkie, psychologicznie zawsze prawdziwe, a często typowe, ale walki politycznych pojęć i zasad tam niema. W Wallensteinie jest ogromny i jak morze głęboki obszar tych konieczności, tych fatalności, które polityka rodzi lub znosić musi, ale walka jest znowu między żądzami i prawami, nie między przekonaniami, zasadami, dążnościami. Tragedye Szujskiego są ze wszystkich historycznych najbardziej polityczne: walka w nich toczy się zawsze między myślami i zamiarami politycznymi, a przedmiotem jej nie jest jeden człowiek ze swojemi namiętnościami i pragnieniami, ale rzecz publiczna, jej ratunek i jej upadek.

Z tą charakterystyczną cechą tych dramatów godzi się logicznie a ciekawie to stale w nich zjawisko, że figury i sytuacje, w których jest ten pierwiastek politycznej myśli i dążności, zlej czy dobrej, będą miały zawsze więcej życia, więcej prawdy, więcej fizyognomii, więcej poezyi od tych, w których jest jakieś osobiste tylko uczucie. Miłość i kochankowie to zwykła strona słabsza tych dramatów, ludzie działający w historii, czy Rzeczypospolitej bronią, czy ją gubią, oddani są prawie zawsze z wielką siłą i prawdą, mają swoje znamię indywidualne, swoją wartość jako typy, i swój głęboki, bolesny, tragiczny charakter.

Dar kreślenia tych postaci miał Szujski w stopniu wysokim i rzadkim. A w każdym razie położył około dramatu polskiego jedną

zasługę wielką. Jego tragedye mogą być bardzo niedoskonale i nie podobać się; ale po jego tragediach żadne płytkie i czeze podobać się na prawdę i żyć nie zdołają. Mogą się ukazywać, mieć chwilę powodzenia, próby czasu nie wytrzymają. Może tragedia polska nie przyjdzie nigdy, ale jeżeli przyjdzie, to nie będzie mogła stać niżej będzie musiała być po takich początkach bardzo rozumną, bardzo głęboką, mądrą.

Po wielkiej poezyi przyszedł czas na prozę, po epoce młodzieńczej lotności uczucia—czas na ten dojrzały wiek męski, który z uczuciem nie traci nic, ale rozum i wolę ćwiczy i podnosi do równego z uczuciem poziomu: z rajskiej dziedziny ułudy wygnany Adam przekonał się, że nie na żart, ale na prawdę powiedziano mu, „masz w pocie czoła ziemię uprawiać, bo inaczej ona ci nie nie wyda.“

Po wielkich poetach przyszedł człowiek, który wielkim poetą może nie był, ale był historykiem, był politykiem, był nauczycielem, i ten rozkaz wzięwszy do serca, krwawym potem tę ziemię skrapiał, na każdej jej piędzi, jak tylko najdalej mógł dosięgnąć, rzucił ziarna myśli, sądu, postanowienia. Wierzył i mówił, że jak człowiek musi zacząć od znajomości siebie samego, od rachunku sumienia, żeby się stał lepszym, jak lekarz musi poznać powód i stopień choroby, żeby mógł zdrowie przywrócić; tak społeczeństwo, jeżeli ma być tęgim, musi zdać sobie sprawę ze swoich słabości i musi chcieć ich się pozbyć.

„W trosce wielkiej patrzył dokoła, złe z dobrem ważąc na sumienia szali“, a to, co zważył i zauważył, to zapisywał na każdej kartce swojej prozy, czy poezyi, „byście o tych duchów znali sprawie“, by zbudzony Piotrowin powiedział „w czem pomoey chce od syna“.

O historyku i polityku, o jego związku ze współczesnym światem i w tym świecie stanowisku, nie czas i miejsce mówić. Poeta tylko nas dziś zajmuje. Ale ten poeta był tamtych pomocnikiem, jak historyk i polityk chciał, dążył, walczył i cierpiał, jak historyk i polityk musiał znosić prześladowania. To nie dziw. Zasługa i cnota nie były-by sobą, gdyby były łatwe, a ziemia była-by rajem, gdyby dobro szerzyło się i zwyciężało bez walki.

W mecie Zbawiciela było nietylko biczowanie, koronowanie cierniami i ukrzyżowanie: były zniewagi i fałszywe świadectwa. Nie patrząc tak wysoko, w ziemskich tylko żywotach i cnotach widzi się w mniejszych rozmiarach odbicie tego samego losu. Żółkiew-

ski był okrzyczany, że się Turków uląkł, Sobieski, że się z nimi na Rzeczpospolitą zwał. A jakież oskarżenia nie padały w bliższych nam czasach, żeby jednego tylko Mickiewicza wymienić. Jeżeli tacy nie byli od potwarzy zasłonięci i wolni, cóż się dziwić dopiero, że mniejsi, chwałą geniuszu i wielkich czynów nie otoczeni i nie osłonięci, że ci byli brani na cel tak śmiało, tak bezpiecznie, jak ten rycerz, co sam jeden stał na łące pod dębem, kiedy w niego tysiące strzał tatarskich mierzyło.

W Szujskim utkwilo tych strzał wiele, ale jak tamten z drogi wracać nie myślał, bo wyszedł po posiłki, i jak tamten do ostatniego tchu wzywał arki przymierza, stolicy mądrości, uzdrowienia chorych, pocieszenia strapionych, wspomnienia wiernych. „Ducha miał gasić“, mówiono, szacunek siebie samych nam odbierać, znieważać to, co czczonem jest i być winno?

Czy gasi ten, co oświeca, czy odejmuje cześć własną ten, co każe tak się szanować, żeby jednego pyłu złego na sobie nie znośić, a tak wiele od siebie żądać, żeby się do czegoś wielkiego usposobić? czy znieważa ten co mówi, „jakeś upadł to się dźwigaj“? Tak samo znieważa spowiednik, kiedy rozgrzeszenie daje, ale postanowienia poprawy wymaga. Tak odejmuje szacunek własny i ufność do siebie starszy młodsze, kiedy go uczy, że powinien się trzymać zdala od wszystkiego, co niskie i złe, a stać się szlachetnym i mądrym.

Tak gasi ten, kto w ogniu miłości chce stopić wszystkie zuzle i skorupy, jakie do złota przywrzały, a myśli, że kto kocha naprawdę, ten w miłości swojej znaleźć powinien siłę i odwagę, żeby poświęcić i odrzucić od siebie i w sobie lichsze pierwiastki ze złotem zmieszane, a czystem złotem pozostać i zaświecić.

Jaki to był duch, i czy on w drugim ducha gasił lub podnosił i rozplomieniał, to daje się widzieć choć poczęści z tych poezji, które tu streszczałem lub przytaczałem. Może one zaświadczać i przekonują, że nie niesłusznie na pomniku Szujskiego w Tarnowie (przed szkołą, w której pierwsze nauki pobierał), położono taki z jego słów ułożony napis:

We mnie ogień zarzył się miłości,
Do tej wielkiej i świętej przeszłości,

Więc w trosce wielkiej patrzałem dokoła,
Na braci serca i na braci czoła,

Złe z dobrem ważąc na sumienia szali,
Aby naród był z was kiedyś duży,
Wierny Bogu i dobry na bliźnie.

ST. TARNOWSKI.

Echa z wielkiego bazaru.¹⁾

(*Wrażenia i notatki*).

II.

S z t u k a .

Cudny, słoneczny ranek. Słońce rozwiane w złote mgły nad Polami Elizejskimi. nad placem Zgody, nad zielenią ogrodów Tuileries, „gdzie tłum posągów stoi“. Słońce na uroczystrych, jasnych kolumnach, które w tym blasku jarzą się, jak najszlachetniejsze marmury. Słońce w milionie metalowych błysków Sekwany, nasycających powietrze jakąś skrzącą się migotliwością.

Słońce, w szalonej orgii zatapiające plac Zgody falami, z pośród których, jak skamieniała fontanna, bije pod niebo olśniewający obelisk. Słońce, niby zaczarowana rzeka z bajki, płynie perspektywą Pól

¹⁾ Patrz czerwcowy zeszyt „Biblioteki“.

Elizejskich aż tu, pod sklezione krużganki Luwru, skąd wzrok mój obejmuje cały ten miraż słoneczny w jednym wrażeniu.

Nad Polami wysoko i w ogromnem oddaleniu, a jednak nad podziw wyraźnie, jak końcowy akord tej kamiennej symfonii blasków, olbrzymieje łuk tryumfalny.

Z linii łuku tworzy się na tle nieba przezczystych kształtów rama, przez którą przeziiera głęboki błękit niebieski.

Ten paryski krajobraz w słońcu ma nieopisaną moc. Można tu godzinami patrzeć, jak pienią się fontanny na Placu Zgody, jak uroczyście brzmią kolumnady, jak nieruchomo a porywająco kreślą się perspektywy. I można się błąkać nad Sekwaną, lub w tłumie posągów, które, podobne białym zjawieniom, wynurzają się z zieleni Tuileries, i znowu powracać oczyma w ów przezczysty owal niebieski łuku tryumfalnego.

Prawie tu nie trzeba marzyć. Prawie można tu, jak w lesie, jak w górach, lub nad morzem, oddać się wrażeniu, które samo spotyka, prowadzi, nastroja i tworzy.

Ten kamienny i słoneczny świat, to takie jakieś zjawisko przyrody, „jak potopu ścięte fale“, jakby cała jakaś faza, cały jeden wielki przypływ dziejów, zaklęty w ten kształt pełny przed oczyma pokoleń.

Istnieją gdzieś po świecie takie, zaklęte w kształt widomy i mniej lub więcej kamienny, epoki dziejów. Coś takiego widzi się w Rzymie na Kapitolu, ze spalonych wzgórz Jerozolimy, w Atenach. Miejsca te tchną mocą żywiołową, gdyż są ucieleśnieniem piątego żywiołu, potężnego żywiołu dziejów, z życia ludzkiego. Paryż jest takim ucieleśnieniem dziejów, do dziś dnia i w naszych oczach urzezywistniającem się. Stąd jego moc szczególna.

Zresztą, gdy to słońce świeci nad obeliskiem, nie przychodzi na myśl wcale „słońce Austerlitzu“. Ani, patrząc na łuk tryumfalny, nie myśli się o „wielkiej armii“, ani w ogrodach Tuileries nie szuka się ech drugiego cesarstwa, ani na Placu Zgody krwawych śladów „straszliwego roku“. Zgoła się nie dowcipkuje rozumem w taki słoneczny ranek pod kolumnadą Luwru, tylko się idzie w ten świat jak się idzie morskim brzegiem, „w słonecznem zamysleniu“.

Mnie zresztą prowadzi dziś tędy myśl stosunkowo brzydka. Oto mam pójść do „Małego“ i „Wielkiego“ palacu sztuki na wystawie, i po raz ostatni przed sprawozdaniem rzucić okiem na ich rzekomą całość. Towarzyszy mi przy tem, jakby natrętna zwrotka, pewien frazes dostojny z jakiegoś otwarcia, że w pałacach tych (wielkim i małym) podziwiamy naraz „symbol wielkiego wieku“, który się kończy

(d'un grand siècle qui finit), oraz wschodzącą zorzę wieku nowego". Jakże to dużo, ach, jak to dużo naraz!

Idę więc patrzeć na te dwa symbole, lecz mimowoli krok zwalniam, mijając Tuileries, „gdzie tłum posągów stoi“, fontanny i obelisk Placu. i kolumnady świętej Magdaleny w perspektywie, i zarzucony wieńcami pomnik Strasburga.

Na Polach Elizejskich wzrastają tłumy powozów. Ruch ludzki kipi tu prawie tak rozrzutnie, jak fala słońca. Zda się, że same Pola płyną z pod nieruchomej w błękitie bramy tryumfalnej.

Na placu Zgody, między śnieżnemi pióropuszcami wodotrysków, krzyżują się te wyroje ludzkie, nieprzerwaną czerniawą płynące ku przedmieściu świętego Antoniego, na bulwary, z wystawy, na wystawę, na Górę świętej Genowefy. I nieustanny przyływ bije z zięjących zewsząd paszcz ulicy, i nieustanny odpływ znaczą krzyżujące się fale ruchliwe, a plac, i pola, i ogrody, jak kipiały, tak i kipią słońcem i tłumami. Tak piąty żywioł bije tu o brzegi swoje kamienne w słoneczny ranek paryski i prawie się napewno wie, że tu jest ten „symbol“, który mamy odnaleźć w wielkim i małym pałacu sztuki.

I znowu wzrok powraca w perspektywę łuku, gdzie jaśnieje przeczysty owal błękitu.

I czy dla tego, że stał dziś w Luvrze przed posągami bezgłowego „Zwycięstwa z Samostrakos“, czy że słoneczny ranek tak rozzuchwala, czuję nagle, że posąg ten powinien stać tam właśnie przed bramą tryumfalną, na tle błękitnego wylotu, nad Polami Elizejskimi.

Tam niech-by stał ten cudny, skrzydlaty kształt, wymarzony w kamieniu przed wiekami. Tam, z pod tej bramy niech-by się zrywał bezgłowy anioł zwycięstw nad tem morzem głów w huraganie słońca. Niech-by tak płynął, jak ongi płynął na kamiennym przodzie statku, ażby mu te tłumy, w jakimś wielkim dniu przyływu dziejowego, wymarzyły aureolę nad bezgłowym torsem, i na jeden raz zwały się w porywie dusz z porywem jego skrzydeł!

Gdybyż można było czuć wtedy z krużganków Luvru, że „znów czasu Bóg postąpił krokiem“.

Sądząc z miejsca, które na Wielkim Bazarze zajęła sztuka, cywilizacja schyłku XIX wieku jest stanowczo najartystyczniejszą z pośród cywilizacji wszystkich epok. Czy będziemy rachowali na hektary płócien zamalowanych, czy na centnary gipsu, bronzu i marmuru, użytego na pomniki i posągi, czy wreszcie na sześciany szlachetnego staffu, zawsze Wielki Bazar poświadczy widocznie, że jesteśmy wykwittem arcyzmu, niebывалым nawet za marmurowych czasów Hellady.

Zwłaszcza szlachetny staff, staff piękny a pożyteczny, przekonywa nas o tem, w którąkolwiek-bądź stronę rzucimy okiem.

Staff, jest to prawdziwa mieszanina, że tak powiem, przemysłowo - artystyczna, użyta jako materiał ogromnej większości budynków i ornamentyki Wielkiego Bazaru. Jeżeli zaś klasycznie słusznem jest twierdzenie, że dzieła sztuki są w ścisłej zależności od swego materiału, że marmur, bronz, drzewo, farba olejna lub kredka pastelu narzucają wprost swój charakter, swoją logikę dziełom sztuki, to nigdy twierdzenie to nie święciło zupełniejszego tryumfu, jak tu na tym obszarze, gdzie wszechpotężnie włada staff.

Proszę rzucić okiem dokoła. Te oto grzebień o żółtawym tonie, zdobiące przyczół Pałacu Wodnego i tak łudząco naśladujące piernik — to staff! Te kunsztowne płaskorzeźby i wypuklorzeźby na wielkich pałacach Pola Marsowego, tak pokrewne lukrom i masie migdałowej, posłusznej palcom cukierników — to staff!

Te wreszcie białe figielki, zalegające dachy i frontony kiosków na Placu Inwalidów, a tak prawie filuterne, jak wystawy masarskie z najczystszej loju — to także staff!

Staff jest tryumfem Wielkiego Bazaru. Gdy bowiem w roku 1889 rzeźbiarze i architekci urabiali żelazo i ceramikę w dziwaczny, ale potężny kształt tak zwanego „stylu żelaznego“, obecnie użyto na materiał niemal wyłącznie staffu. Staff jest to mieszanina gałganów i wapna. Ledwie zdołają inżynierowie ustawić żelazny skielet pawilonu, a już dobroczynny staff oblepia go, zasmarowuje, maskuje od fundamentu do szczytu. Staff jest niesłychanie plastyczny, prędko zastęga, tani jest i wreszcie przybiera wszelki pozór: loju, piernika, lukru. Te względy wystarczyły, ażeby twórcy Wielkiego Bazaru uznali staff za materiał, godny jego ornamentyki.

I w ten sposób, z tej makulatury budowlanej powstały te tysiące rzeźb, dekoracji, fryzów, gżemsów, kolumn i frontonów na wszystkich placach Wystawy.

Staff ma jeszcze jedną wielką zaletę: oto woda rychło go rozpuszcza na mleczko wapienne, ogień zaś wyżera tkankę galganów, a tak, czy owak, przez stan płynny, czy sypki, budowania te łatwo mogą być zamienione w kałużę, lub w kupę popielisk.

Jeżeli pozwoliłem sobie nieco dłużej zaprzętać temi szczegółami o staffie uwagę czytelnika, to jedynie dla dwóch względów.

Po pierwsze: ponieważ szczegóły te są autentycznie fachowe, to jest wzięte z traktatu inżynierskiego o tryumfach staffu na Wystawie. Powtórę zaś, ponieważ charakter staffu rzeczywiście odbił się na ogólnym artystycznym wyglądzie Wystawy.

Jakiś nieszczerzy, kłamany ton mają wszystkie te budynki, jakaś nielogiczna porowatość, czy sparciałość cechuje te niby olbrzymy, mające się rozlać w błoto, lub rozsypać w kurz za lada przyczyną. Artystycznym kłamstwem, nielogicznością materiału i pozoru budynków wita Wielki Bazar widza. Tandeta, pokrewna oszołamiającym berlińskim wystawom w „Dreimarkenmagasin'ach“, tandeta przesadzona i sadząca się bezczelnie na pozory bogactwa i użyteczności, to nie jest właściwy podkład, ale jest to dobre tło dla dalszych wrażeń.

Wrażenie to uderza każdego, zwłaszcza zaś nuży i nudzi to piernikarskie budowanie w zestawieniu z architekturą szczerą, której nie brak przecież na placach Wystawy. Nawet brzydkie zebra wieży Eiffel nabierają prawie wdzięku wobec tych łojówek, wdzięku prostoty, szczerości i logiki budowania.

A już niema co mówić o precudnych drewnianych kioskach Japończyków, lub chińskim pawilonie, o niesłychanej rzeźbie drewnianej w Indyach angielskich i t. p. Tu połączenie lekkich, przezroczystych koronek drzewnych, barwistych laków, wyraźnych a wykończonych wiązań po prostu jest arcydziełem budownictwa drewnianego. Tą samą szczerością i logiką architektury podbija pawilon norweski: prześliczny, wygodny szalet północny z szerokich tarcic, o osłoniętych dobrze gankach i werandzie.

W ten sposób budynki ze staffu są dobre chyba jako „repoussoir“ dla uwyrażnienia olbrzymiej roli, którą we wrażeniu artystycznym odgrywa szczerosc i logika wewnętrzna dzieła sztuki. Tak naprzykład zyskują ogromnie na tem ogólnem tle dwa pałace sztuk pięknych, budowane seryo, na stałe. Wybacza im się chętnie pewne błędy za uczciwość wykonania, za to, że nikogo nie okłamują.

Dziecinne pozory przepychu tanim kosztem, trwałości, niewytrzymującej porządnego deszczu, — zgoła cała ta architektura wystawowa, siląca się na pozór artyzmu nieusprawiedliwionego, jest czemś bardzo lichem i przebrzmiałem, jako koncepcya ogólna. Po wysiłkach „stylu żelaznego“ zeszlęj wystawy, należało myśleć o architekturze

mniej pompatycznej, ale lepiej odpowiadającej wewnętrznej potrzebie szczerości w sztuce, której przecież nie można zostawić w domu, idąc na wystawę. I prawie tęskno wśród tych łożówek i pierników za brutalną siłą olbrzymich hall żelaznych, ozdobionych trwałym połyskiem kaffi i ceramik.

Stanąwszy na moście Aleksandra III-go, obejmujemy okiem całość budynków i placów, w których obrębie mieści się wystawa sztuk plastycznych w ściślejszem rozumieniu. Na lewo, pod kopułą Inwalidów, wyciągają się dwa skrzydła pałacu sztuk stosowanych. Na prawo od Pól Elizejskich do Sekwany otwiera się perspektywa Alei Mikołaja II, przy której stoją wielki i mały pałac, to jest wystawa rzeźby i malarstwa. Jesteśmy zatem w dziedzinie sztuki „czystej“, sztuki, nienagającej się do celów postronnych... Sam most Aleksandra III, budowla bezwątpienia monumentalna, jest jakby łącznikiem tych dwóch dzielnic: Alei Mikołaja II i Placu Inwalidów.

Mistrzowie w sztuce tworzenia pejzażów miejskich, Francuzi, zapragnęli stworzyć w roku 1900 „pendant“ do owej niezrównanej perspektywy od Łuku Tryumfalnego do Tuileries, i stworzyli właśnie tę linię, na którą się składają: Aleja Mikołaja II-go, most Aleksandra III-go i Plac Inwalidów.

Ze środka Alei ma się widok wprost na złotą kopułę grobu Napoleona. Szeroki, jak największa sala przyjęć oficjalnych, most bynajmniej nie rozrywa całości tej perspektywy, owszem, przedłuża akcyę i stanowi przejście do placu. Prawdziwie, gdyby Francuzi pod Berezyną mieli tak monumentalnie szeroki most, kto wie, czy w roku 1900 Paryż zdobył-by się na to „pendant“, tak harmonijnie wiążące w całość przy pomocy mostu Aleksandra III-go pałac Inwalidów i pałac Elizejski?

Wracajmy jednak w Aleję Mikołaja II, w dziedzinę sztuki czystej.

Nie leży w mocy ludzkiej skreślenie wyczerpującego sprawozdania z wystawy tegorocznej. Kilkadziesiąt tysięcy rzeźb, płócien i innych przedmiotów sztuki obejmuje Pałac Wielki. Dwa piętra sal zajmuje wystawa z dziesięciolecia 1890 — 1900.

Zaledwie jakiś kąt pałacu, jakieś 20 — 30 sal pozostawiono na użytek francuskiej wystawy stułetniej, obejmującej poglądowy zarys rozwoju sztuki od schyłku wieku XVIII do roku 1890.

Cały wreszcie srodek pałacu, to jest wewnętrzny, nakryty hallą dziedziniec, zajęła rzeźba. Dziedziniec ten będzie w zwykłym czasie służył za arenę konkursu końskiego. Mógł-by zaś w wiekach średnich zamknąć szranki najświetniejszego turnieju.

Otóż, gdy w tych ramach stanęły do apelu sztuki plastyczne, jeśli nie wszystkich narodów, to wszystkich państw, nie wyłączając Japonii, gdy obok tego, w trzydziestu blisko salach zgromadzono rzadkie okazy produkcyi artystycznej Francyi XIX wieku, sprawozdanie może być tylko rekapitulacją najsilniejszych „momentów“ wystawy—niczem więcej. Czems w rodzaju symbolicznego fresku „dziejów sztuki“, zdobiącego fronton Pałacu Wielkiego.

Przedewszystkiem ogromny zawód czeka widza w salach francuskiej wystawy stuletniej. Mówię tu, oczywiście, o widzu przeciętnym, który rad-by przy tej okazji, za pomocą przechadzki po kilkunastu salach, poznać sztukę francuską. Niestety, nie pozna jej, pomimo wiele obiecującego tytułu wystawy. Sale w istocie idą epokami: najpierw czasy wielkiej rewolucyi, potem pierwsze cesarstwo, restauracya, drugie cesarstwo i t. d.

W każdej epoce brzmią wielkie nazwiska, ale dzieł wielkich, tych, które znaczyły chwile przełomów w sztuce francuskiej, próżno tu szukać. Są to po największej części, niemal wyłącznie, obrazy, nadesłane na wystawę przez miasta całej Francyi: drugo i trzeciorzędne Davidy, Corot'y, obrazy Delacroix, Courbet'a, Reguault'a, Grossa, Ingressa, Millet'a, Manet'a i t. d., i t. d. Wszystko znakomitości i imiona historyczne, ale w próbkach raczej białych i niewystarczających. Jest to więc wystawa bogactw prowincjonalnych muzeów francuskich, nie zaś „wystawa stuletnia“. Luwr i Muzeum Luksemburskie, freski Panteonu i posągi z Tuileries zawierają, jak zawierały, właściwą wystawę stuletnią. W Grand Palais znajdujemy tylko jej ciekawe dla amatorów i znawców „pendant“. W gruncie rzeczy inaczej być nie mogło. Znawcy odnajdą tu zresztą ciekawe kolekcye, jak naprzykład zbiór kilkunastu obrazów Daumiera, karykaturzysty, pouczające uzupełnienia do bogactw muzeów paryskich.

W salonach tych warto uważniej zatrzymać się przed tak zwanemi „objets d'art“, są to konsole, zegary, szafki, fotele, komody z czasów cesarstwa, dyrektoryatu i t. p., godne podziwu zabytki najsłabiej smaku lub najwyszukańszej maniery francuskiej.

I oto jest kwintessencya, właściwe znaczenie nie tylko tej stuletniej, lecz całej wogóle wystawy retrospektywnej francuskiej.

Trzeba zwiedzić najpierw Pałac mały, zawierający wystawę mebli, relikwiarzy, zegarów, ołtarzy, kosztowności od czasów niemal

galskich do wieku XVIII, a następnie przenieść się do sal cesarstwa i restauracji w Pałacu Wielkim. Można pominąć wystawę malarską, gdzie nigdzie tylko rzuciwszy okiem na portrety „Chwalczy cesarstwa“, na pyszną Józefinę, na łagodnie zmanierowane obrazy Dawida, na parę Courbetów, na symetryczną furę Delacroix, na rozwiane dziwa Corota.

Obrazy te wraz z dyskretnym tonem gobelinów i patyną bronzów stuletnich tworzą doskonałą harmonię. Czasami wzrok pociągnie jakiś doskonały dyptyk z kości słoniowej, lub figlarna pudrowana miniatura, wyzierająca z misternej oprawy. Czasami jedna jakaś noga świecznika z prastarej katedry zachwyca przez kwadrans kunsztem i niesłychaną obfitością ornamentyki.

Ale po małym czasie, bez wysiłku spostrzegawczości ze strony obserwatora, ogarnia go, ogarnąć musi zewsząd atmosfera niesłychanego wykwintu, starego, wyrobionego, mocnego, jak wino, smaku. Smak ten uderzy we frontonie pałacu małego, rozwijającego w dalszym ciągu tradycję pałacyków à la Trianon. Uderzy w niesłychanie bogatej, a tak dyskretniej dekoracji wielkiego salonu rzeźby retrospektywnej, gdzie malachitowe tło tak cudnie żeni się z obfitością złotych kwiatów i owoców, po to tylko, żeby jasnym tonem rozweselić majestatyczne budynki i zmiękczyć surowość ścian. Nigdzie krzykliwości nie masz, nigdzie tu, jakby przyprószona złotem, ornamentyka nie razi parweniuszowstwem, niesmakiem przeladowania.

Od pozłocistej bieli i delfinowatych linii Ludwików do zielonych, złoto pręgowanych tonów cesarstwa, od kosztów i rogów obfitości do wdzięczących się po ciemnych konsolach bronzów, marmurów; wszędzie ten sam umiar, ten sam pewny, nie wysadzający się spokój królewskiej ornamentyki.

To jest prawdziwie ornamentyka królewska, to jest wiążąca się w doskonałą całość z pojęciami majestatu, godności, wykwintu i szlachetności, jakie słowo „królewskość“, choćby przez bajkę o Kopciuszku i legendę o pięknym królewiczu, w nas budzić zwykło.

I to jest bardzo stara, bardzo nawykła do swej wspaniałości królewskość. Najkosztowniejsze porcelany mają tu najciekawszy kształt i barwę najskromniejszą.

Najbogatszy ornament jest zawsze tylko ornamentem, t. j. wiąże się logicznie z budową lub przeznaczeniem sprzętu. Złoto i drogi kamień grają tu tylko rolę surrogatów światła, promienia, rozweselającego zbyt ciemne, zbyt wielkie, lub zbyt surowe płaszczyzny. Obraz jest tu zawsze obrazem, rzeźba rzeźbą, podstawa podstawa,

i ściana ścianą, nie się tu nie potraça, nie unicestwia, nie przesadza w całości, a ta całość zawsze sama siebie tłómaczy oczom widza.

Mały pałac i sale wystawy stuletniej wielkiego pałacu są w gruncie rzeczy doskonale udaną reprodukcją tego, co nazywamy smakiem czy stylem francuskim. Jest to prawie całość tych uszlachetnień, któremi sztuka ozdobiła życie od budynku do biżuterii.

Dobrze jest odświeżyć, oczyścić tu zbanalizowaną tyłu lustrami, krzesłami i strojami koncepcję Ludwików i Dyrektoryatu, Watteau i Pompadour, Cesarstwa i... „article de Paris“.

Jest to popis sztuki stosowanej francuskiej, w całej krystalicznej jej czystości i w historyczno wiernych okazach, po przez jej wszystkie fazy.

Potem można iść stąd na górę, do osławionych salonów, z monachijska secesyonistycznych, do „modernistycznych“ a kupieckich wielce pawilonów wszechgermańskiej secesyi na placu Inwalidów. Można z zimną krwią patrzeć na wysiloną pseudo - japońszczyznę, na dziecinną fantazyę „dekadentów“, tworzących krzesła podobne do kwiatów, kwiaty podobne do patelni.

Można zrywać do woli niedojrzałe i potworkowate owoce „stylów“, które padają na chwiejny smak demokracji europejskich, jak epidemiczne kalectwo logiki i szczerości.

Można także, wzięwszy za punkt wyjścia ten aż nazbyt skryzalizowany styl francuski, oryentować się w pożyczkach i przeróbkach jego, często mimowolnych, któremi własne ubóstwo maskują Niemcy.

I tem mocniej się odczuje niepodrabianą rodzimą świeżość pewnych indywidualnych wysiłków wylamania się z rutyny, lub niemającą jej zgoła naiwność motywów etnograficznych, które były i pozostałą źródłem życia dla sztuki, głębią cudowną, z której kultura wieków umie wydobywać skarby swych „stylów“.

Zaprawdę, nie dość jest znaleźć kupca na cudaczne sprzęty lub założyć ich sztuczną wylęgarnię na wzór tej lub owej „secesyi“, ażeby stworzyć „styl“.

Sklepy i secesyje przemijają, sztuka zostaje. Tego uczy nierównana wystawa sztuki stosowanej francuskiej.

Malarz jest tyranem sztuki współczesnej. Doszło do tego, że wyraz „sztuka“ wśród szerokiej publiczności znaczy prawie tyle, co „malarstwo“. Na wystawach powszechnych najczęściej miejsca, najlepsze światło zabierają jakby ex officio płótna. Wytłómaczyć to można zapewne tem samem, co tłómaczy rozwój ilustracyi w latach ostatnich.

Ilustracje, tak mało po największej części mające wspólnego ze sztuką i literaturą, są ich łatwo strawnym surrogatem dla olbrzymiej masy biernie trawiącej życie publiczne.

Publiczność lubi obrazki w pismach i oleodruki na ścianach, gdyż one łagodnie i tanim kosztem zapelniają pustkę jej egzystencji. Cierpliwości zaś papieru w świecie życia umysłowego równa się właśnie w świecie sztuk pięknych cierpliwość płótna.

Dział malarstwa w pałacu wielkim, obejmujący wystawę dzieściolecia 1890—1900, jest świetnym przyczynkiem do dziejów tyranii płótna w sztuce współczesnej.

Nigdy nie widziano większej ilości olbrzymich, na kilometry dających się mierzyć machin malarskich, zgromadzonych w jednym miejscu. Specjaliści od tematów inauguracyjno-państwowo-municipalnych, przysięgli twórcy panoram cieszących się powodzeniem, Stykowie wszech narodów, jeśli wolno tak powiedzieć, uczynili na ścianach Pałacu Wielkiego istną orgię bombastyczności, sabat „kilometrotubów“. Proszę mi wybaczyć ten neologizm, uformowany na wzór kilogramometrów i temu podob. Czemże mierzyć wartość takiej produkcji „artystycznej“ jeśli nie ilością tub farby, zużytej na kilometr płótna?

Gdy zaś zmęczony wędrowiec dobieje do brzegu tych „przeглядów floty“, „inauguracyi z roku ****“, „Rewii na Polach ??“ i t. p., czekają go wielkie „fantazy“ w stylu Rochegrosse'ów, Beraudów, płótna historyczne, przeznaczone dla sławetnych municypalności Tulonu lub Cherbourga i t. d.

I znowu po licznych kilometrach drogi, po płótnach, które przyniosły-by zaszczyt nie jednej wystawie tkackiej—ma się wystawy kobiecych robótek ręcznych. W tym dziale przodują Stany Zjednoczone. Niezliczoną jest liczba Alicyi, Cecylii i Karolin, których „kwiaty“ i „martwa natura“ (ser i winogrona), mogą w końcu przyprawić o kolorową melancholię.

Wystawa dziesięciolecia mogła-by nastęrczyć niemało filozoficznych refleksyi na temat obniżenia się poziomu artystycznego w malarstwie, spowodowanego być może wpływami rynku na produkcję „czystej“ sztuki, być może zaś napływem żywiolów o niewysokiej świeżej dacie kulturze. Rynek, w postaci bogacącej się burżuazji, municypalności i reprezentacji państwowych, szuka w obrazie tanich efektów lub tematów aktualnych. Żywioly zaś zbyt świeże, czy to mowa o demokracji, czy o kobietach, czy wreszcie o społecznościach, jak północno-amerykańska, rumuńska, serbska i t. p., przechodzą z konieczności okres produkcji wyśrubowanej, sadzącej się na „reprezentowanie“ tego, co w gruncie rzeczy wykluwa się dopiero i jest na-pół dziecinne.

Nie będziemy jednak zapuszczali się na niebezpieczny grunt tych uogólnień.

Koniec końcem, nawet po najsurowszem osądzeniu połowy wystawionych obrazów pozostaje jeszcze bardzo dużo utworów godnych uwagi, wysiłków zbiorowych rzetelnej wartości.

Francya naturalnie zajmuje niemal połowę sal malarstwa, podczas, gdy w drugiej połowie lokują się wystawy oficjalne kilkunastu państw. Ponieważ jednak każde ma do rozporządzenia 5—6 salonów, więc można zdać sobie sprawę, jeśli nie z narodowej, to, co najmniej, z państwowej sztuki danej jednostki politycznej.

Po tych kilku uwagach wstępnych, przejdźmy do przeglądu sztuki „czystej“.

Dość wyraźnie wystawa rozpada się na dwa wielkie odłamy sztuki: sztukę łacińską i sztukę germańską.

Przewaga wielkich płócien, jaskrawych tematów, wogóle wszystkiego, co-by można nazwać frazeologią malarstwa, jest oczywiście po stronie ras łacińskich. Francya trzyma tu prym niezaprzeczenie.

Dziesięciolecie ostatnie tak płodne było we frazeologię w całym wogóle życiu Francyi, że musiało się to odbić i na malarstwie.

Nie bez pewnego smutku widzi się tu machiny Detaille'ów, Gervex'ów, Rochegrosse'ów, Lefebvre'ów, Laurens'ów, Tattegrin'ów, Rolle'ów i t. p. na usługach chwili bieżącej, na równi z aparatem błyskawicznym reportera-fotografa. Były pomiędzy nimi talenty śmiałe i silne, które zwichnęła ta zbyt łatwa karyera, czerpiąca natchnienie w „faits divers“ dziesięciolecia. Tematy pseodo-historyczne lub książkowe, rozwleczone na takichże kilometrach płótna, krzykliwe i deklamatorskie, maskujące prawdziwe ubóstwo prawdziwie malarzkiej wyobraźni, stanowią dalszy ciąg tych elukubracyi oficjalnych. Tu do szeregu z Francuzami stają Włosi, Hiszpanie, Rumuni i Yan-

kesi. Olbrzymie, długie i brzydkie płótna Michettego lub Don Quichot Moreno Carbonero śmiało walczyć mogą z ubóstwem artyzmu i pompą frazeologiczną Dagnan-Benveret'a, Beraud'a, lub machin nie pamiętam czyich, na temat „Salambo.“

Mała salka rumuńska wprost śmieszy tą samą tandetą „wielkich“ tematów i lichego wykonania. I ani wiedzieć, dla czego praktyczny naród Yankesów wysłał również całe korowody płócien krzykliwie-fantastycznych, twardych i jaskrawych.

Pejzaż i portret, dwie gałęzie malarstwa, najświetniej rozwijające się we Francyi, zajmują i na wystawie stanowisko poczesne, o ile je dojrzeć można z pozamachin poprzednio wzmiankowanych. Od „wody przeświecającej przez okna“ Corotana na wystawie retrospektywnej, od Harpinies aż do najnowszych pejzażów dachów paryskich wybór jest obfity.

Szkoda jednak, że niema Klaudyusza Monet'a, którego katedry, stogi i pola tulipanów tak zajmowały publiczność w ostatnich latach i przyniosły powiew świeższy, nawet we Francyi, gdzie na brak coraz nowych porywów w pejzażu uskarżać się nie można. Niema również nic Signaca, znakomitego pejzażysty-dekoratora.

Natomiast w oddziale włoskim króluje pokrewny mu krajobraz barwny, słoneczny Segantinięgo.

Portretów jest bardzo dużo. Portret, jak wiadomo, wiąże z ziemią podoblocznych synów sztuki, tj. poprostu jest najszlachetniejszą metodą malarstwa, gdzie nie malarz modela płaci, ale model malarza płaci i płaci nieźle, jak sądzić można z fortun znakomych portrecistów.

Carolus Duran, Bonnat, Benjamin Constant z wieku i urzędu najliczniej i najwygodniej rozlokowali się na ścianach Pałacu Wielkiego. Zapóźno-by było dziś zabierać się do ustalenia reputacyi tych malarzy. Bonnat jest po dawnemu suchy i ścisły, Duran po dawnemu z dekadenska ryzykowny, Benjamin Constant poważnym nabytkiem pomnożył swą klientelę. To nie mała zdobycz dla interesu, portret „starej damy“, tj. królowej Wiktoryi, który naksztalt głównego ołtarza pyszni się wśród wystawy Constant'a. W oddziale włoskim po dawnemu miejsce honorowe zajmuje Boldini, malarz o wybitnych zdolnościach, nie tylko malarskich, ale i... krawieckich.

Kto zwiedzał wystawy majowe w Paryżu, a bodaj był na jednej lub dwóch w okresie 1890—1900, nie pomijając oczywiście wystawy na Polu Marsowem i drugiej secessyi paryskiej, ten śmiało może pominąć te kilkadziesiąt sal lacińskich. Ci sami wystawcy, te same po większej części płótna. Brak tylko najstarszych, jak Puvis de Cha-

vanne, którego fresk, co rok niemal, podnosił całą wystawę Pola Marsowego.

Brak również najkrańcowszych, jak Monet lub Signac i, jak sądzę, nie najmniej interesujących pionierów malarskich.

Wystawa obecna najniekorzystniejszą jest może dla świeżych wielkości, dla tych, którzy byli wczoraj lub będą jutro wprowadzeni do Luksemburga. Warto poszukać wystaw Carrière'a, Collina, Aman-Jean'a, z których każdy ma tu sporo i ciekawych obrazów. Prawda, że np. „pocałunek macierzyński“ Carrière'a w Luksemburgu daje poznać tak samo całą duszę tego artysty, jak wszystkie inne razem wzięte płótna. Ale tu ma się w dodatku jakby historię jego pracy. To samo można powiedzieć o pełnych chorowitego wdzięku marzeniach Aman-Jeana i o eterycznych, nieco może zbyt prawidłowo-powiewnych, wizjach Collina.

Ale ktokolwiek i w jakimkolwiek celu będzie zwiedzał ten labirynt sal, niech pamięta, że w pocie czoła musi zdobywać uwagi i wrażenia swoje!

Dla Paryża i Francuzów w ogólności, którzy, bądź co bądź, dostarczą głównego kontyngensu gości wystawowych, Pałac Wielki ciekawym będzie głównie jako popis sztuki germańskiej.

Niemcy, Szwecya, Norwegia i Dania—oto prawdziwe „clou“ malarskiej wystawy dla Francuza.

Przedewszystkiem Niemcy. Malarstwo niemieckie nie bierze prawie wcale udziału w wystawach majowych.

Monachium Francuzi mniej znają, niż Berlin, ku któremu przeważnie kierują się turyści francuscy od czasu wojny, ażeby oglądać straszne smoka we własnem jego gnieździe.

Nic więc dziwnego, że gdy teraz, po raz pierwszy od lat wielu, sztuka niemiecka wystąpiła starannie w Paryżu, ogół tutejszy z wielką ciekawością podążył do jej salonów.

Wystawa niemiecka zjednała sobie powszechne uznanie i Francuzi, wyłączywszy naturalnie siebie, gotowi są uznać Niemców za zwycięzców na turnieju międzynarodowym. A jak to się często zdarza, salony niemieckie zaimponowały publiczności tutejszej prze-

dewszystkiem tem, czem Paryż sam imponował dotąd światu—dekoracją.

Sam Lenbach kierował nią podobno i trzeba przyznać, że obrazy niemieckie mają najlepiej ustosunkowane oświetlenie i prawdziwie artystyczne tło i otoczenie. Szereg poważnych sal, dekorowanych ciemną i ciężką materią, naśladowującą stare makaty i adamaszki, w jednym miejscu rodzaj przejścia z kolumnadą, dyskretny półcień wszędzie, a nigdzie jarmarczego tłoku obrazów, co, niestety, całej wystawie można zarzucić. Ta sztuka „mise en scène“ poprostu zaimponowała Francuzom. Mniej może zaimponuje wszystkim, którzy znają urządzenie Palacu Szklanego, Secessyi i Muzeum Schacka w Monachium, a w sekcyi niemieckiej zobaczą tylko poprawny „ciąg dalszy“.

W gruncie rzeczy trochę Grecyi, trochę gotyku, trochę smaku, wyrobionego na tychże Francuzach do powiązania całości, oto ów styl niemiecki. Nie trzeba także zapominać o pyszniącym się wszędzie napisie „Deutschland“.

Podobnie, jak na wystawie francuskiej uderza wprost brak Puvise de Chawanne'a, tak znów u Niemców dziwnie pusto bez Böcklina.

Gdyby choć jeden, mały obrazek, coś w rodzaju „Pasterki nad urwiskiem“; lub wariantu „miasta umarłych“, lub szkic jakiśdo „Trytonów“, nic, literalnie nic, nie dał Böcklin na wystawę.

I zdaje się, że wszystko to, co jest, jest tylko porządnie zachowującą się klasą w oczekiwaniu mającego nadejść nauczyciela. Bez wątpienia, sale są urządzone mądrze, obrazy dobrane starannie, staranniej znacznie niż u Francuzów; kultura i praca sumienna bije z tej wystawy, ale brak jej czegoś, by mogła zaimponować ostatecznie, brak geniuszu sztuki, którego nie zastąpi dziwaczny talent Stucka, ani patetyczny Uhde, ani nawet sam Lenbach, marzycielski, słodki wizjoner, pełen reminiscencyi ze starych mistrzów włoskich, których tak bardzo umiał pojąć i którymi tak bardzo się przejął w swoich portretach.

Wystawy Skandynawskie uderzają tą samą obfitością malarstwa rodzajowego, co i salon niemiecki. I tu i tam pełno scen z życia codziennego ludu, pełno tych klasycznie wyrazistych „typów“, starców brodatych, staruszek dziwnie pomarszczonych itp.

W malarstwie jednak skandynawskim rodzaj przechyla się raczej w kierunku pejzażu: śniegi i skały, lasy i dziwne morskie odbłyски, efekty nocy podbiegunowych i fiordy stanowią o charakterze tego malarstwa.

Spotyka się tu takie niespodzianki koloru i światła, takie przejścia od ciemnych do jaskrawych tonów, że trudno nieznającemu przyrody północnej zrozumieć to i ocenić należycie.

Bardzo charakterystycznie też występuje różnica w pojęciu fantastyczności między Niemcami a Skandynawią.

Niemcy, pomimo wysiłku w tym kierunku, nie mają już tej naiwności, tej dziecinady w koncepcjach fantastycznych. Są to już przeważnie malowidła przefilozofowane, literackie.

U Skandynawczyków zaś elementy. sagi i legendy wcielają się na płótnie w kształt prawie ludowych malunków. Od płócien po prostu bije folklor, bajka z wieczornicy zimowej opowiadana o północy.

Jakaś ogromna, wszechstronna i głęboka praca ducha nurtuje te kraje północne od Danii do Norwegii i wydobywa na powierzchnię życia dziwne skojarzenia rzeczywistości z urojeniem. Ta sama niezwykła mieszanina realizmu i naiwnej, jakby zasłuchanej w jakieś dziwne, fantazy, którą znajdujemy w literaturze skandynawskiej, uderza i tu. Cierpliwe, sumienne i pracowite, powszednie dni nad fiordami, drobniaczkowo zanotowane w obrazach rodzajowych, — połowy ryb, sceny z opatulonych przed śnieżycą wewnątrz w kręgu lampy, fragmenty dróg pod śnieżnym całunem i ciemne lasy igliczne stanowią tło, na którym, jakby dziw nad dziwami, jak korona zorzy północnej, tajemniczo mkną korowody widm, brodatych królów w koronach, jakichś rycerzy, jakichś czarownic.

I tu prawdziwą niespodzianką dla publiczności europejskiej jest najmłodsza latorośl tej północnej kultury — Finlandya. Obok Weren-skjolda i Thanlowa, obok Harborga i Zorna, Krogera i Christianse-na wyrasta nowe pokolenie poetów-plastyków. Z krainy jezior, z ojczyzny Runeberga po raz pierwszy wysłano w większej ilości owoc dojrzewającej, samodzielnej, a rasowo pokrewnej Skandynawom, kultury.

Te same cierpliwe dni i wnętrza sadyb północnych, ta sama ciemna zieleń choiny i dziwne światło śniegu, ta sama na tem tle powszedniem twórczość nawykłej do baśni i legendy wyobraźni. Finlandczycy zajęli bardzo publiczność obecnej wystawy! Sztuka ich nikomu nie może zaimponować rozmachem lub bogactwem, ale przykuwa charakterem, rodzimością, jak fragment północnej przyrody, przeniesionej nagle pod obce niebo. Świadomość plemienna, praca cierpliwa, kultura odrębna, samoistna i kochająca się we własnej tradycji, oto co uderza i budzi szacunek w sekeyi finlandzkiej.

Edelfelt, Halonen, Gallen — to nowe imiona, wpisujące się dziś dobrze w księgę pamięci ludzkiej. Warto o wysiłkach tego dzielnego

społeczeństwa pomówić obszerniej, co też uczynię przy pierwszej sposobności.

Niepodobna tu zachwycać się pojedynczemi utworami i wchodzić w opisy wystaw, które, mimo wspólnego dla wszystkich obrazów tytułu państwowego, są zbieraniną najróżnorodniejszych i nie z sobą wspólnego nie mających kierunków sztuki i kultury. Tak np. sprzęgnięto na wystawie Węgry z Krocacją, tak przedewszystkiem przedstawia się obfity inwentarz Austrii.

Sztuka „austriacka“ rozpada się na dwa działy.

Pierwszy, cieszący się oficjalną nazwą, to właściwie sztuka wiedeńska; słynna nad miarę „secessya“, tj. malarstwo, świadomie pozująca na jakąś ekliwą, literacką karykaturalność wrażeń, panowanie kawy, alkoholu i kinkietów w sztuce. O tem pisać nie będę, bo opinia „secessyi“ u nas zbyt ustalona, efekt zaś jej na mnie zbyt mały, żebym mógł tu znaleźć coś do powiedzenia.

Poza sztuką „wiedeńską“ Austrija nie ma i mieć nie może żadnego jednolitego kierunku. To też reszta jej wystawy należy właściwie do Czechów, Polaków, Rumunów, Słowaków, Włochów, Ormian itd., itd. Jakaż wspólność istnieć może między obrazami, których autorami są pp. Deutsch, Nemejc i Svabinsky lub Marinicz, Kasparidos i Estevle?

To też o ciekawych objawach tej sztuki „austriackiej“ pomówimy na innem miejscu, przy opisie ulicy narodów.

Z wrażeń malarskich Pałacu Wielkiego najsilniej może wrażają się w pamięć Anglia i Japonia.

Japonia po raz pierwszy zjawia się na wystawie wszechświatowej. I mimo, że jesteśmy już przygotowani do ocenienia jej artyzmu przez wystawy muzealne i przez monografię o Hokusaim i Outamazo, nie odrazu można zrozumieć, że i to jest sztuka malarska, jak każda inna. Dziwnie odbijają te skrócone i stylizowane płócienna, właściwie jedwabie i atlasy, na których błyszczą barwy, mające coś z charakteru kwiatów, tonów perłowej muszli i rybich skrzel. I otóż mimo propagandy muzeum Guimet i wystawy Binga, Europejczyk nie bardzo umie ocenić te płótna: czy to są w czambuł arcydzieła, czy one wszystkie jednakiej wartości, czy też może to tylko dalszy ciąg wachlarzy i dwusosowej „japońszczyzny“ z pod Odeonu? Bez żartów, trudno zorientować się w tej sztuce, której wysoką kulturę się czuje, ale nie zawsze rozumie, i której odcienie są może nie dla europejskiego oka, jak owe osemki i szesnastki tonów wschodnich nie dla naszego ucha. Natomiast zetknięcie się z malarstwem japońskiem ogromnie obniża wartość „oryginalnych“ pomysłów secessyonistów i deka-

dentów malarskich, którzy podobno więcej zawdzięczają Japończykom, niż sami o tem wiedzą.

Tylko że tu każdy taki Suzaki lub Yamamoto wie dobrze, co chciał wyrazić tą perlistą kaligrafią barw na jedwabiu. Wątpię, żeby tyleż samowiedzy i szczerości zawierały przewracające świat do góry nogami płótna pseudo-Japończyków z nad Sprei i z nad Dunaju.

Na zakończenie tej wędrówki zostawiłem Anglię. Na kontynencie malarstwo wielkobrytańskie należy do najmniej znanych. Raz na kilkanaście lat zdarza się gdzieś w Paryżu lub Berlinie jakaś specjalna wystawa, dająca pewne pojęcie o tej potężnej, kipiącej życiem i szlachetnej sztuce.

Tak przed kilku laty cały Paryż podziwiał wspaniałą wystawę portrecistów, na której „Ble Boy“ Gainsborougha, obrazy Reinoldsa i Hoppnera, gromadziły tłumy artystów. Podziwiano zupełny „modernizm“ tych malarzy z przed stu lat, delectowano się niesłychaną brawurą portretów, niezrównaną wytworą ściany barw i układu.

Co rok zaś na wystawie majowej jakiś jeden Herkomer, Orckardson lub Crane tryumfował nad całą salą malarzy z kontynentu.

Otóż w tym roku Anglia wystąpiła starannie, niż zwykle, i wprost bije w oczy w tych salach odrębność dróg, któremi w tym kraju chodzi kultura artystyczna. Uderza przedewszystkiem zupełna samoistność tej sztuki. Widzi się prawie dotykalnie, że ta ziemia nie rodzi szkolarstwa artystycznego. Każdy jest sobą, odpowiada za siebie. Nie jest to bynajmniej brak tradycyi w sztuce, lecz brak instynktu owczego, posłuszeństwa modzie, brak taniego efekciarstwa i klik wzajemnej adoracyi.

Malarstwo angielskie, czy to w Millaisie, czy Burn Jonesie, czy w Almie Tademie i Herkomerze, czy w Orckardsonie i Leytonie, czy wreszcie w tych wszystkich Swanach, Dicksee, Harrisach, których po raz pierwszy widzimy, uderza żywotną, pełną godności indywidualnością artysty.

„Każdy z tych wyspiarzy jest sam wyspą“—powiada Taine, mając charakter Anglików. Każdy z nich jest szczerze i odważnie samym sobą. Jeżeli odsuniemy tu na bok pewną ilość naiwnej oceanomanii, wspólnej wszystkim Brytańczykom, i rozmiłowanie się w lalkowatym nieco typie dziecka i kobiety, to pozostanie nadzwyczajnie mocna, męska, szczerza sztuka, jako wyraz najsilniejszych wrażeń życiowych, najgłębszych upodobań danego artysty. Dla tego-to obrazy Anglików uderzają wyrazem, wprost narzucającym się widzowi, ude-

rzają prostotą i szczerością efektów. Jest to jakaś jasna i otwarta sztuka, wymowna bez patosu, pełna życia, choć nie siląca się na realizm w łachmanach, i poetyczna, choć najmniej może od wszystkich literacka.

Tu koniec tej, w gruncie rzeczy nieznośnej, wędrówki w labiryncie płócien. Nieznośnej, bo wystawy malarskie, w ten sposób urządzone, nagromadzające dziesiątki tysięcy utworów, są barbarzyństwem. Płótna pod oczyma widza toczą zajadłą walkę o byt, przyczem w grę wchodzi bynajmniej nie sama wartość artystyczna, lecz dużo więcej kwestya ram, oświetlenia, wysokości, na której wiszą, sąsiedztwa innych i t. d., i t. d. Nieznośne wskazówki katalogów i przewodników, których wszakże wyrzec się niepodobna, narzucają się i pomimowoli paczą sąd czystego wrażenia.

Pamięć zawodzi, wyobraźnia się nuży, zdolność do wrażeń tępieje i, prawdziwie, trudno się zgodzić, że to ma być „uczta estetyczna“. To jest raczej wielka, barbarzyńska bachanalia, którą zapewne lepsza przyszłość wymaże z obyczajów świata cywilizowanego.

Gdy, szanowny czytelniku, będziesz przypadkiem w Pałacu Wielkim i, gnany widmem terminowego biletu „aller et retour“, zapragniesz poznać „sztukę nowożytną“ przez męczeństwo w tych salach, gdy potem, zmożony torturą estetyczną, zapragniesz wytchnienia, przyjmij ode mnie jedną wskazówkę, tylko tę jedną. Oto wróć, nie patrząc na resztę, przed ten obraz, który Cię najwięcej uderzył, stań przed nim, lub siądź, i oddaj się wrażeniu, nie dbając o wszechstronność jego. Potem, jak rycerz z bajki, uciekaj, nie obracając się za siebie, choćby Cię gonili największe płótna Roghegrosa, choćby Ci się wdzęczyły najekliwsze kobiety Bouguereau, choćby Cię strążyły wszystkie truposze Secessyi.

Uciekaj, i to jedno jedyne najsilniejsze wrażenie unoś z sobą zazdrośnie, bo to jest cały twój skarb prawdziwy, z tysiąca wybrany.

Tak, opuszczając salon, za każdym razem siadam przed obrazem Millais'a pod tytułem: „Stary ogród“; nieruchomo, jakby w wiecznym śnie, stoją tam ciemno-zielone szpalery, nieruchomo leżą zwiędłe liście na pustych drózkach i w ustroniu milczy basen fontanny. Za ogrodem kreslą się jakieś dalekie perspektywy zachodniego nieba, na którym gasną blaski dnia.

Tak gasnie zachodzące słońce nad „miastem umarłych“ Boecklina, gdzie kwitną wśród cyprysów owe cudne róże — dla nikogo.

I tyle mi w duszy zostaje z tej orgii Wielkiego Pałacu: „Stary ogród“ Millais'a i myśl o różach Boecklina.

Z cieplarnianej atmosfery malarstwa, gdzie oczy w końcu powleka jakąś kolorowa katarakta, jakby wyziew wysilonej dokoła gry barw, gry zawsze sztucznie skombinowanych efektów światła, wychodzę na świat wolniejszy, przestronniejszy, bardziej słoneczny. Oto w zieleni krzewów, skąpanej w jasnym dniu, jak okiem sięgnąć, bielegą rzeźby.

Jest to zapewne reakcja wrażeń w oku, ale ten świat marmurów po prostu pieści wzrok jakąś niesłychanie wzniosłą, szlachetną pełnością wrażeń, pogodną harmonią tonów.

Oto jest sztuka w największym swym blasku, w największej chwale, sztuka, rozkwitająca w słońcu, sztuka, nie znosząca żadnej sztuczności, żadnego fałszu—naga, wielka, harmonijna i potężna, jak dzieło stworzenia.

Kto śmie twierdzić, że najbielszy z tych posągów nie jest jednocześnie nasycony jakąś niesłychanie subtelną barwą? Marmur, gips, alabaster, — każdy z tych materiałów na swój sposób nasiąka światłem, powleka się cieniami, i w ten sposób sam sobie stwarza jakby poświaty tonów, będących przejściami od światła do barwy. Każda rzeźba, jeżeli tylko nie skłamały modelujące ją ręce, gra w oku sobie właściwym tonem barwnym, zimnym lub gorącym, prześwieconym lub ćmiącym się. To samoistne barwienie się rzeźby jest czemś nieskończenie subtelniejszym, szlachetniejszym we wrazeniu niż owo u wypuklanie się malowidła, o którym tak lubimy rozprawiać.

W olbrzymiej nawie Pałacu Wielkiego, tak wielkiej, że się prawie nie czuje ścian, ten rzeźbiony świat jest bez wątpienia najczystsza oaza sztuki na wystawie. Biel posągów, kształt ich, pieścący wzrok, i utajony w nim, jakby zatrzymany na chwilę, ruch — wypełniają olbrzymią nawę po brzegi. Tak wypełniają przestrzeń tylko akordy muzyki. I mimowoli te jasne grupy bierze się za akordy, za skamieniałą muzykę. Mimowoli powraca się pamięcią do słynnych porównań

architektury i rzeźby z muzyką, porównań. w których poeci i estetycy za pomocą rytmu i dźwięku starali się wyrazić tę niesłychaną pełność wrażenia, jaką daje rzeźba.

Dość okiem rzucić na jedną i na drugą stronę wielkiej nawy, ażeby odróżnić rzeźbę francuską od całej wszechuropejskiej reszty. Przedtem, nim się będzie miało możność wejść w szczegóły różnic, uderza po jednej stronie krzykliwość, przesada, szafunek materiałem, pozerstwo: to rzeźba węgierska, amerykańska, po części włoska; po drugiej zaś stronie wzrok wprost urzeczony upaja się harmonią, umiarem, siłą i wdziękiem: to Francya.

Po jednej stronie materiał nieustannie wylazi na jaw, przysłania sobą niejako treść dzieła, widzi się oto gipsowe kolosy i piramidy kamienia, nie zdając sobie sprawy z tego, co one wyrażają.

Po drugiej stronie z zieleni krzewów wychylają się prawie żywym ruchem postacie i grupy. Każdy symbol sam siebie tłómaczy, każdy kształt realny przemawia własnymi cechami, biorąc tylko od bronzu i marmuru to, co jest konieczne dla wrażenia.

Wielka, nałogowa logika narodu, jego silna i prosta dyalektyka tu dopiero, w tej jasnej i nagiej sztuce kryształizują się i tworzą arcydzieła. Powoli, przechodząc koło grup i posągów, które zresztą same zdają się rytmicznie mijać widza, poznajemy tajemnicę tej pełni artystycznej. Jaka tu pewność w postawieniu każdej figury, w nakreśleniu każdego ruchu. Czuć, że to naród umiarkowanej, ale wyraźnej giestykulacyi, naród, znający dokładnie wartość mimiki, ruchu, pozy. Uderza wreszcie obfitość doskonałych modelów, bez których nie mogły-by powstać te kształty klasycznie czyste, zharmonizowane, w miarę rozwinięte i wyraziste bez przesady.

W ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, we Francyi żywej powstaje i rozmnaża się Francya rzeźbiona, jakby ten naród śpieszył się właśnie wystawić sam sobie pomnik na obszarze całego kraju. Powstają fontanny w zieleni ogrodów miejskich, pełne grup i figur allegorycznych. Najabstrakcyjniejsze gałęzie nauki w świątyniach swoich wznoszą kamienne symbole. Zaludniają się place, parki i ulice posągami, i Francya ma dziś tyleż znakomitych ludzi w marmurze, co ongi miała w życiu. I jak światu bohaterskiemu przystoi, ten marmurowy lud otacza się chętnie tłumem emblematycznych figur zwierzęcych: orłów, lwów, byków i niedźwiedzi. Jest nawet specjalna roślinność w tym świecie, przedziwna vegetacya kolumn i obelisków, korony kamiennych palm i ciężkie grona marmurowego winogrodu.

Gdy cały kraj odczuwa potrzebę tej rzeźbiarskiej nadbudowy życia, gdy potrzeba ta nie jest sztucznym wytworem chwili, lecz coraz potężniej wkorzeniającą się tradycją, cóż dziwnego, że zdołano dziełami, niemal na chybił trafił wybranymi, zapłacić nawę Pałacu Wielkiego? To, co widzimy, to tylko ułamek, to resztki wspaniałej biesiady artystycznej, w której ten cały kraj bierze udział. Nawet zatłoczona po brzegi sala Luksemburga, nawet muzeum rzeźby nowoczesnej w Luwrze nie są dziś treścią, lecz tylko wspaniałym przykładem rozkwitu rzeźby francuskiej.

Od czasów Courtois, Pajou i Pugeta, od czasów Carpeaux, Cogneta, Jouffroy, od czasów Rude'a i Barry'ego. iluż nowych rzeźbiarzy uświetniło tradycję rzeźby francuskiej! Dalou, Falguière, Chapu, Barrias, wydali nowe pokolenia, istną litanię znakomitości, takich Mercié, takich Fremiet'ów, Bartholdich, takich, jak Puech, Guillaume Bartholomé, Peter, Mengue, Lefebvre i t. d., i t. d.

Paryż, zwłaszcza w chwili obecnej, to jest z tem, co zawierają place i ogrody, muzea, Pałac Wielki i wystawy specjalne rzeźbiarskie, jest prawdopodobnie jedynym Panteonem rzeźby nowoczesnej, która znowuż w XIX wieku stała się niemal wyłącznie rzeźbą francuską.

Setki nowych nazwisk, a z nimi nowych dzieł, przybywają tu nieustannie. Najbardziej ograne koncepcje, jak Joanna d'Arc, znajdują jeszcze wyraz nowy i oryginalny. Najbardziej salonowe kawałki w rodzaju „Mennetów“ i „Gawotów“ tchną artyzmem. Obok niezrównanych lwów Barry'ego, wyrastają młode lwiatka, jak ta świetna grupa „Lwów pod okiem pogromcy“ w Wielkim Pałacu, przed którą nie bez dreszczu defilują tłumy publiczności.

Obok ogromnej ilości rzeźb z wolnej ręki, jakby od niechcenia z marzeń powstałych, uderza na wystawie mnóstwo projektów dekoracyjnych: fontanny, wypuklorzeźby i płaskorzeźby frontonów, pomniki cmentarne, grupy do westibulów. Czuć, że ta sztuka ma grunt pod nogami, nie jest dodatkiem do życia, lecz jego wykwitem.

Obok rzeźby klasycznej, zasadzającej się na konwencyonalnej, ale doskonałej harmonii kształtu i spokoju, potężnie rozwija się rzeźba w ruchu, rzeźba, wkraczająca w dziedzinę malarstwa. Wyraz zastępuje harmonię, łagodnej symetrii przeciwstawia się głęboki dyssonans. Obok wykończonych i wygładzonych studyów atletycznych, kipi, jakby wyszarpana z gładów, rzeźba „puszczona“, w której szkieletowość roboty służy niejako do obnażenia gry nerwów, gdzie dawniej obnażano grę muskulatury. Rodzą się przed oczyma zdumionego wi-

dza owe prawdziwe rzeźby kolorowe bez użycia kolorów, gdzie artysta przez jakieś czarodziejstwo cięć i planowań nadaje oto temu naprzykład „Człowiekowi z epoki kamiennej“ jakieś ciemno-miedziane, brunatne tony, choć kamień nieposzlakowanie biały służy mu za materiał. Powstają specjalności, rodzaj tryumfuje w takich naprzykład cyklopowych kreacjach ludzi pracy Meuniera, w zwierzęcych grupach Valtona.

Stojąc na wystawie wśród rzeczy skończonych i wystawionych na pokaz, ma się wrażenie warsztatu olbrzymiego, pełnego ruchu krzyżowania się kierunków pracy, nowych zaczynów i wysiłków twórczych.

Nie jest-że to najwyższy tryumf sztuki, najwymowniejszy znak, że ona tu żyje potężnym, samoistnym życiem?

Nie przytaczam nazwisk artystów, nie wymieniam dzieł, specjalnie „zasługujących na uwagę“, bo właśnie ta całość jest jej najgodniejszą. Tam, gdzie sztuka żyje całą pełnią, nawet poronienia są „godne uwagi“, bo i one są jednym z momentów wielkiego dzieła narodzin.

Niepodobna mi tylko zamilczeć o „Larochejaqueleinie“ Falguiere'a. Stoi ten posąg u stóp olbrzymiego, jak wieża Babel, pomnika Wiktora Hugo, pod kopytami kolosalnych i ciężkich koni jakiegoś Amerykanina.

Jest to skromny bronz naturalnej wielkości: człowiek w spokojnej pozie i w zwyczajnym stroju z epoki 1789 roku. Ale nie znam w rzeźbie bardziej młodzieńczo wezbranej piersi i szlachetniejszych rysów. Próżno się nad nim piętrzy gipsowa góra; młody bohater wandejski przerasta ją niesłychanym skupieniem siły i dumy w postawie, szlachetności w czole, natchnienia w oczach. Dziwna rzeźba: pod ubraniem czuje się w niej młodą pierś „nie na miarę krawca, lecz Fidyasza“; jej bronz łączy płomienną siłą, jej spokój przejmuje dreszczem.

Naprzeciwko najzgiełkliwszej, najnikczemniejszej części Bazaru, ulicy Paryskiej, wznosi się wśród drzew cichy i osamotniony pawilon, w którym artysta zawarł treść całego życia gorących walk,

natchnień, upadków i pracy. Publiczność zagląda tu niechętnie, gdyż pawilon nie należy już do wystawy, i trzeba płacić za wejście oddzielnie.

Można tu przyjść i oddać się kontemplacji dzieł. Nieliczni zwiedzający snują się tu i owdzie wśród rzeźb, na które leje się z poza drzew łagodne zielonawe światło.

Jest to pawilon Rodin'a. Od czasów słynnego zatargu o pomnik Balzac'a, Rodin stał się znanym szerokiej publiczności. Przedtem znali go tylko angielscy turyści i amatorowie sztuki, nadewszystko zaś literaci, malarze, muzycy, rzeźbiarze, dla których Rodin stał się od razu zwiastunem nowych dróg. Oktawiusz Mirbeau, Klaudyusz Monnet, Bernard, Carrière i wielu innych do niedawna jeszcze przedstawicielei młodej Francji artystycznej i literackiej, stworzyli jakby orszak honorowy dokoła rzeźbiarza.

Publiczność podziwiała i wzruszała ramionami, krytycy klócili się, zarządy muzeów na wszelki wypadek nabywały „okazy“ pracy Rodin'a. on zaś tymczasem pracował bez wytchnienia, ulegając potężnej potrzebie zrealizowania tłumy wizyi, wśród których żył więcej, niż wśród rzeczywistości.

W pawilonie Rodin'a bardzo mało dzieł zupełnie skończonych, a i te, które są, z wyjątkiem może jednego z „Pocalunków“, pełnego niesłychanej słodyczy, są jakby poszarpane, nawpół tylko wychylające się z rodzimego glazu. Na chropowatych blokach, z potwornych muszli kamiennych, porąbanych nerwową ręką, wynurzają się te dziwnie delikatne profile, głowy myślące, oczy zadumane, twarze w ekstazie.

Surowy materiał służy ciągle jako „repoussoir“ dla wykończonych części roboty, lub, jak powiadają tłumacze rzeźbiarza przed publicznością, artysta w ten sposób zaznacza związek wielkiej formy życia z jego pierwotną materią.

Dokoła szkice i szkice. Oto z bloku wystaje kurczowo zaciśnięta ręka, której „wyraz“ uderzył artystę. Oto dziesięć, dwadzieścia razy powtórzone pewne wygięcie czy wylamanie nóg. Ale nadewszystko, gdzie okiem rzucić, powtarza się jeden najbardziej dla Rodin'a charakterystyczny motyw: dwa ciała splecione w uścisku. Grupy te, niezliczone odmiany „Pocalunku“, raczej w znaczeniu francuskiem tego wyrazu, są jakby punktem wyjścia tej twórczości. Trzeba zacząć

od takiej grupy dwojga, ażeby potem zrozumieć wyrazy pojedynczych ciał i twarzy.

Ekstazy, przechodzące w konwulsye, drgawki i spazmy, niedołączne zwiśnięcia, odpychanie się pełne niemocy i bezprzytomne uściski, oto treść tej rzeźby.

Jeżeli chodzi o wysilek nerwów, to myślę, że nikt go więcej w kamień niewłożył od Rodin'a.

Nie napróżno dziełem całego życia tego rzeźbiarza ma być monumentalna „Brama piekielna”, której szkic zdumiewa iście potępien-
czym wyrazem.

Jakie są tu pokurczone twarze, jakie wyschłe piersi, starcze ramiona, jakie nadewszystko męczące, piekielne uściski.

Rzecz prosta, że sztuka, dochodząca do takiego wprost bolesnego napięcia nerwów, graniczy co chwila z upadkiem. Któż określi, co w takim np. posągu Balzaca jest wyrazem siły, a co wyrazem niemocy artysty? Dość, że całość tej tytanicznej roboty „szukania” wzrasza i przejmując szacunkiem.

Jak daleko tu jesteśmy od pulchnych kształtów amorkowatej nagości, jaki pojedynk woli z głazem!

Rodin mało dziś wypuszcza z pracowni. Woli żyć wśród swoich utworów, wracając po sto razy do zaczętej i porzuconej roboty, czekając cierpliwie lata na jedno dotknięcie dłota, przez które martwa bryła nagle się ożywia. Właściwie zaś on nie czeka na natchnienie, lecz w wiecznym niepokoju ducha szuka go zapamiętałe, cały oddany swym wizjom i wyrazom.

Było-by rzeczą śmieszoną mówić tu o technice tej pracy. Cóż nas to zresztą może obchodzić, skoro w tych dziwnie szarpanych blokach i zlepionych czujemy wyraźnie ogrom utrudzenia, znój i ból, i niepokój duszy, przejmujące pokrewny własnym naszym wysileniom, choć tyle od nich potężniejszą.

W tym olbrzymim warsztacie sztuki nowoczesnej, który w rzeźbie francuskiej ma swój wyraz może najsilniejszy, Rodin przychodzi jakby jakiś zawrotnie wysoki ton; jak ów ton na cymbałach Jankła, ton struny dźwięczącej pod dotknięciem skrzydła muchy.

To rwie się tak i jęczy dusza człowieka w pajęczych sidlach współczesności.

I choćbyśmy przed tem przeszli koło tysiąca rzeczy martwych i skończonych, choćbyśmy obejrzeni wieżę Babel pomysłów i usiło-

wań, choćby nas zatrzymały po drodze najśłodsze uludy sztuki, choćby nam wskazano najbuźniejsze jej kwiaty już rozkwitłe; to jednak ów ton zwierchni, boleśnie wysoki, ów jęk duszy, rozdzierającej się do głębi dla porodu własnego świata, będzie zawsze najwymowniejszym świadectwem, że sztuka taka żyje i żyć będzie dla całej ludzkości.

ANTONI POTOCKI.

Garczyński i Krasiński.

Szkie literacki.

Pojęcie historii literatury uległo w ostatnich dziesiątkach lat naszego stulecia zupełnej zmianie. Z szeregu luźnych życiorysów, szczegółów bibliograficznych, pochwał lub nagan, będących wyrazem sympatii lub antypatii autora, przekształciła się ona w naukę historyczną, sprawdzającą starannie każdy fakt i łączącą wszystkie w jeden nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków.

Z ładnej zabawki warstw wykształconych powstała w ten sposób umiejętność, która, obok historii politycznej, jest najważniejszym źródłem dokładnego poznania ducha narodu, a o miedzę tylko graniczy z niedoścignionym dotychczas ideałem — historią cywilizacji.

Co jednak ma być owym kitem, łączącym poszczególne fakta literackie w jedną całość? oto pytanie niezmiernie ważne, wprost zasadnicze, które wywołało gorące, a do dziś trwające spory. Same poglądy estetyczne nie mogą wystarczyć do zrozumienia stanowiska ja-

kiegoś autora w historii piśmiennictwa, bo nie łączą go z poprzedniemi, a tem samem nie wprowadzają pierwiastku historycznego, o który głównie chodzi; tak samo nie wystarcza psychologia, tłómacząca rozwój umysłowy tylko jednego autora; zaczęto więc szukać sposobu innego, skuteczniejszego, i wskazano ich wiele. Taine wskazał związek, zachodzący między autorem a rasą, z której on pochodzi, i otoczeniem, w którym urabiają się jego pojęcia; Lombroso, wychodząc z zasady, że zarówno geniusz, jak i obłąkanie mogą być dziedziczne, i że są tylko przeciwnemi biegunami anormalnego rozwoju umysłowego, radził szukać objawów podobnych „zboczeń“ w jednym lub drugim kierunku u przodków każdej genialnej jednostki; Hettner i Brandes wreszcie prowadzili porównawcze badania wzajemnych wpływów najrozmaitszych literatur na siebie, wychodząc z założenia, że dla myśli ludzkiej nie istnieją żadne granice polityczne, i że zarówno poszczególne pomysły literackie, jak i całe grupy pojęć odbywają formalne wędrówki od kraju do kraju, od narodu do narodu, tworząc prądy, które wywierają stanowczy wpływ na dany kierunek, w jakim się dana literatura rozwija.

Poglądy te znalazły zwolenników i w naszym społeczeństwie. Obok szkoły dawnej, która stare pojęcia przybrała tylko w nowe ramki i z zupełną swobodą wyjaśnia dalej fantazyę poetów za pomocą własnych fantazyj, powstała nowa, która za pomocą metody porównawczej dąży do oparcia badań historyczno-literackich na podstawie ściśle naukowej. Ponieważ pracę swą zaczęto „ab ovo“, od wykazywania wpływów obcych na naszych poetów, więc zyskano ironiczny przydomek „szpiegów literackich“, którzy wyłącznie dla zaspokojenia własnej ciekawości kontrolują na każdym kroku oryginalność największych nawet geniuszów, a nie potrafią zdobyć się na wniknięcie w ich ducha i przejęcie się ich ideałami. „Wy zamieniacie rolę krytyka na rolę prokuratora,—wołano z oburzeniem na zwolenników studyów porównawczych—każdego pisarza oskarżacie o kradzież literacką i sądzicie, że po wygłoszeniu takiego aktu oskarżenia zadanie wasze jest już skończone. Taka metoda to poniżenie tego, co naród otacza największą czcią, to poniewieranie ideałów narodowych.“

Zarzuty takie są zupełnie bezpodstawne. Przedewszystkiem bowiem prawdziwie wielcy poeci nie tylko nie tracą nic na podobnych studyach, lecz owszem zyskują, bo one pokazują, jak drobne nieraz i nie znaczące pomysły obce rozrastają się pod tchnieniem ich geniuszu w olbrzymie i znakomite pod względem artystycznym dzieła, wtedy zaś niezaprzeczone ich wielkość staje nam jaśniej i wyraźniej przed oczyma.

Nie da się wprawdzie zaprzeczyć, że wartość pisarzy drugorzędnych może się pod wpływem takich badań znacznie obniżyć, że może wyjść na jaw taki brak oryginalności, iż postawi ich zaledwie w rzędzie naśladowców; ale i w takim wypadku niema powodu ani do lez żalu, ani do okrzyków oburzenia, bo naprzód „amicus Plato sed magis amica veritas“, powtóre zaś poeci tacy, tracąc to, na co nie zasłużyli, zyskują wielkie znaczenie jako reprezentanci pewnych kierunków i prądów literackich, które rozpowszechnili pomiędzy swoim społeczeństwem: rola, na której opiera się wybitne znaczenie takiego np. Naruszewicza wobec pseudoklasycyzmu francuskiego, lub Brodzińskiego wobec romantyzmu.

Zyskują zatem na owem wykazywaniu wzajemnych wpływów wszyscy, a nie traci nikt; zyskują poeci, którzy wówczas nie są już odosobnionemi zjawiskami, ale ogniwami wielkiego łańcucha rozwoju duchowego ludzkości; zyskuje społeczeństwo, poznając głębiej i dokładniej tych, których wielbi, jako swych koryfuszów; zyskuje wreszcie najwięcej historia literatury, zrywając z czezi frazesami, otrzymując za podstawę niezbite pewniki i nabierając cech nauki rzeczywiście „historycznej“, której badania wyłącznie estetyczne nadać jej mogą.

Jeżeli jednak szukanie związków pomiędzy poetami naszymi i obcymi ma doniosłe znaczenie, to nie mniejsze musimy przyznać wykazywaniu łączności pomiędzy poszczególnymi pisarzami, należącymi wyłącznie do naszego narodu. Może ono bowiem dostarczyć przykładów i dowodów nieśmiertelności myśli ludzkiej, która, nie tracąc ze spuścizny wieków nic godnego pamięci, dąży ustawicznie naprzód, obejmując coraz szersze widnokregi i przybierając coraz doskonalsze kształty artystyczne.

W każdej literaturze i każdej jej epoce można znaleźć taką nitkę, łączącą sprzeczne na pozór zjawiska w jedną całość, nadającą im wszystkim jakąś wspólną cechę, dotyczącą albo treści, albo formy, albo jednego i drugiego. Ale łączność ta nie zawsze jest jednakową; często staje się tak nikłą, tak nieuchwytną, iż zdaje się, że jej niema zupełnie, i dopiero mozolnie trzeba jej szukać, niekiedy zaś występuje z taką wyrazistością, że niepodobna jej nie spostrzedz.

Ten właśnie ostatni wypadek zachodzi przy rozważaniu działalności dwóch poetów, których w tym pobieżnym szkicu chciałbym zestawić: Garczyńskiego i Krasieńskiego. Już sam fakt, że są to jedyni nasi poeci doby romantycznej, opracowujący pomysły filozoficzne, łączy ich z sobą bardzo silnie, bliższe zaś wglądnięcie w ich działalność,

ich życie i ich właściwości wykazuje tyle cech wspólnych, że trudno-
by było znaleźć u nas drugą taką parę poetów. Te podobieństwa ich
i różnice będą się starał poniżej wykazać.

I.

Obaj osierocieli wczesnie. Garczyński skarży się w jednym ze
swych pierwszych wierszyków, że „niemowlęcami jeszcze dłońmi“ że-
gnać musiał umierającego ojca, aby wkrótce potem „ronić łzy nad mo-
gилą matki“; generałowa Krasińska zaś odumarła Zygmunta, kiedy
liczył zaledwie lat dziesięć. Ale sieroctwo to, jak nie było zupełnie
równem, tak też nie mogło jednakowo wpłynąć na ich usposobienie
i losy. Krasińskiemu pozostał ojciec, kochający go aż do przesady,
widzący w nim całą nadzieję i przyszłą chlubę rodu; więc pieaszczony
i otoczony dowodami troskliwości ojca, Zygmunt mógł zapomnieć, iż
nie widzi już,

Jak się matki oko świeci

I nad dzieckiem swem anieli.

Dla Garczyńskiego było to niemożliwem. Wzięty na wychowa-
nie przez ciotkę, zajmującą się nim szczerze wprawdzie i serdecznie,
ale niemogącą przecież zastąpić mu rodziców, bo tych nikt zastąpić
nie potrafi, pozbawiony towarzystwa siostry, z którą spędził pierwsze
lata swego życia i do której był bardzo przywiązany, otoczony ludźmi
życzliwymi wprawdzie, ale, bądź co bądź, prawie obcymi, musiał od-
czuwać swoje sieroctwo tem dotkliwiej, że wrodzona duma kazała mu
wszystko, co dla niego czyniono, uważać za niezasłużoną niczem ła-
skę. Kiedy się czyta jego dziecięce listy do ciotki, hr. Skórzewskiej,
pełne szczerych, ale upokarzających zapewnień o „niewygasłej
wdzięczności“ z powodu łada drobnostki, kiedy się widzi, jak, będąc
na pensyi w Warszawie, troskliwie starał się zmniejszyć swoje wy-
datki, byleby nie być ciężarem opiekunom, jak w tym celu za ofiaro-
wane sobie na lakocie pieniądze kupował przybory szkolne; to odczu-
wa się wtedy choć w części, jakie cierpienia moralne przechodził ten

chłopiec z powodu swego sieroctwa. Wycisnęło ono na nim nie jedno piętno. Owa nieśmiałość, z powodu której Odyniec porównywa go do „panienki“, owa niechęć do bogactw a pragnienie jedynie skromnego, ale własnego domeczku i własnej rodziny, wyrażające się w jego poezyach często, a najwyraźniej w „Królu i giermku“ — wszystko to ma tu właśnie swoje źródło. Dodajmy jeszcze, że Garczyński nie miał właściwego powodu do pojmwania swego położenia w ten sposób, że w tem wszystkim widoczna jest taka sama przesada, jaką później odznaczał się niejednokrotnie w innego rodzaju sprawach Krasiński. Bo wszakże i Stefan pochodził z rodziny nie magnackiej wprawdzie, ale zapisanej dobrze na kartach historii, chlubiącej się niejednem dygnitarstwem i majątną, a chociaż majątek ten po rozbiorach zeszcupłał znacznie, wystarczał w każdym razie na przyzwoite wychowanie nieletniego spadkobiercy; jeżeli zaś hr. Skórzewscy czynili dla niego więcej, niż wymagały obowiązki opiekunów, to nie dawali mu nigdy powodu do uważania tego za upokarzającą łaskę. Ale wrażliwy wychowaniec zapatrywał się na tę sprawę inaczej, podniecając jeszcze w sobie tę tkwiącą już w jego organizmie chorobliwą skłonność do egzaltacyi, która go nie opuszczała przez całe życie.

Rzecz naturalna, że wychowywany prawdziwie po magnacku Krasiński nie marzył nawet o podobnem położeniu i podobnych uczuciach, bo pieszczony jednak już z góry uważał się za przyszłego pana tych wszystkich dóbr, które go otaczały i z których korzystał. I dla tego zapewne nie rozumiał przez całe życie położenia ludzi ubogich, którym Garczyński pod niejednym względem zazdrościł losu, dla tego odczuwał zawsze przedewszystkiem nieszczęścia moralne, których sam doświadczał, choć wyjątkowo umiał znaleźć słowa współczucia i dla tych, którym chleba zabrakło.

Z tej różnicy położenia, jaka zachodziła w ich życiu od najmłodszych już lat, wypływała także różnica w typach i charakterach, pozostawionych w dziełach przez obu poetów. Sprobujmy sobie wyobrazić sposób życia przyszłego autora „Irydiona“ w czasie wakacyi w Opinogórze. Naturalnie, pilnowano go na każdym kroku, strzeżono starannie zarówno od nieszczęśliwego wypadku, jak od „gminnego“ towarzystwa, a kazano przebywać wśród gości i przyjaciół, albo służby pałacowej. To też we wszystkich dziełach Krasińskiego nie znajdziemy ani jednego typu ludowego, on je czerpie albo ze sfer wyższych, utytułowanych, albo też z pomiędzy służby pałacowej. Mamy więc w „Nieboskiej Komedyi“ świetne typy hr. Henryka i jego otoczenia, starego służącego, Jakóba. będącego zapewne fotografią z rzeczywistości, w wyrażeniach dziewczek dworskich i klubu lokai czujemy bezpośrednią obserwacyę autora; ale gromada chłopów, występujących

w tym utworze, nie odznacza się ani jednym rysem charakterystycznym, a pochodzący z ludu Pankracy jest zupełnie pozbawiony wszelkich cech realnych, w ogólnych zaś swych zarysach ma raczej coś arystokratycznego, niż ludowego.

Z Garczyńskim było inaczej.

Jemu nikt zapewne nie przeszkadzał wejść pomiędzy lud, przypatrzeć się jego życiu, jego zwyczajom, podpatrywać—jak Waclaw—jego zabawy, stojąc przed oknem wiejskiej karczmy, słuchać śpiewek, baśni i dowcipów. Dla tego też mamy w „Waclawa dziejach“ sceny ludowe tak wiernie i z takim realizmem przedstawione, jakich, z wyjątkiem jednego chyba Szymonowicza, nikt przedtem z naszych poetów nie nakreślił. Jest w nich i pochwycenie pewnych rysów charakterystycznych, czy to w sposobie postępowania, czy wyrażania się, i przywary tego ludu, i jego wielkie zalety, głęboka wiara i przywiązanie do ojczystej ziemi—wogóle tyle prawdy, że Garczyński mógł ją zdobyć tylko długą i dokładną obserwacją. Nadto zaś znajdujemy zarówno w „Waclawie“, jak i w innych jego utworach, mnóstwo porównań, lub zwrotów, zaczerpniętych z podań ludowych, niezawodnie także z pierwszej ręki.

Wobec tak wybitnej różnicy, jaka zachodziła w stanowisku społecznem i położeniu majątkowem obu przyszlých poetów, wychowanie ich nie mogło być zupełnie jednakowem: generał Krasiński zbyt wysilał się na zadziwienie wszystkich wiedzą i zdolnościami swego jedynaka, żeby o wiele nie przewyższyć średniej, zwykłej drogi zdobywania sobie wiedzy, jaką szedł Garczyński. Ciekawem jest to, że jednakże obaj przechodzą na uniwersytet z tegoż samego zakładu naukowego: ze znakomitego liceum warszawskiego. Garczyński wstępuje do niego w roku 1819 po czteroletniej nauce w Trzemesznie i Bydgoszczy, że zaś w Warszawie nie miał bliższych krewnych, którzy-by objęli nad nim opiekę, więc oddano go na pensję Francuza, niejakiego p. Cochet, mającego sławę zacnego człowieka i dobrego pedagoga. Pensya ta mieściła się w pałacu Krasińskich — tak więc przypadek zrządził, że ci dwaj młodzieńcy, którzy po kilkunastu latach mieli stworzyć zupełnie odrębny odłam naszej poezyi, spędzali znaczną część swej młodości pod jednym dachem, nie wiedząc zapewne nawet o swoim istnieniu. Tylko kiedy w roku 1822 zmarła generałowa Krasińska, Garczyński zanotowuje w swoim dzienniczku obok objawów powszechnego żalu, jaki wypadek ten wywołał w Warszawie, także własne swe współczucie dla osieroczonego przez nią synka... ¹⁾.

¹⁾ Z rękopisu, będącego własnością hr. Leona Skórzewskiego.

Choć jednak przebywali w jednym domu, atmosfera, która ich otaczała, była zupełnie inna. Krasiński od najmłodszych już lat pozostawał w najściślejszym związku z wszystkimi prądami literackimi nie tylko Warszawy, ale całej Polski, bo dom generała był dla tych prądów tem, czem są soczewki dla promieni słonecznych: zbierał je naprzód, jakby w ognisku, a potem rozpraszał znowu po całym kraju. Zygmunt nie był wprawdzie osobiście obecnym przy owych starciach klasyków z romantykami, ale miał o nich natychmiastowe wiadomości od Gaszyńskiego i Odyńca, a zatem od gorących zwolenników nowego kierunku, którzy nie bardzo zapewne potrzebowali się wysilać, aby w nim wzbudzić entuzjastyczny zapal dla swej sprawy, i zyskać nowego stronnika. To też teoretyczne uwagi o cechach ścierających się z sobą prądów literackich dochodzą do uszu Krasińskiego prędzej, niż nierozwinięty jeszcze należyte umysł mógł je zrozumieć, a młodociana jego fantazyza kształci się na Walter - Skocie, Byronie, Mickiewiczu — słowem, na najznakomitszych mistrzach romantyzmu.

Z Garczyńskim było zupełnie inaczej, a nawet wprost przeciwnie. Wychowany przez wielbiciela klasycyzmu francuskiego, kształcił swój „gust“ na Racinie i Corneille'u, i w tym samym będąc wieku, w którym Krasiński był już autorem „Grobu rodziny Reichsthalów“, czynił staranne wyciągi ze „Sztuki rymotwórczej“ Boileau i uczył się na pamięć ustępów z „Fedry“. Rygor, panujący w pensyonacie Cocheta, był tak wielki, że uniemożliwiał wychowañcom wszelkie zetknięcia się ze światem poza obrębem szkoły i wszelką lekturę, oprócz wyznaczonej przez kierownika; dosyć powiedzieć, że pensyę wolno było opuszczać tylko w towarzystwie guwernera. Wtedy więc, kiedy cała Warszawa zajęta była walką klasyków i romantyków, kiedy poezye Mickiewicza zajmowały umysły wszystkich, zarówno przeciwników, uważających je za „paskudztwo“, jak i wielbicieli, których szeregi z dniem każdym wzrastały, kiedy znający wybornie ten cały ruch Krasiński myślał o łacińskim przekładzie „Świtezianki“; wtedy, starszy od niego prawie o sześć lat. Garczyński, żył, jakby na jakiejś wyspie, oddzielonej od otaczającego go społeczeństwa całym morzem zasad i przesądów.

Rzecz jasna, że tak różne wychowanie musiało też odrębne zupełnie piętno wycisnąć na ich umysłach. Wychowany na romantykach, Krasiński, rozwija przedewszystkiem swą fantazyę, która już w pierwszych jego utworach dochodzi do ogromnej wybujałości; Garczyński zaś, karmiony przez swego wychowawcę aż do przesytu poezyą francuską, która największy nacisk kładła na „zdrowy rozsądek“, wyrabia też w sobie prawie wyłącznie ten rozsądek, a zaniedbana w mło-

dości fantazyja chroma potem już przez całe jego, niestety, zbyt krótkie życie. Charakterystycznym przykładem tego może być pierwsze zetknięcie się obu naszych poetów z dziełami Byrona. Podczas, kiedy autor „Wacława“ szuka w nim przedewszystkiem myśli rozsądnych, i wypisując z jego utworów ¹⁾ najbardziej pociągające go ustępy, sięga najczęściej do... przypisków, bo wykształcony na poetyce Boileau umysł jego nie mógł odczuć piękna tej poezyi, tak bardzo różniącej się od całej pseudoklasykcyjnej literatury; Krasiński, będąc w tym samym roku życia, nie tylko rozumie poetę angielskiego wybornie, ale nadto osnūwa na zaczerpniętych z niego motywach własne fantastyczne obrazy ²⁾. Tak zatem oba te pierwiastki, z których przedewszystkiem składa się talent poetycki, wyobraźnia i refleksya, wytworzyły się u Garczyńskiego i u Krasińskiego w zupełnie odwrotnym porządku: u Garczyńskiego naprzód refleksya, występująca w młodocianych jego utworach prawie bez współdziałania fantazyi, z którą łączy się dopiero w okresie dojrzałości, górując jednakże nad nią zawsze; u Krasińskiego wyobraźnia, nienjęta początkowo nawet w karby rozsądku, refleksya zaś, wywołana osobistemi przejściami moralnemi poety, zjawia się dopiero później, w okresie genewskim, i nie odrazu zajmuje stanowisko naczelne. Gdyby się chciało przyjąć z góry, że ta władza umysłowa, której rozwój był wcześniejszy i bardziej pielęgnowany, będzie następnie miała wyższość nad innemi, to zasada taka w zastosowaniu do naszych poetów nie wiele odbiegała-by od prawdy.

W młodocianych poezjach Garczyńskiego nie znajdziemy, prawie bez wyjątku, żadnych podpadających pod zmysły obrazów, lecz albo pojęcia abstrakcyjne, albo odbicie i analizę własnych przejść duchowych; kiedy zaś później zjawiają się obrazy fantastyczne, to są one wytworzone nie dla wywołania w czytelniku wrażenia estetycznego, ale dla zadokumentowania pewnej prawdy filozoficznej, dla której mają być rodzajem ilustracyi. Tak jest zarówno w „Wacława dziejach“, jak w „Wizyi“ i „Nabożeństwie tegoczesnem“. Tam usunięcie jakiegokolwiek obrazu było-by równocześnie uszczupleniem, lub przeistoczeniem myśli, którą poeta chciał wyrazić, tak dalece jest w nich fantazyja podporządkowana rozmysłowi autora. O Krasińskim nie można-by tego powiedzieć; z wyjątkiem jednego „Snu“, w którym każdy prawie ustęp jest wyrozumowanym i stanowi konieczną, organiczną część całości, można-by w każdym utworze jego, nie wyłączają-

1) Dzienniczek z roku 1822 i 1823 w rękopisie.

2) M. Reiter: „Przyczynki do genezy kilku utworów Z. Krasińskiego“. „Ateneum“, 1899, wrzesień, str. 497.

jąc ani „Irydiona“, ani nawet „Nieboskiej“, opuścić pewną ilość ustępów, a myśl ogólna nie ucierpiała-by na tem wcale. Co więcej jeszcze, odrzucimy epilog „Irydiona“, a pozostanie nam najzwyczajniejszy dramat historyczny, bez cienia myśli filozoficznej, czy społecznej tendencji; tak samo mogli-byśmy z dwóch pierwszych części „Nieboskiej“, po opuszczeniu jednego tylko ustępu, otrzymać zupełną, zamkniętą w sobie całość, która stanowiła-by znowu dramacik familijny, a nikt nie domyślał-by się nawet, że hr. Henryk nie skończył jeszcze swojej roli, że ją zaledwie rozpoczął. W „Wacławie“ zaś było-by podobne wykrawywanie odrębnych całości niepodobieństwem, po prostu dla tego, że ich tam niema, każdy bowiem szczegół jest w tym utworze dla poety tylko przesłanką, z której ma wynikać końcowy wniosek. Ten ścisły związek poszczególnych ustępów jest tu tak dalece zachowany, że, chociaż istniejące części „Wacława“ sam Garczyński uważał za całość tego rodzaju, jaką stanowi pierwsza część „Fausta“, to jednak niektóre szczegóły są dla nas niezrozumiałe, czujemy bowiem, że są to tylko premissy, a nie widzimy wniosku, który miał się znajdować dopiero w dalszych częściach utworu.

Przytoczone tu fakta dadzą się, jak już wyżej nadmienilem, wytłómaczyć tem, że Krasiński, mimo całej głębokości swych utworów, wkładał w nie więcej fantazyi, niż refleksyi, że dbał więcej o artystyczne wykończenie, niż o ścisłość rozumowania, że, jednym słowem, artysta przewyższał w nim filozofa, podczas gdy Garczyński tworzył tylko takie obrazy, które mu były niezbędne dla przeprowadzenia dowodu, kładł zaś główny nacisk nie na piękno utworu, ale na logiczność rozumowania. Nie potrzebuję już zapewne dowodzić, że ta przewaga fantazyi nad refleksją u jednego poety i odwrotny ich stosunek u drugiego są przedewszystkiem wynikiem odmiennych zupełnie warunków, wśród których się wychowali.

Do tych faktów, które już w latach młodych przyczyniły się do wyrobienia pojęć naszych poetów, dodać należy jeszcze jeden, natury czysto filozoficznej: oto każdy z nich odziedziczył po matce chorobę, która go przez całe życie trawi. Jaki wpływ wywarło to na usposobienie i pojęcia Krasińskiego, nad tem nie potrzeba się długo rozwodzić, bo jest to rzecz powszechnie znana; wszakże niema prawie listu autora „Nieboskiej“, w którym-by nie znajdowały się narzekania na zły stan zdrowia i mnóstwo całych czarnych myśli, jakie mu się z tego powodu nasuwały. Prawda, że ta choroba była często materialem, z którego Krasiński lubił „układać dramat“, ale to świadczy właśnie tem dosadniej o wielkim wpływie słabego organizmu na usposobienie poety, bo kto wie, czy właśnie w tej słabości nie leży przyczyna owej skłonności do „układania dramatów“ z lada przykrości, jaka go spo-

tką. Garczyński mniej wspomina o stanie swego zdrowia w listach do rodziny, lub przyjaciół, ale prawdopodobnie myślał o niem równie często. Ta straszna choroba piersiowa, która go miała przedwcześnie wtrącić do grobu, wybija na nim już w dzieciństwie swe piętno, czyni go niezdolnym do figłów, zamysłonym i każe przy lada sposobności drzeć o życie ¹⁾. Później w tej ciągłej walce o zdrowie wyradza się rezygnacya: pierwszy swój wiersz poświęca Garczyński... śmierci, i zapowiada w nim, że się jej nie boi, że raczej szczęśliwym będzie, jeśli „wywrze na nim swe kary“. Nakoniec wytwarza się w nim gorączkowe pragnienie dokonania czegoś wielkiego, coby pozostało pamiątką jego krótkiego życia; więc odmawia sobie wszelkich przyjemności, wszelkich rozrywek, a cały czas poświęca pisaniu dzieła, w którym chciał przekazać narodowi wyniki swych długoletnich rozmyślań, a którego napisanie uważał za swój obowiązek ²⁾.

Prawdopodobnie można-by bardzo wiele dziwaactw, jakie widzimy w charakterach obu naszych poetów-filozofów, wytłómaczyć wpływem ustawicznej prawie walki z chorobą, tylko że u Garczyńskiego były one bardziej chyba uzasadnione, bo i stan zdrowia musiał być gorszym, kiedy go tak wcześnie zmusił do szukania odpoczynku i spokoju na cichym cmentarzu Aweniońskim.

II.

Studia filozoficzne odbywał Garczyński w Berlinie, gdzie słuchał wykładów słynnego wówczas na cały świat, Hegla. Pracował z zapalem, a praca ta nie musiała być bezowocną, kiedy Mickiewicz twierdzi, że „w całym Berlinie nie było nikogo, prócz niego, coby obejmował całość idei Heglowskiej“, i że ją nawet wielu profesorom niemieckim tłómaczył ³⁾, i kiedy W. Cybulski nazywa go „jedną z najgenialniejszych głów, jakie się wówczas na uniwersytecie znajdowały“ ⁴⁾. Garczyński jednak nie tylko znał i rozumiał system genialnego

¹⁾ Stwierdzają to listy p. Cocheta do hr. Skórzewskiej, rękopis w Bibliotece Lubostrońskiej.

²⁾ Por. Odyńce: „Wspomnienia z przeszłości“, str. 386 i następne.

³⁾ Literatura słowiańska, II, 338.

⁴⁾ Odczyty o poezji polskiej, II, 55.

panteisty niemieckiego, ale, jak wszyscy prawie współcześni jego wielbiciele, przejął się nim do tego stopnia, i starał się zastosować w życiu, że, według słów Odyńca, jeszcze w roku 1830 w Rzymie „kręcił się jak derwisz w meczecie w formułkach“ jego filozofii ¹⁾.

Ale ślepym i bezwzględny wielbiciele Hegla nie był Garczyński nawet w czasie studyów w Berlinie, już wtedy bowiem dostrzegł w jego systemie pewne braki i wady, i starał się uzupełnić je, a usunąć drugie samodzielnie, własnym rozumowaniem. Nie było w tem nic dziwnego: filozofia Hegla była w znacznej części apoteozą brutalnej siły, jej tylko przyznawała władzę nad światem, usprawiedliwiając to zdaniem. „że wszystko, co istnieje, jest rozumem“. Wierząc w taki system, musiał-by Garczyński stracić równocześnie wiarę w to, co od dzieciństwa nie ulegało dla niego żadnej wątpliwości, co czcił, jak najwyższy ideał. Powstaje więc wówczas w umyśle jego między rozumem a uczuciem walka, z której wreszcie to ostatnie wychodzi zwycięsko; nie brakło w niej rozpaczliwych zwątpień, a do ostatecznego jej wyniku przyczynił się znacznie Mickiewicz, z którym w czasie pobytu w Rzymie poeta nasz toczył na ten temat dysputy, przechodzące niekiedy w zacięte spory naukowe.

Ta walka serca z rozumem doprowadza Garczyńskiego w roku 1826 i 1827 do wytworzenia pojęć, które w sześć lat później miały stanowić podstawę messyanizmu.

Myśli te, zawarte w słabym pod względem formy „Śpiewie“, świadczą chlubnie a niezbitcie o tem, że Garczyński nawet wtedy, kiedy wchłaniał w siebie zasady filozofii Hegla, nie pozbył się swobody i samodzielności myśli. że potrafił zdobyć się na pogląd zupełnie oryginalny, który, w kilka lat później wypowiedziany przez kogo innego, a przyjęty z zapalem przez wszystkich, miał na długo zapanować wszechwładnie w naszej poezji. Później, w czasie pisania „Wacława dziejów“, widnokąg rozszerza się i pogłębia; wtedy już nie chwilo-we wyswobodzenie się z pod jarzma panteistycznej filozofii, ale zupełne jej odrzucenie i potępienie widnieje na kartach jego poematu. Wacław, bohater jego głównego dzieła, to sam poeta, więc przypatrzmy się, jak on zapatruje się na filozofię niemiecką:

Nauki ci świat, Boga, na części rozłożą,
I poznasz błąd swój dawny; kiedy niebo gromy

¹⁾ Listy z podróży, III, 282.

Ręką rzuca olbrzymią, błysk świeci po błysku,
 To chmury trą się z sobą, a co chmury, niebo,
 Fizyce wytłómaczą, wiedzą astronomy.
 Kochasz się, patrz, czy miłość przyniesie co w zysku,
 Gdy nie—miłość jest głupstwem, bo pieniąż potrzebą.
 Masz przyjaciół, ojczyznę? jeśli kraj cię wzywa,
 Rozpatrz się, jakie cele, korzyści i skutki;
 Czy co zaczną, dokończą, czy pora szczęśliwa,
 Czy po nagłej rozkoszy nie nadejdą smutki;
 Inaczej, niechaj inni krew swą marnie leją,
 Tobie lepszej przyszłości cieszyć się nadzieją!

Takie-to nauki „splamiły niewinność“ Wacława i „serce mu wykradły“; takich słuchał też Garczyński w Berlinie. Ale chociaż:

Dawniej myśli, powagą ksiąg trzymane w ryzie,
 Nie wznosiły rokoszu, chociaż jarzmo czuły,

później przejrzał poeta, jak jego bohater, i

...nauk zdarł formę i w myśli osadzie
 Nie sentencyi, nie zabaw, prawdę znaleźć żąda,
 Żąda, lecz nie dostrzeże, chyba ciciń za ciało,
 Kreski planów za gmachu węgielne kamienie;
 Osobno mur do niego—dach, ściany, sklepienie,
 A gmach?—na powiązanie gmachu rąk nie stało...

Ten pesymizm w zapatrywaniach na naukę spowodowały pytania, na które książki najbardziej uczone nie mogły mu dać odpowiedzi. Próżno pytał się nieraz:

„Gdzież jest bóstwo, które ja w piersiach moich żywię?
 „Przyjaźni zapal—miłość—wolności zapalę,

„I myśl, co czleka tworzy i różni od zwierza?
„Gdzie jest Bóg, twórca świata?“

Na to nie mogły mu bezduszne książki odpowiedzieć, bo brakło w nich tego właśnie, w czem jedynie można znaleźć wyjaśnienie wiary.

One, jak taktyk stary, gdy wojnę zaczyna,
Zwycięstwo liczbę kreśli—ustawi żołnierza,
Ale mu wiara wyższa nie staje jedyna.

Wskutek tego filozofowie

Wiedzą, ile jest zwierząt, skąd która roślina,
Tylko czem zwierzę, kwiatek, czem człowiek—nie doszli.

Więc Wacław błąka się w labiryncie tych rozumowań, a wywodzi go z niego okoliczność na pozór zwykła i nie nie znacząca: słyszy pieśni, śpiewane przez gromadkę wieśniaków, a widok ich rozrzewnienia, ich wiara gorąca, zastępująca im wszelkie rozumowania, wskazują mu drogę i odkrywają przed nim świat inny, zupełnie nowy. Teraz zaczyna pojmować, że kluczem do rozwiązania zagadki bytu jest wiara, że Bóg, którego naprózno szukał w rozprawach filozoficznych, objawił mu się i wskazał drogę do siebie:

...On w żywocie braci

Mieszka, jak w swym kościele, jak w arce przymierza.
Niebo rodzinne—oto świątyni jego wieża;
Ziemia rodzinna—oto budowa kościoła;
A w piersiach jest tron jego—w piersiach głos anioła!

Więc jak przedtem naukom, tak teraz tej „budowie kościoła“ Bożego, ziemi rodzinnej, pragnie poświęcić się cały, „życie swój położyć w ofierze, przyszły i terazniejszy“, chce

...jak lud na puszczy

Łaknąć, byle ojczyźnie tem dopomódz można.

W zapale, jaki pieśń ta w nim wznieciła, widzi Wacław rozwiązanie zagadki; później wszakże przekonywa się, że chociaż „zapał tworzy cud“, sam jednak cudu odrodzenia nie potrafi dokonać, że musi go wspierać ów wzgardzony przez niego poprzednio rozum, i odtąd całe swe siły zużywa na to, aby te dwa sprzeczne uczucia pogodzić z sobą i stworzyć z nich potęgę, której nie już nie potrafi się oprzeć.

Jak dokonał tego dzieła i czy mu się wogóle udało doprowadzić je do skutku—nie wiemy, „Wacław“ bowiem pozostał tylko urywkiem, być może, że z powodu przedwczesnej śmierci swego twórcy, a nie z powodu wątpliwości co do sposobu rozwiązania poruszanej w temacie kwestyi.

Hegel wpłynął jednak także i na pojęcia drugiego naszego poety. Po napisaniu „Irydiona“ zaczął Krasiński rozczytywać się w dziełach filozoficznych, przedewszystkiem niemieckich, i wtedy właśnie wycisnął na nim panteizm Hegla swe piętno. A wpływ to musiał być silny, kiedy zachwiał wiarę poety, która w Rzymie odrodziła się była i wzmogła. i kiedy wtrącił go w taki chaos zwątpień, niepewności, walk najrozmaitszych zasad i poglądów. że zdawało się, iż z tego chaosu wyostać się niepodobna. Jakoż rzeczywiście długo nie mógł Krasiński znaleźć drogi wyjścia z niego, długo tkwiły w jego umyśle najrozmaitsze znaki zapytania przy najważniejszych kwestiach życiowych, odbierając mu spokój wewnętrzny i pogrążając go w moralnej niemocy. Wyborną ilustracją tego stanu i dowodem jego istnienia jest list poety do Gaszyńskiego, pisany w roku 1836 ¹⁾.

¹⁾ Listy, t. I, str. 72 i n.

„Przekleństwo tym Niemcom, Panteistom i filozofom—skarży się Krasiński—przyjacielowi. Oni chcą, by materya i duch jedno były; by zewnątrz świata, by za naturą nie już nie było; by organizm świata był Bogiem żyjącym na ciągłej przemianie, na ustawicznym umieraniu cząstek swoich. Przekłęci, przekłęci, oni mnie pozbawili na czas długi uczucia piękności! A jeżeli to prawdą, żeśmy blaźnami dni kilku, a potem prochem, gazem, infuzoryami, idącemi się zrosnąć w jakieś blaźństwo organiczne? a jeśli prawdą, że świat tylko nieśmiertelny, a wszystka cząstka jego jest śmiertelna, odmienna, bez wiecznej indywidualności? jeżeli Bóg to otchłań tylko przemian bez końca, to wieczność śmierci i urodzin, to łańcuch nieskończony o przyskających ogniwach, to ocean, w którym każda fala wspina się, by kształt dostać i opada natychmiast, bez kształtu? ah! powiedz mi, gdzie piękność, gdzie poezya? Bo poezyi niema bez nieśmiertelności duszy; bo poezya, to losy naszych w przeszłości i przyszłości, -w porównaniu z naszym stanem dzisiejszym, bo poezya moja i każdego to to, że był kiedyś gdzieś, ale ten sam, on, on zawsze, czy na ziemi, czy na jakimś komicie, czy w raju, czy w piekle, czy w czyśćcu, czy w polach Elizejskich, czy na Wallhalli, byle-by to on był, on! Bez tego już mi i promienie słońca niemile. Ah! przekłete Niemcy filozofy!“

Ze słów tych przebija się wyraźnie rozpaczliwy stan duszy Krasińskiego. On, który niedawno najzawilsze kwestye społeczne rozwiązywał za pomocą wiary, który kazał Pankracemu ginąć na widok krzyża Chrystusowego, a Irydiona tym samym krzyżem leczył ze zwątpień rozpaczy, który niedawno zapewniał przyjaciela, że „berła i korony przeminają, ale sprawiedliwość Boża nie przemienie“,—teraz nie wierzy już, czy nie śmie wierzyć, w nieśmiertelność duszy i pyta się w niepewności, czy Bóg nie jest tylko „otchłanią przemian“ lub „wiecznością śmierci i urodzin“. Bo to jedno: „a jeżeli to prawdą...“ wskazuje, że Krasiński omotał swe myśli w panteizm tak dokładnie, że ich teraz, pomimo chęci, nie umiał rozwikłać.

W zapatrywaniach tych widać mieszaninę pojęć Hegla i Spinozy; i ten ostatni bowiem, a może on przedewszystkiem, przyczynił się do wywołania rozstroju umysłowego poety. W kilka miesięcy po przytoczonym powyżej w urywku liście tak wyraża się o nim Krasiński:

„Panteizm Spinozy i ateizm to jedno. Świat w myśli żyda, który się w końcu powiesił z rozpaczy, jest ogromną otchłanią życia i śmierci, czyli przerobów życia, ale bez poczucia się własnego;“ a przedstawivszy to wszystko, co mu się w tym poglądzie wydaje najważniejszym, kończy w ten sposób: „Tak, panteizm jest to roz-

pacz wyrozumowana, panteizm zatrul mi wiele wiar, i dlatego proszę cię, nie ufaj jemu; czekaj lepiej w niepewności zgonu, niż żebyś miał uwierzyć w tak okropną i suchą pewność.“¹⁾

Jeżeli Krasiński, który tak bardzo lubił zawsze dawać rozmaite rady i przestrogi swemu przyjacielowi, nie mógł znaleźć dla niego lepszej, niż „oczekiwanie w niepewności zgonu“, to stąd wniosek jasny, że i dla siebie samego nie znalazł innego lekarstwa na trapiący go rozstrój duchowy.

Ten stan, w który go wtrąciły „przeklęte Niemce, filozofy“, trwał długo, bo całe lata i pozostawił po sobie ślady w „Trzech Myślach Ligenzy“. Już w „Synu Cieniów“ są widoczne jakieś niejasne pojęcia panteistyczne, jakby echo rozmyślań nad Spinozą, natomiast w „Legendzie“ występuje bardzo wyraźnie wpływ filozofii Hegla. Naturalnie nie można go odnosić do pomysłu poetycznego, bo ten wzięty jest skądinąd, ale w samym zakończeniu, które, oprócz myśli o odrodzeniu się Kościoła katolickiego, zawiera drugą jeszcze, wyrażającą jakby konieczność upadku całego narodu, na to, aby na jego gruzach powstała inna, lepsza epoka dla całej ludzkości. Otóż ci ludzie, przynięceni zapadającym się sklepieniem Kościoła św. Piotra, do ostatniej chwili dzielni, podziwiani przez inne narody, ale popychani do zguby jakąś koniecznością, jakimś nieublaganym fatalizmem dziejowym—to obraz, który, według wszelkiego prawdopodobieństwa, powstał w umyśle Krasińskiego pod wpływem Hegla. On bowiem był twórcą poglądu, że każdy naród spełnia powierzona sobie misję dziejową tylko przez jakiś czas, że po spełnieniu jej musi zginąć a rolę swą powierzyć drugiemu narodowi, przy którym jest siła, a zatem i prawo; tak wyobrażał sobie filozof niemiecki znaczenie poszczególnych państw i rozwój cywilizacyjny całej ludzkości, trudno zaś zaprzeczyć, że pojęcia te dadzą się odszukać w „Legendzie“.

Tak więc jeszcze w r. 1840 stał Krasiński prawie na tym samym punkcie zapatrywań filozoficznych, od którego Garczyński rozpoczął. Prawda, że był to tylko okres przejściowy, poprzedzony „Nieboską“ i „Irydionem“, a nie pozostawiający już ani śladu w „Przedświcie“; trzeba jednak pamiętać, że ani „Nieboska“ ani „Irydion“ nie były w ścisłym tego słowa znaczeniu utworami filozoficznymi, lecz raczej społecznymi, że w tamtych podawał tylko lekarstwa na pewne choroby społeczne lub raczej na zjawiska, które za takie uważał, w „Myślach“ zaś dopiero zaczyna się zastanawiać nad zagadkami bytu już to jednego narodu, już to całej ludzkości. Drugą fazę tej ewolucji

1) Listy, t. I, str. 82 i n.

umysłowej stanowi „Przedświt“, i odtąd Krasiński nie zmienia swych zapatrywań i pozostaje im wiernym, czy w t. zw. „Niedokończonym poemacie“ czy w „Dniu dzisiejszym“, czy w jakichkolwiek innych utworach. I tak np. w „Dniu dzisiejszym“ wypiera się jedna z nakreślonych tam postaci swych dawniejszych zapatrywań, jako fałszywych, bo natchnionych tylko rozumem, bez współdziałania serca, zapatrywania zaś te są tylko wiernym streszczeniem systemu Hegla. Ustęp to bardzo długi, więc przytoczę z niego tylko kilka urywków.

...Nicość czeka mnie—po zgonie!
 Każdy człowiek się z kolei
 Znów roztapia w wszechidei,
 Jak kropelka w morza łonie...
 Takie, bracia, wam odkrycia,
 Ja od pruskich niosę włości;
 Wiecznej myśli brak jest życia,
 Nam żyjącym brak wieczności.
 Poprzysięgam, choć się zżyma
 Serce wasze—niema, niema
 Boga ni nieśmiertelności...
 Oto prawda rzeczywiata,
 Tak jakem Heglista! ¹⁾

Przełom w swych zapatrywaniach, uwolnienie się od dręczącej go zmory panteizmu, zawdzięcza Krasiński Cieszkowskiemu, głównie zaś jego rozprawie „Prolegomena zur Historiosophie,“ która stała się alfą i omegą filozoficznych poglądów twórcy „Przedświtu“. Pod tym względem musimy Garczyńskiemu przyznać o wiele więcej samodzielności. I on pozostaje początkowo pod wpływem Hegla, i on w młodzieńczych swych pieśniach wyraża swą rozpaczliwą niemoc wobec tych poglądów, za które Krasiński przeklinał filozofię niemiecką; ale dźwiga się z tej niemocy o wiele rychlej i, co ważniejsza, o własnych tylko siłach.

¹⁾ Pisma, Kraków, 1890, tom II, str. 363—65.

Roztrząsanie całokształtu pojęć filozoficznych obu poetów zawiodło-by nas za daleko; kwestya to tak obszerna, że wychodzi daleko bardzo poza ramy, zakreślone temu szkicowi. Niektóre szczegóły z niej rozważymy później, tu zaś trzeba jeszcze wspomnieć o jednym wybitnym rysie, wspólnym obu poetom naszym, filozofom: wielkiej powadze, wysokim nastroju ich utworów. Oni obaj zdają się nie wiedzieć o tem, że poeta może być czasem wesolym, że, jak powiada Asnyk, „swawolą same Muzy i Apollo“; każdy z nich. jak Wallenrod Mickiewiczowski,

Wszystkie uderza struny po kolei,
Prócz jednej struny, prócz struny wesela.

Zarówno Garczyński, jak i Krasiński, nie znają prawie innych tematów, jak stan terażniejszy i przyszły społeczeństwa swego lub całej ludzkości, a własne ich losy obchodzą ich tylko o tyle, o ile mogą być nauką dla drugich. Fakt ten podnoszono niejednokrotnie jako charakterystyczną cechę, właściwą jedynie Krasińskiemu w przeciwieństwie do Mickiewicza, Słowackiego, a nawet do wszystkich poetów świata. Wobec tego trzeba z tem większym naciskiem zaznaczyć, że właściwość tę w wyższym jeszcze stopniu mają utwory Garczyńskiego, że spraw osobistych jest w nich w trójnasób jeszcze mniej, niż u Krasińskiego, a zawsze występuje w nich na plan pierwszy sprawa społeczeństwa. „Wacław“, „Wizya“, „Nabożeństwo tegoczesne“, „Sonety“ łączą się z naszym życiem narodowym o wiele ściślej, niż „Nieboska“ lub „Irydion“, pomiędzy drobnemi zaś wierszami znajdujemy zaledwie kilka, które-by pod tym względem mogły stanowić wyjątek.

Przy tem niezwykle podobieństwie motywów jest jednak wybitna różnica w sposobie ich opracowania. Krasiński, pomimo pewnych nierówności i niedoskonałości formy, był jednak artystą w całym słowa tego znaczeniu; Garczyński nie był nim w tym stopniu prawie nigdy, a kiedy był, to prawie mimowolnie. bo nie dbał o formę, tak, jakby należało. Sam o tem powiada w jednym z ostatnich swych wierszyków:

Nie miękkie rymy skandowanych wierszy,
Z których pospółstwo laur z czasem upłata...
Wabią mi ducha.

Ale chociaż z tego zaniedbania wynika niejednokrotnie pewna chropowatość utworów i styl często ciężki, nie brak jednak także dodatnich jej skutków i większej niż u Krasińskiego jasności i pewnego realizmu w kreśleniu postaci i obrazów. Autorowi „Irydiona“ względy artystyczne nie pozwoliły na jasne wyrażenie myśli, więc wyrażał ją zwykle w formie alegorycznej, często bardzo ciemnej; jego zdaniem, celem poezji jest: „podnieść ramię i wskazać ludziom, a niech oni rozbierają, ile promieni w tej gwiazdzie i jak szybko światło jej bieży do ziemi“, więc też nic dziwnego, że ta poezja jego staje się niekiedy lamigłówką. Garczyński nie hołdował takiej zasadzie, więc też i lamigłówek niema u niego prawie wcale. To „prawie“ jest wynikiem innej właściwości Garczyńskiego: niezmiennej jędrności i zwięzłości wyrażania się.

Krasiński osnuwał całe obszerne poematy na jednej tezie, w celu wyrażenia jednej myśli zasadniczej; Garczyński w niewielkim wierszyku pomieścił ich nieraz tyle, że wystarczyło-by tego materiału na dziesięć utworów alegorycznych, a w samym „Wacławie“ są setki zdań, o których można-by pisać rozprawy.

Ponieważ poezye Garczyńskiego wyprzedziły ukazanie się pierwszego poważniejszego utworu Krasińskiego o dwa lata, więc można-by słusznie postawić pytanie: czy oprócz ogólnego podobieństwa istnieje jeszcze jaka nić, która-by tych dwóch poetów łączyła z sobą, czy też stoją oni w literaturze naszej odrębnie, jak dwa głazy narzutowe odrębnej formacji? Na to pytanie postaram się odpowiedzieć nieco dokładniej.

III.

W wydanych dotychczas listach Krasińskiego znajduje się tylko jedna wzmianka o Garczyńskim. Donosząc Gaszyńskiemu o zawarciu znajomości ze Słowackim, i określając pobieżnie jego talent poetycki, dodaje autor „Nieboskiej Komedyi“ w końcu: „Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza“¹⁾.

¹⁾ Listy, I, str. 80.

Ta drobna wzmianka jest dla nas bardzo cenną. Przedewszystkiem dowodzi ona niezbicie, że Krasiński znał poezye Garczyńskiego, i że nawet zajmował się tem, co o nich mówili inni; powtóre zaś można z niej, mimo jej lakoniczności, wysnuć pewne wnioski o tem, co sam Krasiński sądził o autorze „Wacława“. Na pozór wydaje się sąd ten bardzo niekorzystnym, w istocie jednak tak nie jest. Trzeba bowiem pamiętać, jak wysoko cenil Krasiński Słowackiego, że stawiał go obok Mickiewicza, a nawet w wielu względach (fantazya, język) przyznawał mu wyższość nad nim, a wtedy ta „trzecia część ducha“ autora „Kordyana“, jaką przyznaje Garczyńskiemu, nie może uchodzić za lekceważenie. I my przyznajemy dzisiaj, że Mickiewicz, stawiając Garczyńskiego na czele naszych poetów, przesadził bardzo, więc i owo wyrażenie o „podchwaleniu pod obłoki“ jest zupełnie słuszne, i także niema w niem ani złośliwości, ani zbytniej nagany. Owszem, samo zestawienie Garczyńskiego ze Słowackim, którego równocześnie sam wynosi pod niebiosa, jest dowodem, że Krasiński utwory Garczyńskiego cenil bardzo wysoko, bo wszakże nigdy po nadto nie zestawiał autora „Balladyny“ z nikiem innym, jak tylko z Mickiewiczem. Jedna rzecz jest jednak w tem zdaniu ciekawą i zagadkową; oto Mickiewicz „podchwalił Garczyńskiego w obłoki“ dopiero w drugim kursie wykładów o literaturach słowiańskich, przedtem zaś wydrukował o nim w roku 1833 tylko suchy życiorys, bez żadnych uwag krytycznych. Co zatem miał na myśli Krasiński, pisząc przytoczone powyżej słowa, bo pisał je jeszcze w maju roku 1830? Jedno tylko przypuszczenie może tę zagadkę wyjaśnić, a mianowicie, że Krasiński znał z opowiadań opinię Mickiewicza o Garczyńskim, wypowiedzianą przy jakiejś sposobności w gronie znajomych.

Bądź co bądź, faktem jest, że autor „Nieboskiej“ znał poezye Garczyńskiego, i że ich nie lekcewał, a to pozwala nam zastanowić się nad pytaniem, czy one nietylko w pamięci, ale i w dziełach jego nie pozostawiły jakich śladów.

Jednym z najciekawszych utworów Garczyńskiego jest niewielka „scena fantastyczna“ pod tytułem: „Wizya“. Młody poeta siedzi późną nocą w swoim pokoju i rozmyśla nad tem, jak ma w swem dziele nakreślić postać szatana. Kiedy wysila się na wyszukanie jak najwstrętniejszych cech zewnętrznych, zjawia się przed nim czarownica, ofiarowując mu swą pomoc. Oto ona przywabi mu szatana za pomocą swych zaklęć, pokaże mu go w prawdziwej postaci, bo to wszystko, co dotychczas o nim sądził, jest tylko złudzeniem.

Wyższym on tworem Boga, niż i inni ludzie. Więc za sprawą czarownicy zjawiają się przed zdziwionym poetą najrozmaitsze obrazy. Pierwszy to

. mędrak zwyczajny,
Może jaki profesor, albo radca tajny;

siedzi on nad Biblią i tak rozumuje:

Trzech jest w jednym? Czyste duby,
Słowo ciałem? Co za myśli!
Kto mi w koło kwadrat wkryśli,
Kiedy łatwo mieć z rachuby,
Że co prosto, to nie krzywo?
Ha? Z tą Biblią nieszczęśliwą!...
Stara wszystkim męczy głowy,
Gubi ich Testament nowy.

Po zniknięciu tego niedowiarka zjawia się ojciec, który dla majątku zmusza swą córkę do zaślubienia człowieka, którego ona nienawidzi, a wyrzeczenia się ukochanego biedaka; następnie zaś sztab wojskowy, odbywający naradę. Ludziom tym, podobnie jak owemu mędrkowi, brak wiary w Opatrzność, więc chociaż wojna nie jest jeszcze wcale przegrana, przestraszeni przewagą liczebną, postanawiają się poddać. O nich mówi czarownica, że:

Wzgardzili myślą ofiary,
I dla tego zrinąć muszą.

bo czegoż spodziewać się po ludziach, którzy zaprzysięgli sobie:

Kubkiem morze w dołek zlewać,
Myślą nędzną mierzyć bóstwo...

Pokazawszy jeszcze pocie demagogów, którzy dla własnej korzyści oszukują nieszczęśliwych współbraci, zatruwając w nich wiarę,

wywołuje czarownica szatana w takiej postaci, w jakiej zawsze dotychczas zjawiał się na świecie i w jakiej zawsze pozostanie. Ujrzawszy go, woła poeta: „To człowiek“, a czarownica dodaje: „Bez serca“!

Aby to zrozumieć, przypomnijmy sobie, że Garczyński rozróżnia w człowieku dwie władze umysłowe: rozum i serce, człowiekiem więc bez serca jest ten, kto powoduje się wyłącznie rozumem, i takiego nazywa poeta szatanem. To samo pojęcie znajdujemy także w „Wacława dziejach“.

Tak wyrozumowanego króla piekiel przejął od Garczyńskiego Krasiński i żywcem umieścił w „Dniu dzisiejszym“. Umierający, który ciągle oczekuje anioła, zwiastuna dobrej wieści, widzi nagle przy swem łożu postać jakąś:

. Patrzcie! — do człowieka
Całkiem podobny! Czyż to twarz anioła?
Nie — to mój szatan, który na mnie woła.

A wtedy ten „siwy kusiciel dusz wielu“ tak sam się określa:

Ja jestem rozum — ja jestem konieczność,
Nie czas mi bratem, ale siostrą wieczność;
A choć mnie ludzie przewalają szatanem,
Mój duch świat stworzył — i ja ziemi panem.

Nie trudno poznać, że ten szatan, będący tylko uosobieniem rozumu, jest wprost przejęty z poezji Garczyńskiego, że to ów „człowiek bez serca“, przedstawiony przez czarownicę w „Wizyi“, jako typowy mocarz państwa piekielnego.

Poza pewnymi wspólnymi poglądami, jest jeszcze wielkie podobieństwo motywów i dążeń, łączące Krasińskiego z Garczyńskim bardzo ściśle. I tak znajdziemy w „Zdrajcy“ tę samą myśl przewodnią, a raczej tę samą tendencję, którą występuje w „Pokusie“; w pierwszym obrazie, który Nieznajomy wywołuje w fantazji Wacława, w tej młodej dziewczynie, co to przymuszona przez ojca do małżeństwa z magnatem a zerwania z ukochanym:

Umarła, gdy ślub brała,
 Nazbyt, nazbyt kochała.

ale która poddaje się przecież woli rodzicielskiej z pokorą i jeszcze na łożu śmierci mówi:

ojeze, wszak ja żona?
 Chcę być, będę, tyś kazał...

jest pewne podobieństwo do „Nocy letniej“.

Tak samo można-by znaleźć wiele wspólnych rysów w drobniejszych utworach obu poetów, nadewszystko jednak ciekawym i ważnym jest fakt, że w „Wizyi“ znajdujemy jakby krótki program trzeciej i czwartej części „Nieboskiej Komedyi“. Obraz to drobny, myśl jego nierozwinięta należycie, naszkicowana tylko, ale to myśl ta sama, którą Krasiński rozwinie później w „Nieboskiej“ i w „Śnie“. Rzecz naturalna, iż z tego faktu nie można wysnuwać wniosków, zbyt daleko idących, i że nie można podejrzewać oryginalności Krasińskiego. Związek, jaki pomiędzy tymi poetami zachodzi, polega raczej na pewnem podobieństwie organizacyi umysłowej, która kazała im zwracać uwagę na te same objawy życia społecznego, i na wspólności poglądu etycznego, według którego je oceniali. W każdym razie zacieśnia to bardziej jeszcze węzeł, łączący tych jedynych naszych poetów - filozofów.

TADEUSZ PINI.

NOWE POSZUKIWANIA

nad intelligencyą pszczół i mrówek.

Czytelnicy nasi przypominają sobie, być może, artykuł, wydrukowany w r. z. p. t. „Teorya machin odruchowych.“

W pracy tej starałem się między innemi przedstawić treść nowej teoryi z zakresu zoopsychologii, wygłoszonej przez bardzo zasłużonego, młodego filozofa, prof. Bethego, według której najciekawsze i najdziwniejsze czynności mrówek i pszczół, jak budowa gniazd, pieczolowitość względem potomstwa, wspólne gromadzenie pokarmu, wyprawy wojenne, wędrówki wspólne, hodowla, wychowanie różnych obcych owadów itd., słowem czynności, uważane za objawy wysokiej bardzo intelligencyi, mają być tylko fizyologicznemi odruchami (refleksami) nie będącemi wynikiem żadnych zgoła czynności psychicznych.

Mrówki i pszczoły mają być, według tej teoryi, machinami, odbywającemi całkiem bezwzględnie pewne czynności, pozornie z rozważą i z zastanowieniem wykonywane; różne bodźce świata zewnętrznego

nego, działając na ustrój tych owadów, mają w nich wywoływać na drodze czysto odruchowej rozmaite reakcje, które nam się wydają, jako rezultat czynności psychicznych. Ten kierunek pozostaje w związku z teorią t. zw. tropizmów, we współczesnej filozofii porównawczej. Loeb, Bethe i liczni inni badacze przyjmują, że większa część ruchów zwierzęcych, zwłaszcza ruchów w pewnym kierunku określonym, a więc mających uchodzić za celowe, ze świadomością wykonywane, odbywa się bezwiednie, mechanicznie, pod wpływem pewnych bodźców.

Tak na przykład znane były oddawna fakta, że pewne owady, skorupiaki lub robaki dążą stale do miejsc oświetlonych, inne natomiast do zacienionych; zarówno też co do zwierząt kregowych, np. jaszczurek, żab, traszek, pewnych ryb, wiadome były fakta podobne. Dotychczas tłumaczyli to przyrodnicy w ten sposób, iż zwierzęta odbierają przyjemne wrażenia, gdy pada na nie światło, lub, że doznają czuć przykrych, gdy są oświetlone, a stąd chętniej wybierają miejsca oświetlone lub zacienione i posuwają się w tym lub owym kierunku. Dziś tłumaczy to większość fizjologów t. zw. „heliotropizmem“, dodatnim lub ujemnym, mechanicznie zmuszającym zwierzęta do zwracania się ku światłu lub ku miejscom ciemnym. Zwierzę dodatnio heliotropne dąży ku światłu bezwiednie, podobnie, jak roślina, odznaczająca się dodatnim heliotropizmem, wygina się ku światłu. Tak samo znów „haerotropizm“ ma zmuszać zwierzęta mechanicznie do ruchu w kierunku pewnych bodźców chemicznych, „hydrotropizm“, w kierunku źródła wilgoci, „stereotropizm“ do szukania kryjówki pod lub obok jakiegoś ciała stałego. Ta fizjologia „tropizmów“ jest bardzo interesująca, ale niewątpliwie grzeszy jednostronnością. O ile dotyczy ona ustrojów bardzo prostych, może nas w pewnym stopniu zadowolnić, jakkolwiek i to nie objaśnia wcale danych zjawisk, lecz je raczej tylko konstatuje; ale gdy przechodzimy do organizmów, obdarzonych wysoko ukształtowanym systemem nerwowym, coraz mniej nas ona zadawalnia, bo wreszcie i niektóre dążenia ustroju ludzkiego ku pewnym warunkom otoczenia należało-by podejrzeć pod strzechulec owych zagadkowych, a nie nie tłumaczących „tropizmów.“

W roku zeszłym ogłosił prof. J. Loeb z Chicago interesujące dzieło p. t. „Emlitung in die vergleichende Gehirnphysiologie und vergleichende Psychologie, mit besonderer Berücksichtigung der wirberlosen Tiere“, gdzie szeroko rozwija między innymi mechaniczną teorię instynktu, według której większość instynktów zwierzęcych ma być wynikiem „tropizmów.“ Tak np. wiadomo, że gąsienice prządki *Porthesia chrysoorthea* zimują w gnieździe na drzewach lub krzakach, wykluwszy się z jaj w jesieni. Na wiosnę czolgają się one po

gałęziach w kierunku ku górze i zaczynają tu zjadać liście, które przede wszystkim występują z pąków na wierzchołkach gałęzi. Instykt gąsienic wędrowania ku górze po obudzeniu się ze snu zimowego ma naturalnie wielkie znaczenie dla zachowania ich życia, w przeciwnym bowiem razie ginęły-by z głodu. Otóż Loeb twierdzi, że to wędrowanie gąsienic odbywa się jako mechaniczna reakcja heliotropijna. Każdy promień światła, padający na te zwierzęta, może być rozłożony na element poziomy i pionowy; elementy poziome znoszą się wzajemnie, a zachowują się tylko pionowe. „Zwierzęta muszą zatem wskutek dodatniego heliotropizmu posuwać się ku górze, dopóki nie osiągną wierzchołka gałęzi. Tutaj światło je zatrzymuje.“ Ażeby jednak wytłumaczyć, dla czego gąsienice nie siedzą wiecznie na wierzchołkach gałęzi, lecz, skoro im tam pokarmu zabraknie, zlażą znowu na dół i poszukują nowego miejsca żywienia się, Loeb przyjmuje, że gąsienice „tylko dopóty są dodatnio heliotropne, dopóki są głodne. Gdy się nasyciły, tracą swój heliotropizm dodatni.“

Krytykując ten w wysokim stopniu naciągany pogląd Loeba, Wasmann¹⁾ robi słuszną uwagę, że wobec tej pięknej teorii heliotropnej na pierwszym lepszym drzewie liczne gąsienice poginęły-by z głodu, bo cóż-by naprzykład uczyniły, gdyby były głodne, a gdyby po nad nimi znajdująca się część gałęzi była już zupełnie objedzona z liści przez inne gąsienice? Na nic-by im się nie przydało iść ku górze, a nie mogły-by, jako głodne i dodatnio heliotropne, zawrócić ku dołowi i tam jadła poszukać!

Zdaniem naszym, teoria Bethego powstała również pod wpływem owego kierunku fizyologicznego. Jak roślina musi zwrócić się ku światłu dzięki heliotropizmowi, tak i mrówka musi walczyć z innym gatunkiem pod wpływem pewnych bodźców, naprzykład węchowych, które odruchowo wywołują u niej czynności wojownicze.

Rośliny i zwierzęta działają jak maszyny, na których, jak na klawiszach, grają różne bodźce zewnętrzne, wywołując rozmaite poruszenia, związane zawsze z korzyścią fizyologiczną tych istot, ale odbywające się bezwiednie, bez wszelkiego udziału pierwiastku psychicznego z ich strony. Takie odmawianie wielu zwierzętom, np. mrówkom, osom i pszczołom, wszelkich zgola czynności psychicznych, jak zdolności odczuwania przyjemności lub przykrości, kierowania się

¹⁾ E. Wasmann „Einige Bemerk. zur vergl. Psychologie u. Sinnesphysiologie“ („Biol. Centr.“, 1900.

pamięcią i t. p., a uważanie je wprost za maszyny odruchowe, jest stanowczo wielką krańcowością.

Pogląd Bethego wywołał też burzę pośród wielu zoologów i lubowników przyrody, oddających się badaniu owadów gromadnie żyjących. Pogląd ten obebrał, zdaniem niektórych pisarzy, wiele uroku tym badaniom, rozczarował wielu naturalistów, którzy z podziwem śledzili zmyślność tych drobnych organizmów i znajdowali nieprzebrane źródło wewnętrznego zadowolenia w spostrzeganiu owych przedziwnych działań, walk i dążeń wśród małego światka owadziego, w którego życiu znajdujemy tak wiele analogii do naszego, ludzkiego życia.

To też przeciwko pogładowi Bethego, jakoby mrówki i pszczoły nie posiadały zdolności zbierania doświadczeń i modyfikowania stosownie do tego swych czynności, jakoby wszystkie odbierane przez nie podniety „znajdowały się poniżej progu zmysłowego odczuwania i spostrzegania“ i jakoby „zwierzęta te czysto mechanicznie wykonywały działania, częstokroć wydające się rozumnymi“, przeciwko temu zapatrywaniu fizyologa niemieckiego wystąpiono z licznymi zarzutami. Najciekawsze i najznakomitsze z nich wygłoszone zostały przez znakomitego znawcę życia pszczół, H. von Butten-Reepena ¹⁾, z Jeny, oraz również znakomitego znawcę życia i obyczajów mrówek, i wielce zasłużonego na tem polu o. jezuitę, Eryka Wasmanna ²⁾.

Nader interesujące są spostrzeżenia v. Butten-Reepena, odnoszące się do zdolności porozumiewania się wzajemnego pszczół.

Według Bethego, nie ulega jakoby wątpliwości, że pszczoły poznają się wzajemnie lub rozpoznają osobniki z obcych gniazd tylko przez węch (chemiczną substancją, na ich organ powonienia odruchowo działającą) i że nie może być mowy o żadnych szczególnych znakach porozumiewania się, np. pewnych tonach lub określonych po-

¹⁾ H. v. Butten-Reepen „Sind die Bienen Reflex-Maschinen? Experimentelle Beiträge zur Biologie der Honigbiene. *Biolog. Centralblatt.* № 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 10. 1900.

²⁾ Erich Wasmann: „Vergleichende Studien über das Seeleben der Ameisen und der höheren Thiere“ Freiburg i B. 1900.

Tenze. „Die psychischen Fähigkeiten der Ameisen“. Stuttgart, r. 1899.

Tenze. „Instinct und Intelligenz im Thierreich“. Freiburg i. B. 1899 r.

ruszeniach rożków. Wszelako następujące spostrzeżenia Butten-Reepena zdają się sprzeciwiać temu pogładowi.

Tak naprzykład jeżeli osierocimy (tj. usuniemy królowę) wielki rój pszczoł, złożony z 50—60,000 lub więcej osobników, wówczas brak królowej bywa spostrzegany już po upływie godziny lub po kilku godzinach, gdy pszczoły zajęte są zbieraniem nektaru. Daje się wówczas zauważyć w ulu dziwna zmiana, a wkrótce następuje t. zw. „niepokój sierocy“. Spokojny, zwykły, brzęczący dźwięk roju przechodzi w głębszy, jakby zawodzący. Osobniki otaczające otwór wylotowy, oraz skuteczniejszą wentylację, stają się niespokojne i jednocześnie wylatują z ula zaniepokojone pszczoły, szukają jakby czegoś w obawie na przedniej ścianie mieszkania; niektóre bardzo szybko wylatują i powracają; słowem cały charakter roju zmienia się i nie tylko pod względem zewnętrznego zachowania się osobników, ale i pod względem wewnętrznego usposobienia, albowiem pszczoły stają się wówczas nader drażliwe, złe i skłonne do klucia.

Otóż niewątpliwie pszczoły spostrzegają nieobecność królowej. Ale zachodzi pytanie, w jaki sposób mogą to zauważyć i jaką drogą udzielają jedne drugim wiadomości, iż ul został osierocony? Czy nagły brak woni, wydzielanej przez królową, zawiadania je o tem? Trudno to przypuścić, albowiem przekonano się, iż woń królowej jest bardzo przenikliwa i udziela się w wysokim stopniu komórkom, jakoteż osobnikom roboczym, królowę otaczającym. Intensywność woni tej zmniejsza się wprawdzie stopniowo. Ale i w zwykłych warunkach jest ona bardzo zmienną, tak, że nie podobna przypuścić, aby już po upływie jednej godziny została przez cały rój zauważona różnica.

Otóż każdy, kto bliżej obserwował zachowanie się roju w takich okolicznościach, dojdzie do następującego wniosku, powiada Reepen: „Młode pszczoły, które zajmują się karmieniem potomstwa oraz królowej, spostrzegają nieobecność królowej po dłuższym lub krótszym przeciągu czasu i zaczynają usilnie szukać, wkrótce niepokój ich udziela się całemu towarzystwu, pszczoły dochodzą do świadomości, iż królowa znikła, a spokojny brzęk przeobraża się w donośny ton zawodzący.“

Ze woń może tu odgrywać bardzo ważną rolę, tego dowodzą pewne fakta, jak np. ten, że pszczoły nie dostrzegają przez bardzo długi czas braku królowej, skoro ta będzie rozgniewiona i zabita, ale ciało jej pozostanie w ulu. Natomiast są inne fakta, dowodzące, że tą drogą nie da się wytłumaczyć spokój lub zaniepokojenie pszczoł, że same bodźce węchowe nie są zdolne wywołać szeregu odruchów, jak twier-

dzi Bethe, które można-by wziąć za wyraz niepokoju z powodu utraty królowej.

A mianowicie, jeżeli królową będziemy trzymali na uwięzi w małej klateczce wewnątrz ula, to pomimo, iż woń jej ciała może wówczas zupełnie bez przeszkody działać jako bodziec na inne pszczoły, występuje jednak pośród nich po pewnym czasie silne zaniepokojenie, ze wszystkimi charakterystycznymi objawami. Należy więc stąd wnosić, że niewątpliwie tylko najbliższej królowej znajdujące się pszczoły poznają brak jej, a reszta zawiadomiona zostaje o stracie za pośrednictwem poszczególnych dźwięków, które zaczynają wydawać naprzód bezpośrednio zaniepokojone osobniki, a z kolei cały rój.

„Nie ulega tedy dla mnie wątpliwości—powiada wzmiankowany autor—że pszczoły porozumiewają się wzajemnie za pomocą dźwięków. Dźwięk „radości“ zwabia towarzyszy lub uspakaja ich, natomiast żałośny dźwięk zawodzący niepokoi całe towarzystwo“.

Butten - Reepen odróżnia jeszcze rozmaite inne rodzaje dźwięków u pszczoł, służące, jego zdaniem, do porozumiewania się, np. wabiący ton rojących się pszczoł, kwakanie królowej, dźwięki bojaźni u królowej i t. p. Ciekawe są spostrzeżenia, co do dźwięków, które autor ten opisuje, jako „Tüten und Quaken der Königinnen“. A mianowicie, gdy pierwszy rój ze starą królową opuścił ul, mija w zwykłych warunkach 9 do 11 dni, zanim następny rój wyleci. Otóż na dzień lub dwa dni przed wylotem tego roju daje się słyszeć w ulu szczególny koncert, który w czasie cichych wieczorów jest słyszalny często w odległości dwóch kroków.

Jest to właśnie owo „Tüten und Quaken“ młodych królowych, które rywalizują z sobą. Gdy mianowicie jedna z tych ostatnich, najwcześniej wykluta, krążąc po nad komórkami, zawierającymi jej przysze rywalki, wydaje donośny dźwięk „thüt“, „thüt“, wówczas najdojrzsze z zasklepionych odpowiadają jej krótkim, głębokim „quak“, „quak“. Koncert ten odbywa się bez przerwy godzinami i całymi dniami.

Co do dźwięków, mających wyrażać obawę, to autor nasz przytacza następujące, bardzo ciekawe spostrzeżenie.

Jeżeli wprowadzamy obcą królowę do osieroconego (czyli pozbawionego własnej) ula, wówczas najbliższej się znajdujące pszczoły napadają ją, kłuszą i kłują. Królowa szybko ucieka, wydając szczególne, charakterystyczne dźwięki, które całe towarzystwo wprowadzają w stan najwyższego pobudzenia. Można-by wprawdzie przypuszczać, że jest to działanie bodźca węchowego, albowiem królowa każdego ula wydaje pewną specyficzną woń, ale oto doświadczenie

wykazuje, że obca królowa, ukryta w klatce i przeto nie narażona na prześladowanie, nie wzbudza wcale niepokoju w ulu, albowiem nie wydaje owych dźwięków „obawy“.

Nader interesujące są też spostrzeżenia, które dowodzą, że pszczołom jest właściwa władza pamięci, a mianowicie posiadają one pamięć miejsca.

Wiadomo, że pszczoły, rozlatując się z ula, powracają do niego ze znacznych nawet odległości. Otóż Bethe objaśnia to na swój sposób, mówiąc: „pszczoły doprowadzone zostają do ula przez jakąś zupełnie nieznaną siłę.“

Siła ta nie tkwi w samym ulu, nie wiecie ona pszczoł właściwie do ula, lecz do miejsca w przestrzeni, w którym ul zwykle się znajduje. Owa siła, doprowadzająca pszczoły do danego punktu na ziemi, gdzie znajduje się ul, nie działa na nieograniczoną odległość. Bartnicy wiedzą oddawna, że ul można przenieść na inne miejsce, bez obawy aby pszczoły powróciły na dawne miejsce, skoro nowe położenie ula odległe jest od dawnego tylko o 6 km. Wynika stąd, że siła ta działa najwyżej na 6 km., albowiem popęd do powracania ku ulowi jest najsilniejszy ze wszystkich innych popędów pszczoł. Sądzę jednak, że nie należy przyjąć kręgu o 6 km. średnicy, lecz tylko o 3 lub 4 km., jako pole działania siły“.

Co to jest owa „nieznana siła“ Bethego? Czy wprowadzenie tej nowej niewiadomej wyjaśni nam cokolwiek bądź? czy należy odrzucić hipotezę dotychczasową, a mianowicie, że pszczoły kierują się pamięcią przy powracaniu do swego ula, a w jej miejsce prowadzić hipotezę nową o „nieznanej sile“. Takie „tłómaczenie“ zjawisk biologicznych jest ludzeniem samego siebie. Pod tym względem głęboką prawdę wypowiedział prof. August Weismann: „Nie należy wogóle uciekać się do nowej, nieznanej siły przy objaśnianiu zjawisk przyrody, zanim nie zostanie dowiedzione, że siły dotychczas znane nie wystarczają do ich objaśnienia“.

A ponieważ pszczoła odbiera wrażenia węchowe, wzrokowe i inne, dlaczegoż więc nie mamy przypuszczać, że do pewnego stopnia zachowuje ona w pamięci owe wrażenie i kieruje się nią przy odszukiwaniu miejsca, w którym się ul jej znajduje. Dlaczego mamy przypuszczać, że pszczoła powraca do swej siedziby dzięki jakiejś innej sile, niż np. gołąb pocztowy? A właśnie co do tego ostatniego wykazano w nowszych czasach, że niewątpliwie odgrywa tu najważniejszą rolę pamięć, że dzięki jej gołąb orientuje się w locie. Prof. H. E. Zie-

gler ¹⁾, mówiąc o oryentowaniu się gołębi pocztowych, powiada: „na podstawie wszystkiego, co czytałem i słyszałem o gołębiach pocztowych jestem zdania, że oryentowanie się ich zasadza się jedynie na władzy pamięci i że zbytecznem jest przypisywać im jeszcze jakiś zagadkowy zmysł kierowniczy“.

„Jeżeli gołębie wypuszczone zostają daleko od swej siedziby, w miejscowości, w której nie mają żadnych punktów oparcia dla oryentacyi, wówczas obierają sobie rozmaite kierunki, a część błąka się. Stowarzyszenia nie lubią wypuszczać gołębi w takich nieprzygotowanych miejscach i w znacznej odległości, albowiem wówczas ginie zawsze mniejsza lub większa ilość dobrych gołębi“. „Hodowcy tresują gołębie w określonych dystansach, przenosząc stopniowo w jednym i tym samym kierunku na coraz większe odległości.“ Skoro więc gołębie można tresować i nauczyć czegoś, muszą one posiadać władzę pamięci, która może się u nich potęgować i ćwiczyć w pewnym kierunku.

Otóż dla czegoż nie mamy przyjąć, że i pszczoły kierują się pamięcią, powracając do siedzib swoich. Tak gołębie, jak i pszczoły, wypuszczone na wolność, gdzieś zdala od zwykłej siedziby, zataczają w pewnej wysokości koła, szukając jakby kierunku, który mają sobie obrać.

Że i pszczoły obdarzone są zapewne władzą pamięci, dowodzi tego fakt następujący. Jeżeli mianowicie oszołomimy je przez chloroform, eter, pary saletry lub t. p., wówczas zniknie u nich pamięć miejsca zupełnie i na zawsze. Po otrzeźwieniu mogą one być przeniesione do każdego ula i nie latają do tego miejsca w przestrzeni, w którym znajduje się ich zwykła siedziba. Nie znają już więcej rodzinnego gniazda, ani też miejsca, w którym się ul ich znajduje.

Zapomniały one oczywiście wszystkiego, co wiedziały. „Zwierzę zaś—mówi Buttell-Reepen—które może czegoś zapamiętać, musiało coś pamiętać. Wspomnienia zatarły się. Widzimy więc, że „siła nieznana“ jest identyczna z pamięcią miejsca, która składa się z całego szeregu wspomnień (Erinnerungsbilder). Należy wszelako zauważyć, że niegdyś ogłuszone pszczoły przyzwyczajają się z czasem do nowej siedziby, do której zostały przeniesione, a dzięki całemu szeregowi nowych wspomnień, powracają już stale do tej ostatniej ze swych wypraw po nektar, pyłek itp.

¹⁾ H. E. Ziegler „Die Geschwindigkeit der Brieftauben“ „Zool. Jahrbücher.“ 1879.

Przytoczone wyżej fakta przemawiają według B. Reepena za tem, że pszczoły nie są rzeczywiście automatami, „machinami odruchowymi“, lecz że obdarzone są pewnymi władzami psychicznymi. Butten-Reepen, doszedłszy do wniosku, że pszczoły tak przy oryentowaniu się, jako też przy innych czynnościach, wykazują doskonałą pamięć i że są zdolne do „zbierania doświadczenia, nabywania pewnych wiadomości, kojarzenia wyobrażeń i nawet porozumiewania się“, zadaje sobie naiwne pytanie, czy posiadają one świadomość (Bewusstsein), i dochodzi do przekonania, że albo nie mają wcale świadomości, albo też obdarzone są nią w niskim bardzo stopniu. Popelnia on tu tę samą niekonsekwencyę, co i inni liczni pisarze, niezdający sobie sprawy z tego, co to jest świadomość. Można bowiem wybrać jedno z dwojga, to jest, albo przyjąć, że zwierzę nie odbiera żadnych wrażeń, że jest machiną odruchową w znaczeniu teorii Bethego, albo że odbiera wrażenia i kojarzy je, ergo odznacza się świadomością, gdzie niema bowiem świadomości, tam brak wszelkiego życia psychicznego. Mówić o nieświadomej czynności psychicznej, to jakby przyjmować martwe życie. Reepen, Haekel i inni, przyjmujący „nieświadome czynności psychiczne“, pojmują zapewne przez wyraz świadomość i zdolność osobnika zastanawiania się nad swemi czynnościami psychicznymi, i zdolność dokładnego zdawania sobie z nich sprawy, oraz analizowania ich. A wszak jej nie posiada także niemowlę, lub dziecko, które jednak odbiera również wrażenia, i u którego odbywa się kojarzenie wyobrażeń.

Inny ze wspomnianych wyżej badaczy, Eryk Wasmann S. J., krytykuje „teorię machin odruchowych“ na podstawie spostrzeżeń nad obyczajami mrówek.

Ponieważ Bethe twierdzi, że dopiero u wyższych zwierząt, na przykład u małp, można zauważyć w życiu zbiorowem czynności rozumne, działania, będące wynikiem rozwagi, doświadczenia i t. p. u zbiorowo zaś żyjących owadów wszelkie czynności społeczne są odruchowe, bez żadnej świadomości wykonywane, Wasmann stara się naprzód wykazać wielkie podobieństwo pomiędzy różnymi objawami życia społecznego u mrówek i u zwierząt wyższych. Podobieństwo to przemawia za tem, że nie można w inny sposób tłómaczyć istoty tych objawów u mrówek, aniżeli u zwierząt wyższych.

Tak naprzykład wiadomo, że u małp napotykamy stowarzyszenia osobników, których zadaniem jest wspólne ostrzeganie przed niebezpieczeństwem, wspólna obrona, wspólna ochrona stowarzyszonych, wspólne zdobywanie pokarmu, a niekiedy wspólne napadanie zdobyczy. Ten sam cel mają stowarzyszenia mrówcze. „Jakkolwiek u nich — mówi Wasmann — celem głównym jest wspólne wychowywanie

potomstwa, to jednak i owe inne cele poboczne nie tylko nie są wyłączone, lecz nawet w jeszcze doskonalszym stopniu bywają spełniane i osiągnane przez mrówki, aniżeli przez zwierzęta wyższe. Na to jednak, że mały ze świadomością celu, czyli z inteligencyą spełniają owe zadania, mrówki zaś bez świadomości celu, czyli czysto instynktowo czynią to, na to ani Darwin, ani Espinus, ani Ziegler, ani żaden inny nowoczesny uczoney, zajmujący się psychologią zwierząt, żadnego nie ma dowodu“.

Albo naprzykład wyższe zwierzęta, żyjące w stowarzyszeniach, wyświadczają sobie wzajem różne drobne przysługi. Krowy naprzykład oblizują jedna drugiej miejsca na skórze, gdzie dokucza świerzbie, mały wyszukują sobie nawzajem pasorzytów zewnętrznych i t. p. Podobne przysługi wyświadczają sobie mrówki te samej kolonii. Jeżeli się obserwuje mrówki w wygodnie urządzonych gniazdach sztucznych, to jest takich, w których owady czują się najzupełniej swobodnymi, a obserwator może dobrze przypatrywać się ich działaniom, wówczas można dostrzedz tysiączne objawy takich drobnych przysług, wzajemnie sobie przez mrówki wyświadczanych. W słynnych swych obserwacyach nad życiem mieszanych kolonii mrówczych, Wasmann podaje liczne bardzo przykłady odnośne. Oto naprzykład widzi leżącą spokojnie robotnicę z gatunku *Formica sanguinea*, którą „obmywają“ towarzyski, a mianowicie należące do trzech gatunków mrówek (*Formica sanguinea*, *Formica rufibarbis* i *Formica fusca*); towarzyski oblizują starannie nieruchomą mrówkę, obracając ją bardzo ostrożnie z jednej strony na drugą. Obmyta i oczyszczona, podnosi się następnie i udaje się w drogę z przyjaciółkami. Bez różnicy wyświadczają sobie podobne przysługi robotnice wszystkich pięciu gatunków mrówek, hodowanych przez Wasmanna we wspólnym gnieździe sztucznym; oblizywane mrówki należą to do gatunku panów, to niewolników, a zarówno też bez żadnej różnicy gatunki pańskie i niewolnicze spełniają rolę czyścicieli względem towarzyszy. Można przytem zauważyć, że sama czynność oblizywania sprawia pewne zadowolenie mrówkom, podobnie jak krowy znajdują przyjemność w oblizywaniu towarzyszek, a mały z satysfakcją poszukują pasorzytów u swych sąsiadek, i znajdowane owady z wielkim spożywają apetytem (Wasmann).

Wszystkie te czynności są wynikiem instynktowego popędu do zachowywania czystości ciała, właściwego większości zwierząt.

Wzajemne dopomaganie sobie i wzajemne usuwanie różnych dolegliwości daje się zauważyć u wielu zwierząt towarzysko żyjących, wyższych i niższych. Mały naprzykład wyciągają jedna drugiej igły i kolce ze skóry, po przebyciu ciernistych gąszczu, w których łatwo

się pokluc. U mrówek wzajemne wspomaganie się w wyższym jeszcze stopniu jest rozwinięte, często bowiem sięga tak daleko, że osobniki okazują pieczołowitość względem zranionych, lub chorych towarzyszy, jak to twierdzi Wasmann na podstawie własnych spostrzeżeń. A podobne fakta zauważył również prof. A. Forel.

„Opiekowanie się choremi u mrówek wydaje mi się czemś tak zadziwiającem,—mówi Wasmann,— że nie chciałem prawie w to uwierzyć, zanim się sam o tem nie przekonałem. Po raz pierwszy miało to miejsce 16 marca 1895 roku. Mrówkę gatunku *sanguinea*, która przez wytrysk kwasu mrówkowego w wąskiej rurce szklanej była sparaliżowana i zaledwie poruszać się mogła, przenieśliem za pomocą szczypczyków z gniazda obserwacyjnego do głównego. Z początku zdawało się, że przechodzące obok towarzyszki żadnej na nią nie zwrócą uwagi i zostawią ją w spokoju. Wkrótce jednak zaczęły ją badać różkami i przenieśli do innego oddziału gniazda, gdzie zebrana była większa część mrówek. Tutaj chora przeleżała cały dzień, otoczona znaczną ilością panów i niewolników (gatunku *fusca*), którzy się nią zajmowali po większej części jednocześnie; starannie ją oblizywano, obracano na drugą stronę i znów oblizywano, później badano różkami i ponownie oblizywano. Wynik kuracyi był zupełny. Chory osobnik był następnego dnia całkowicie wyleczony, gdy tymczasem bez owej opieki byłby zapewne zginął, jak to zwykle obserwowałem na mrówkach, oszołomionych przez jad“.

Zwierzęta wyższe, towarzysko żyjące, wyświadczają sobie ważniejsze jeszcze przysługi. Tak naprzykład wilki i niektóre inne drapieżniki polują gromadnie i pomagają sobie wzajemnie przy napastowaniu zdobyczy. Pawiany z rodzaju *Hamadryas* odwalają wspólnie ciężkie kamienie, by z pod nich owady wylawiać i t. p. Zwierzęta towarzyskie bronią się też wzajemnie. Otóż to, co powiedziano wyżej o ssakach, stosuje się w jeszcze wyższym stopniu do mrówek, a nie można przeto twierdzić, jak to przyjmuje Ziegler, aby życie towarzyskie wilków, pawianów lub innych małp bardziej się zbliżało do gromadzkiego życia ludzi, aniżeli życie zbiorowe mrówek.

Liczne bowiem gatunki mrówek uganiają się również gromadnie za zdobyczą, zwłaszcza *Formica sanguinea* i *Formica rubicunda*, czerwone mrówki amazońskie (*Polyergus rufescens* i inne), jako też wszystkie gatunki rodzaju *Eciton* i *Anomma*. Wyprawy wojenne mrówki krwistej (*Formica sanguinea*) bywają przedsiębrane zwykle w małych oddziałach, złożonych z dwudziestu do pięćdziesięciu robotnic, i mają na celu rabowanie gniazd innych gatunków, których larwy, poczwarki i osobniki dorosłe bywają porywane i zanoszone do siedzib rabusiów, gdzie służą za pokarm, lub też wychowywane bywają na nie-

wolników (poczwarzki robocze gatunków niewolniczych: *Formica fusca* i *rufibarbis*). Podczas tych wypraw można zauważyć u mrówek „indywidualną“ (Wasmann) pojedynczych osobników, podobnie jak u zwierząt wyższych. Jakże często możemy widzieć w naszych lasach mrówki, ciągnące wspólnymi siłami do gniazda jakiegoś wielkiego owada, lub robaka.

Zwłaszcza interesujące jest współdziałanie i podział pracy pośród mrówek, tworzących mieszane kolonie. Tak naprzykład Wasmann podaje, że w jednym gnieździe obserwacyjnym, w którym oprócz mrówki krwistej (*Formica sanguinea*), żyły jeszcze cztery inne gatunki mrówek, osobniki wszystkich pięciu gatunków w ten sposób podzieliły pośród siebie zajęcia, że każdy gatunek wykonywał przeważnie pewne czynności, oczywiście, związane z usposobieniem danego gatunku; wszelako mrówki wszystkich gatunków zajmowały się też w miarę potrzeby i innymi pracami, mającemi na celu dobro całego ogółu, wspólne zamieszkującego gniazdo.

Zestawiając wyniki porównawczego badania życia towarzyskiego mrówek i zwierząt wyższych, dochodzimy z Wasmannem do następujących wniosków. Towarzystwo małe i innych wyższych kręgowców polega na instynktach społecznych, przez które istoty te współdziałają ku wzajemnej ochronie, wspólnej obronie i w części ku wspólnemu zdobywaniu sobie pokarmu. Współdziałanie to polega w mniejszym, lub większym stopniu na doświadczeniu zmysłowym, oraz „afektach zmysłowych“ pojedynczych osobników. Zupełnie takie samo współdziałanie, ale jeszcze zupełniejsze, bardziej celowe i różnorodniejsze, znajdujemy w społeczeństwach mrówczych. I tu polega ono na instynktach społecznych, które, stosownie do wielkośćności ustrojowej, rozmaicie są rozłożone na różne klasy (kasty) społeczne, czyli grupy osobników. W obrębie tych klas panuje jednak nadzwyczajna samodzielność i różnorodność działalności indywidualnej „ze względu na udział zmysłowego doświadczenia i afektów zmysłowych u pojedynczych osobników“.

Doskonałość społecznego współdziałania u wyższych ssaków nie może się nawet mierzyć z tem, co widzimy u mrówek. U tych ostatnich dotyczy ona bowiem nie tylko wspólnej ochrony, obrony i wspólnego zdobywania pokarmu, lecz nadto jeszcze wspólnej budowy mieszkania, wspólnego wychowywania młodych, oraz zajmowania się wszystkimi wogóle istotami, należącemi do społeczeństwa. Samo zdobywanie pokarmu przedstawia u mrówek nadzwyczajnie różnorodne objawy, obejmuje bowiem hodowlę istot, odgrywających niejako rolę bydła domowego (mszyce), polowanie (naprzykład na owady), rabunek (rabowanie poczwarek mrówczych z innych gniazd), uprawę roli (mrów-

ki, zbierające ziarna z roślin, specjalnie przez nie uprawianych), ogrodnictwo (mrówki, uprawiające pewne pleśnie) i t. d. Wyprawy wojenne niektórych gatunków mrówek służą nietylko do zdobywania środków pożywienia, lecz i do chwytania niewolników, przyczem zdobywcy niewolnicy, należący do określonych, obcych gatunków mrówek, zostają następnie zaliczeni do członków państwa i wspólnie wychowywani. W ten sposób powstają niezmiernie interesujące tak zwane mieszane kolonie mrówcze, złożone z przedstawicieli kilku gatunków, wspólnie w jednym gnieździe żyjących i wyświadczających sobie wzajemne przysługi. To złożone życie społeczne komplikuje się jeszcze w wysokim stopniu przez to, iż w gniazdach przebywają zazwyczaj tak zwani goście, to jest chrząszczyki różnych gatunków, lub inne owady obce, traktowane przez mrówki jak członkowie rodziny, tak, że nawet ich potomstwo wychowywane bywa przez mrówki zarówno z ich własnem. Wszystko to dowodzi, że mrówki tworzą najdoskonalsze ze wszystkich społeczeństw zwierzęcych.

Bethe i niektórzy inni biologowie, nie mogąc przypuścić, ażeby owady, zajmujące o tyle niższe stanowisko na drabinie ustrojów od zwierząt kręgowych, a zwłaszcza ssaków, przewyższały je pod względem intelektualnym, doszli do wniosku, że ich czynności społeczne są zupełnie innej natury, aniżeli towarzyskie działania wyższych zwierząt, że pierwsze są tylko o d r u c h a m i, ostatnie zaś należą już do sfery czynności psychicznych, intelektualnych. Wasmann natomiast stara się wykazać, że istnieje najzupełniejsza analogia pomiędzy jednemi i drugimi, że instynkta społeczne mrówek przewyższają nawet instynkta towarzyskie najwyższych zwierząt ssących, że nie podobna zatem uważać obu rodzajów objawów za różne zasadniczo, za nienależące do tej samej kategorii zjawisk psychicznych. Ale tu zjawia się dla Wasmanna poważna bardzo trudność. Przez niego samego, jak i przez wielu innych badaczy zdobyte fakta przemawiają za tem, że mrówki, skoro mamy je uważać nie za maszyny odruchowe, odznaczają się wysoko rozwiniętymi władzami intelektualnemi. Lecz na to Wasmann zgodzić się nie może. Zapatrywania jego, jakoby istniała przepaść pomiędzy władzami intelektualnemi zwierząt i człowieka, zapatrywania, przeciwko którym przemawiają tysiączne fakta z dziedziny psychologii porównawczej, były mocno skrytykowane przez profesora Forela, profesora C. Emerego, profesora E. Krausego i innych najwybitniejszych współczesnych biologów.

Fakta jednak, nagromadzone przez Wasmanna, stanowią z drugiej strony ważne argumenta przeciwko teorii Bethego, który wpadł w inną ostateczność, tłómacząc wszystkie objawy intelektualne

u zwierząt bezkręgowych za pomocą teorii machin odruchowych. Spór ten toczyć się będzie zapewne jeszcze dopóty, dopóki istnieć będzie pytanie, gdzie kończą się działania wyłącznie odruchowe, w których nie biorą udziału wyższe ośrodki nerwowe, a gdzie zaczynają się właściwe czynności psychiczne. A że i tu chyba żadnej bezwzględnej granicy niema, bo sam odruch jest już najpierwszym elementem czynności ośrodkowo-nerwowych, krańcowa tedy teoria „machin odruchowych“, jak to już zaznaczyliśmy w poprzednim naszym artykule, musi w znacznej mierze kapitulować na korzyść teorii, upatrującej już w życiu społecznem owadów czynności kategorii psychicznej, intelektualnej.

PROFESOR DR J. NUSBAUM.

W dalekość.

Wychodzi ze mną roz tęskniona dusza,
I idzie kędyś na pszeniczne łany,
Gdzie duma smutnie przygarbiona grusza,
Gdzie na jeziorach wstają srebrne piany,
A wiatr wikliną nadbrzeżną porusza,
I szmer w niej jakiś podnosi harfiany,
I na swe drogi znów leci tułacze,
Przypada piersią do ziemi i płacze...

I idzie smutna na te łany żytnie,
Po których wichler chadza falą złotą,

Gdzie haber kwitnie i rumianek kwitnie,
 Gdzie ponad łąką srebrne mgły się plotą,
 Gdzie niezabudki kwitną tak błękitnie.
 I śnią o niebie swą modrą tęsknotą,
 A mgła co wije się blada i cicha,
 Wysysa wonie z barwnych ziół kielicha...

Gdzieś ponad jezior błękitne topiele,
 Kędy jaskółki śmigły lot swój wiodą,
 Gdzie czasem plusną srebrnej rybki skrzele,
 A mowy piersią śnieżą się nad wodą,
 Gdzie w trzcinach tańczą błękitne libele,
 Jako gołębi rój ponad zagrodą,
 Co krąży cichy nad strzechą słomianą,
 W jakieś ogromne jutrzeńkowe rano...

Idzie na dwory one modrzewiowe,
 Co w wieńcu topól zadumane stoją,
 Na owe łąki i na bory owe,
 Gdzie się motyle nad kwiatami roją,
 Gdzie wiatr z dębami prowadzi rozmowę,
 Idzie w tulaczą biedną drogę swoją,
 I patrzy tęskno, i wyciąga ręce,
 Jak ptak, co pręży skrzydła ku jutrzence.

I idzie ona cichą drogą polną,
 I idzie ona cichą leśną drogą,
 Idzie żalosa, rytmicznie i wolno,
 Jak ptaszę drżące zmęczeniem i trwogą,

Ale jej nigdzie tu stanąć nie wolno,
I nigdzie oczy jej spocząć nie mogą,
I tęskniąc do tych pól, co za nią stoją,
Idzie wciąż naprzód biedną drogą swoją.

.....

Otwórz, Janku!

Po szerokim, jasnym niebie
Wiatr poranny mgły przegania,
I sny moje, sny kochania,
Lecą z wiatrem w dal — do ciebie!

W blasku zorzy, co bór złoci,
Wśród kaliny wieją krzaków,
Lecą, płyną z pieśnią ptaków
Wśród kosaćców i paproci.

Jak motyli rój skrzydlaty,
Przeleciały bór daleki,
Przeleciały góry, rzeki,
Zapukały do twej chaty.

Otwórz, Janku, drzwi dębowe,
Otwórz, Janku, chatę twoją,
Sny kochania, sny tężowe,
Ponad chatą twą się roją.

Lśnią w złocistym słońca pyle,
Niby łzami, niby rosą,
I kochania tyle, tyle,
Do twej cichej chaty niosą!

Otwórz, Janku, wpuść tych gości,
Otwórz chatę twą odludną,
One niosą ci baśń cudną,
Rusańczaną baśń miłości.

Z temi gośćmi idzie słońce,
Idzie wiosna w czeremch wianku,
Idzie życie bujne, wrzące,
Idzie miłość, — otwórz, Janku!

Czy nie słyszysz ich tam, w górze,
Nad twą strzechą w słońcu złotem,
Jak w słonecznych pyłów chmurze
Biją w skrzydła sennym lotem.

Oj, zdaleka tu leciały
Te kochania mego posły,
One, Janku, szczęście niosły,
Do twej cichej chaty białej.

Aż sznurami skrzydlatemi
Na twą strzechę spadły... stają
Jak jaskółki, gdy wracają
Gdzieś z za morza — z cudzej ziemi.

Na twej strzesze w blasku świecą
I piosenkę cichą nućą.
Otwórz, Janku, bo odlecą,
Bo odlecą i nie wrócą.

W tym poranku jutrzeńkowym,
W czarodziejskim tym poranku,
Otwórz chatę snom tęczowym,
Snom kochania — otwórz, Janku!!

EDMA MIERZ.

PIŚMIENNICTWO.

„Prace filologiczne“, wydawane przez Baudouina de Courtonay, J. Karłowicza i A. A. Krzyńskiego. Tom V, zeszyt 3. Warszawa, 1899. (Str. 681 — 1,033).

Antoni Krasnowolski: „Słowniczek frazeologiczny“. Poradnik dla piszących. Wydanie z zapomogi kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1900.

Ukończono tedy tom V tego pożytecznego i jedyne go w swoim rodzaju polskiego wydawnictwa. Z tytułu tego tomu zniknęło jedno nazwisko, które nietylko na tem miejscu błyszczało, ale we wszystkich działach „Prac“ od artykułów dłuższych, aż do „Drobiazgów językowych“. Ś. p. profesor Malinowski, który był magna pars całego wydawnictwa, nie należy już do żyjących, a luki, po nim pozostałej, nie miał kto zapłacić...

Zeszyt ten ostatni wypełniają prawie w zupełności „Przyczynki do nowego słownika języka polskiego“, zebrane przez p. Hieronima Łopacińskiego, jako część II ogłoszonych już w tomie IV. Materiał

ten składa się: 1) z wyrazów gwarowych, osobiście przez autora słyszanych i zapisanych, i ze zbieranych przez inne osoby dla autora, zwłaszcza w okolicy Bychawy i Wąwolnicy (gubernii Lubelskiej); 2) z wyrazów powszechnie używanych, a w słownikach Lindego i Wileńskim niezamieszczonych; 3) z wyrazów technicznych, myśliwskich i rzemieślniczych i 4) z wyrazów gwarowych uczniowskich.

Całość imponująca (296 stron) przewyższa znacznie część I (100 stron) i to nie tylko objętością. Każdy pozyskany nowy wyraz porównał autor ze znaczeniem, w słownikach podanem (naturalnie, jeżeli wyraz już był znany), a co więcej, w publikacjach ludoznawczo-gwarowych, i w ten sposób przysparzając wiele ziarn do skarba narodowego, ułatwił zarazem pracę porównawczą przyszłym słownikarzom. Nie wątpimy też, że d-r Karłowicz zarówno do ogólnego, jak i do gwarowego słownika, przez siebie opracowanego, znalazł w tych przyczynkach znakomitą pomoc. Jednego tylko byli-byśmy sobie w tej pracy życzyli: objaśnienia niektórych zjawisk z pomocą czynników fizyologicznych i psychologicznych, coby pewnie autora wiele pracy i czasu nie kosztowało.

Pod tytułem: „Z dziejów średniowiecznego piśmiennictwa polskiego“, pomieścił d-r Stanisław Dobrzycki dwa przyczynki do wyjaśnienia pochodzenia: 1) pieśni postnej, przypisywanej błogosławionemu Władysławowi z Gielniowa; 2) fragmenta z „Życia Najświętszej Maryi Panny“. Pieśń postną, powszechnie za oryginalną poczytywaną, uważa autor za przekład z pieśni czeskiej, którą znalazł w „Przyczynkach“ Ferdynanda Menčíka, wydanych w Iieczynie w roku 1880. Była ona bardzo rozpowszechniona; błogosławiony Władysław z Gielniowa jedną z kopii rozszerzył i uzupełnił, i tym sposobem powstała długa pieśń postna.

Fragment z „Życia Najświętszej Maryi Panny“ podał Maciejowski w „Dodatkach“. Treścią jego jest opowiadanie o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Maryi Panny. D-r Dobrzycki przypuszcza, że jest przekładem z czeskiego języka, w którym się znajduje wierszowana legenda (wyd. przez Szafarzyka Czas. Muz. czes. 1855, a potem przez Tejfalika w „Studien“), oparta na apokryfach średniowiecznych. Zestawia tedy autor tekst grecki, łaciński i polski, i uważając apokryf łaciński za źródło opowieści polskiej, odmiany tłómaczy tłómaczeniem z czeskiego.

Niestety, ani co do pochodzenia pierwszego, ani co do drugiego zabytku, przedstawione argumenta d-ra Dobrzyckiego nie są dość przekonujące, mimo zręcznej dyalektyki w rzeczy o „Pieśni“. Znać, że autor obraca się na polu, sobie obcym; do pracy na niem potrzeba nierównie więcej erudycyi, niż jej młody autor posiadać może.

W dziale „Sprawozdań“ czytamy recenzję dzieła profesora Florińskiego: „Lekcyi po sławianskomu jazykoznaniju“, tom II. pióra tego samego d-ra Dobrzyckiego; niedokładności i błędy, zwłaszcza co do charakterystyki gwar polskich, wytknięte starannie przez recenzenta, można-by jeszcze znacznie pomnożyć i stwierdzić zawiedzione co do tego dzieła nadzieje.

„Wiadomości bibliograficzne“ wypełnił sam redaktor, profesor A. A. Kryński. Uznajemy pożyteczność tego rodzaju informujących uwag, dodanych do każdego tytułu, ale dla „Prac filologicznych“ nie powinno to wystarczać. Jeżeli jaki dział, to bibliograficzno-krytyczny powinien być traktowany możliwie szeroko i dokładnie: dzieła większej wartości radzi-byśmy mieć fachowo i szczegółowo omówione, o mniejszych, lub nieudatnych, wystarczyłaby bibliograficzna notatka. Większości dzieł, zwłaszcza polskich, tu podanych, chcieli-byśmy mieć dokładny rozbiór, a spotykamy tylko notatkę, lub tytuł. Jesteśmy zupełnie świadomi trudności, jakie napotyka często dobra wola redaktora w pozyskaniu stosownych recenzentów, zwłaszcza, że staranne i prawdziwie naukowe recenzje wymagają więcej pracy i czasu, niż zestawienie surowego materiału, lub nawet napisanie artykułu, ale przy znanej zapobiegliwości i wytrwałości Redakcyi, może-by się dały i te trudności usunąć z pożytkiem wielkim dla rozwoju nauki polskiej. Pozwolimy sobie również zwrócić uwagę Szanownej Redakcyi na sposób sprawozdań, wprowadzonych z powodzeniem przez „Przegląd filozoficzny“. Mówimy o tak zwanych „autoreferatach“. Zastosowanie ich do dzieł i rozpraw filologicznych ułatwiałoby w wielu razach należyte zrozumienie celu autora i wyjaśniało jego metodę, bez mozolnego, a często nie wiodącego do celu „wyławiania“ tych sekretów z samego dzieła.

I jeszcze jedno, skorośmy się już o ulepszeniu „Prac“ rozpisali. Uważamy to oddawna, że uwzględnienie ruchu na polu językoznawstwa słowiańskiego (nie mówiąc już aryo-europejskiego) jest w „Pracach“ coraz mniejsze. Czujemy zwłaszcza brak uwzględnienia prac filologicznych czeskich. Jeden zapewne tego nie potrafi zrobić, ale jak dawna redakcyja „Wisły“ umiała wciągnąć współpracowników czeskich, nie wątpię, że potrafiła-by to i Szanowna Redakcyja „Prac“ i pewnie nie bez skutku.

Tyle życzeń, płynących z głębokiej zyczliwości dla publikacyi i uznania starań jej redaktora, ale zmierzających zarazem do rozwoju i udoskonalenia.

Dodajemy nakoniec, że jak każdy tom, tak i ten, zamyka dokładny wykaz wyrazów i nazwisk autorów, ułatwiający poszukiwania.

Frazeologia należy do tej części nauki o języku, która najlepiej cechuje jego indywidualność, odróżniając go nawet od najbliższych w rodzinie. Jest ona, możnaby powiedzieć, duszą języka; na niej to opiera się to poczucie poprawności językowej, które także „duchem języka“ nazywano. Są w niej szczegóły, których się nie można nauczyć, bo ich niema w żadnej gramatyce; trzeba je mieć we krwi, lub nabyć z lektury wyborowych pisarzy ojczystych. Słusznie też autor powyżej cytowanej książki podnosi znaczenie frazeologii, bo „na niej głównie oprze się w przyszłości znaczenia, czyli semazyologia“.

W miarę wpływów obcych, rozwoju latynizmów, gallicyzmów, germanizmów itp., język coraz więcej traci swój charakter; może pozostać cały skarb słownikarski — ciało, jeśli się zatraci poczucie—duch—język przestaje być sobą. Stąd to płynie z jednej strony usiłowanie szlachetnych mężów zachowania w języku owego ducha, stąd u ludzi dbałych o dobro pospolite odczuwanie potrzeby takiego „poradnika“, który-by przestrzegał przed błędnym, nie polskim zwrotem.

Wziąwszy książkę p. Krasnowolskiego do ręki, ucieszyliśmy się bardzo. A więc nareszcie! Będzie co wskazać pragnącym, będzie co podać w rękę uczącym się, najgorsza z najgorszych i najuporczywszych chorób znalazła środek zapobiegawczy. Im dalej jednak postępowaliśmy w studyum książki, tem większy ogarniał nas żal do szan. autora, że nam taki zrobił zawód. Nie, to nie jest to, czegośmy wszyscy oczekiwali.

Już z samej przedmowy „Od autora“ widać, że szan. autor inaczej, a naszym zdaniem, nie właściwie pojmuje frazeologię. Nikt od frazeologii nie żąda „objaśnienia niezrozumiałego wyrazu lub wzrotu“, bo to rzecz słownika, ale też nie może poprzestać na „nasuwaniu piszącemu odpowiedniego wyrazu, którego nie zna, albo na razie sobie przypomnieć i zastosować nie umie“. To drugie to tylko jedna i mała część zadania, jakie ma spełnić frazeologia.

To jednostronne i ciasne pojęcie frazeologii poszło prawdopodobnie stąd, że autor obrał sobie fałszywy punkt wyjścia: „podaję—piszę—frazeologię głównie przy rzeczowniku, przy czasownikach natomiast (!) wyliczam tylko słowa blizkoznaczące...“ Tymczasem—jak nie wątpię, i autorowi wiadomo—nierównie ważniejsze w zdaniu jest orzeczenie niż podmiot, a więc charakter zdania zależy w przeważnej mierze od słowa (verbum) a nie od rzeczownika; stąd poszło, że wszelkie

błędy przeciwko „duchowi“ języka mieszczą się prawie wyłącznie w t. zw. składni rzędu, tj. w tej części składni, która wyjaśnia naturę czasownika (przymiotnika) i przyimka włączeniu się z innymi częściami mowy.

Tu dopiero objawia się charakter języka, kiedy zestawimy te same myśli w dwu językach, widzi się zupełnie inne frazesy syntaktyczne! Tego jednak w omawianej książce napotykamy mało, mniej więcej ledwo w czwartej części, i to mimochodem przy niektórych czasownikach.

I tak np. otworzmy na chybił trafił książkę. Wzrok nasz pada na wyraz „lza“, gdzie czytamy:

„Ł z a. Łzy, gorzkie, gorące, krwawe, rzewne, rzesiste. Łzy wzbierają, tryskają, puszczają się z oczu; kręcą się (zakreśliły się) zabłysły, świecą komu w oczach; rzucają się, cisną się (do oczu); płyną, cieką, leją się; stanęły w oczach; padają (jak łrad); ćmią wzrok; dławią kogo; stoczyły się po twarzy. Zbiera się komu na lzy. Łzy wylewać, ronić; połykać, tłumić; komu wyciskać, ocierać. Łzami się zalać; płakać rzewnemi, gorzkiemi łzami; zrosić, skropić co łzami. Oczy zachodzą łzami (mgłą); głos nabrzmiął łzami. We łzach tonąć. Śmiać się przez łzy. Czysty, jak lza“.

Jest tu rzeczyc dużo, a niema frazeologii, a raczej jest jej część jedna. Przymiotników dodał autor do „lzy“, pięć, a czy nie można-by ich dodać jeszcze piętnaście? Doczegoż więc ma służyć ta „frazeologia“ przymiotników? Dalsze czasownikowe określenie „leż“ są przenośne lub proste, ale tego niema nigdzie zaznaczonego, tak jak przy ostatnim zwrocie, że to jest porównanie.

A wogólności czego się szukający, czy „początkujący“, czy starszy, czy „piszący“ z tego ustępu dowie, jakiego błędu uniknie, idąc za tym „poradnikiem?“ — Żadnego.

Otworzymy gdzieindziej: „usterka“.

„U s t e r k a. s y n. ob. błąd. Drobną usterka“.

I koniec. Czego się czytelnik dowiedział? że „usterka“ jest synonimem błędu, i że się mówi „drobna usterka“ A „mała usterka“ nie? Owszem; a „wielka usterka?“ także, a więc i inne przymiotniki można dodać do tego rzeczownika? Można. Więc po cóż to „drobna“.

Natomiast nadarzyła się autorowi sposobność zaznaczenia choćby w nawiasie, że skoro „ta usterka“ to dopełnienie l. mn. „usterok“ nie „usterk ó w“, jak się często czyta, i byłby tym małym dodatkiem ustrzegł piszącego od usterki.

Tymczasem autor główny nacisk położywszy na rzeczowniki traktuje obszernie synonimikę. I w tem stojąc niżej od ś. p. biskupa

Krasińskiego. że nie podaje przykładów z autorów. Zapewne, że synonimy grają wybitną rolę we frazeologii; ale nie są wszystkim. Dla nich nie wolno zapominać o rzeczach ważniejszych i nie tylko w nawiasach należało podawać tu i owdzie: „germ., gall., rusyc.“, ale błędy te traktować szeroko i oprzeć twierdzenia na przykładach.

Niestety, brak przykładów jest najsłabszą stroną pracy autora. Rozumiemy, do jakich rozmiarów doszła-by książka, gdyby tylko mieściła przykłady wzorowe; ale tu nie chodzi o zestawienie wszystkich (te może zachować sobie autor), ale o wybranie z nich najwłaściwszych. Gdzie niema przykładów, tam się musi wierzyć na słowo autorowi, a to nie dobrze.

Oprócz synonimów szeroko traktuje autor wyrazy cudzoziemskie, wyjaśniając je swojskimi. Czy to należy do frazeologii? Już ciż w pewnej części tak, ale w takim razie należy do niej wszystko. A jeżeli się objaśnia wyraz obcy, trzeba dobrze się zastanowić, czy nie jest to wyrazem pojęcia innego, niż to które budzi wyraz polski. I tak np. „ranga=stopień“ to nie jest równoznaczne; podobnie „rebelia=bunt“. A co to jest „strefa“?—„gorąca, umiarkowana, zimna s y n. pas“. I to wszystko.

Wiele znajdujemy wyrazów polskich podanych z prostym objaśnieniem, jakkolwiek podług przemowy autor tego czynić nie chciał.

Oto parę przykładów, przelotnie wybranych:

C h l u b a syn. zaszczyt (?).

G n ę b i ć syn. ciemnieć, nękać, uciskać.

M y l i ć się, omylić się; syn. ob. oszukać się.

N i e u r o d z a j n y syn. jałowy, niepłodny.

Ależ to synonimy!—Dobrze. Wszak objaśniać wyraz można tylko synonimem, czy ja pomiędzy te wyrazy dam s y n. czy =.

Autor „Składni języka polskiego“, posiadającej tyle zalet, miał do dyspozycyi materiał frazeologiczny w przykładach, ale go nie wyżył. Dał nam zamiast słownika „frazeologicznego“ słowniczek synonimów i wyrazów obcych. Szanujemy każdą pracę, więc i tej do pewnego stopnia nie odmawiamy pożytku, niech nam jednak autor wybaczy, że nie znaleźliśmy w niej tego, czegośmy szukali, a do czego upoważniał nas tytuł.

Dr Zofia Daszyńska-Golińska „Własność rolna w Galicyi“. Studium statystyczno-społeczne. Warszawa 1900 w 8-ce str. 65 i dwie mapki. Nakładem autorki.

W kraju, o tak wybitnie rolniczej fizyognomii, jak Galicya, jest rzeczą oczywistą, że kwestya rolna pierwszorzędne ma znaczenie. Te lub owe hasła polityki agrarnej stanowią zasadniczą podstawę tworzenia się stronnictw politycznych, te lub owe postulaty agrarne stanowią oś, około której obraca się cała walka o władzę społeczną i o wpływ społeczny.

Sprawa ta wywołała też bardzo liczną, jak na stosunki galicyjskie, literaturę. Wybitniejsze w niej stanowisko zajmie niewątpliwie rozprawa p. Daszyńskiej. Nie dlatego, jako-by fakta przez szan. autorkę przytoczone były nowe, bo faktów nowych obecnie żaden statystyk prywatny nie przytacza.

W części statystycznej autorka wskazuje też tylko na znany już z prac prof. T. Pilata zupełnie nieodpowiedny układ własności ziemskiej w Galicyi, gdzie połowa własności tabularnej należy do 161 właścicieli zaledwie, prowadzących przeważnie gospodarstwo leśne, właściwa zaś własność większa po za latyfundiami stanowi zaledwie trzecią część (33%), w tej własności tabularnej. Obie zaś te kategorie razem zajęły tak olbrzymią przestrzeń, że na własność tabularną średnią i małą zostaje zaledwie 17 morgów na 106. Własność włościańska zajmuje zaledwie 59.35% całego obszaru rolnego. W ostatnich latach trzydziestu przestrzeń ta wzrasta o 410,764 morgi, czyli o 37. Pomimo to przecież, średni rozmiar zagrody włościańskiej spadł w roku 1892 do 44 morgów. Tembardziej godne to uwagi i tem mniej korzystne dla kraju, że wartość produkcji rolniczej w Galicyi jest znacznie niższa, niż wartość produkcji rolniczej w innych krajach austriackich.

Co do rozwoju kultury rolniczej, to rozwój ten postępował w kierunku zależnym bezpośrednio od wzrastającej ilości posiadaczy ziemi i zmniejszania się obszaru zagrody włościańskiej. Nie był on wszakże bynajmniej korzystnym. A jednak—mówi autorka—mamy w Europie przykłady, że wielkie rozdrobnienie własności prowadziło do tak intensywnej kultury, iż całe okolice we Francyi, w Baden-skiem, w Wirtembergii (a także w Belgii, o czem autorka wszakże

nie wspomina). przemieniła się w ogrody i pola roślin handlowych, a zamożność wzrastała szybko. Aby osiągnąć podobne rezultaty, musiała-by wszakże Galicya zmienić system swojej gospodarki. Uprawa czysto rolnicza staje się prawie niemożliwą przy rozdrobnieniu własności włościańskiej, tembardziej, że każda posiadłość rozpada się na wielką ilość parcel, które nie dochodzą często do 40 sążni, tak, że nawet na mapach katastralnych trudno je oznaczyć. Obok utworzenia taniego a dostępnego kredytu, w kierunku dalszego wydoskonalenia kas gminnych, zwłaszcza obok kommassacyi, której szerokie w praktyce stosowanie bardzo było-by pożądanem, potrzeba przedewszystkiem rozpowszechnienia uprawy ogrodniczej i sadowniczej. Chłop francuski pod względem rozwoju umysłowego nie stoi wyżej od chłop galicyjskiego, choć przewyższa go zasobem wiadomości technicznych, które przy staraniach i pracy i u nas dadzą się rozpowszechnić. Otóż wieśniak francuski jest właściwym wytwórcą nasion, które w wielkiej liczbie rozsyła po Europie. Należało-by dalej zwrócić uwagę na przetwory owocowe i warzywne. Do rozpowszechnienia tych i innych gałęzi ogrodnictwa konieczną jest pomoc kraju i towarzystw ogrodniczych. Zorganizowane i wytrwałe usiłowania w postaci szkół ogrodniczych, nauki ogrodnictwa w szkole ludowej, sadów i ogrodów wzorowych, jakie-by mogły powstać u nauczycieli lub na gruntach gminnych, rozrzucanie broszur i pisemek itp., skierować-by mogły włościan na tę nową, a tak odpowiednią dla nich drogę. Natomiast bardzo gorąco, choć tylko na razie, oświadcza się autorka przeciw wszelkim projektom, dążącym do ograniczenia dowolności dzienienia gruntów włościańskich.

Projekt p. Daszyńskiej, podniesiony ubocznie lub nawiasowo już przez prof. T. Pilata w pracy o emigracyi podolskiej, zasługuje niewątpliwie na baczną uwagę, choć nie ma może tak doniosłego i uniwersalnego prawie znaczenia, jak zdaje się sądzić autorka. Jak w wielu innych sprawach, tak i w sprawie reformy agrarnej strzedz się bowiem należy wszelkiej jednostronności, która, wobec niezmierniej komplikacyi wszelkich stosunków społecznych, zupełnie jest niewłaściwą.

DR ZYGMUNT GARGAS.

Kronika miesięczna.

Trzy lata istnieje w Warszawie Pogotowie ratunkowe, a już zdążyło dobrze zasłużyć się społeczeństwu.

Z ogłoszonego świeżo sprawozdania za czas od dnia 22 lipca 1897 roku dowiadujemy się, że w chwili obecnej Towarzystwo liczy 764 członków. Jest to bardzo mało i świadczy, że społeczeństwo nie rozumie jeszcze dobrze potrzeby popierania instytucji, dla siebie przeznaczonych, aczkolwiek ocenia ich pożytek i łatwo przyzwyczajają się do korzystania z ich usług.

Oto kilka cyfr, dotyczących w tym względzie Pogotowia:

W okresie sprawozdawczym wezwań ogółem było 16,315, z których przypada na godziny dzienne 12,007, na godziny zaś nocne 4,308.

Wypadków zachorowań nagłych było 4,437, między temi największej epilepsji i histeryi.

Wypadków chirurgicznych było 9,912, między niemi rano dnoża klutych i ciętych 1,910, postrzałowych 58, ran tłuczonych, stłuczeń i zmiążdżeń 6,112, oparzeń 376, złamań kości 1,137, zwichnięć 294.

Porodów na ulicy było 104, przypadków obłąkania 59, zmarłych 310.

We wszystkich wypadkach powyższych pomoc udzielona była szybko i sprawnie. Do jakiej sprawności doszła organizacja Pogotowia, mieliśmy tego dowód w dniu smutnej katastrofy na kolei Wiedeńskiej. kiedy-to lekarze Pogotowia pierwsi znaleźli się na miejscu wypadku, i nie jedno może ocalili życie, przybywając w porę ze środkami opatrunkowemi.

Dalo to assumpt prasie codziennej do potępienia organizacji ratunkowej drogi żelaznej Wiedeńskiej, i rzucenia projektu wejścia Zarządów dróg żelaznych w stosunek stały z Pogotowiem. Projekt ten jest atoli niefortunny, bo Pogotowie przeznaczone jest dla Warszawy przedewszystkiem, i jeżeli może poza obrębem miasta działać, to tylko na przestrzeni nieznaczej. Jak obecnie, katastrofa wydarzyła się pod Włochami, w odległości czterech zaledwie wiorst od stacji głównej, a niemal że w obrębie stacji towarowej kolei Wiedeńskiej, łatwo więc było z jednej strony sygnalizować wypadek, a z drugiej przybyć Pogotowiu na miejsce w ciągu niespełna pół godziny. Gdyby jednak ta sama katastrofa przypadła na wiorst 50, 100 i t. d., najspężystsza organizacja Pogotowia warszawskiego nie mogła-by iść w zawody z przestrzenią, którą, bądź co bądź, przebyć trzeba.

Zarząd drogi, korzystającej z usług Pogotowia, telefonem zawiadomił-by je o wypadku. Lekarze w ciągu kilkunastu minut znaleźć-by się mogli na dworcu, i stąd dopiero wyprawieni-by zostali pociągiem sanitarnym na miejsce wypadku. Przejazd, niesienie pomocy i powrót zajęły-by kilkanaście godzin czasu, a może i dobę, przez którą Warszawa pozbawiona była-by pomocy doraźnej, ponieważ zaś już w obecnych stosunkach pomyśleć się to nie da, bo każda doba dostarcza kilkudziesięciu poważniejszych wypadków, więc podobna organizacja ratunkowa wymagała-by podwojenia, lub potrojenia, służby lekarskiej w Pogotowiu. Przypuściwszy nawet, że wynikły stąd wydatki kilkudziesięciu tysięcy rubli pokryją opłaty dróg żelaznych, co im się w żadnym razie opłacić nie może, bo będą musiały obok tego utrzymywać dzisiejsze oddziały sanitarne, Pogotowie nie będzie mogło współzawodniczyć z niesieniem pomocy na wszystkich liniach zbiegających się w Warszawie kolei, aż do ich stacyi krańcowych z lekarską służbą oddziałową, która w znacznej większości wypadków wcześniej przybędzie na miejsce.

Słuszną na to uwagę zwraca jeden z lekarzy kolei Wiedeńskiej w „Kuryerze Warszawskim“, popierając wywody swoje przykładem, że jeżeli, dajmy na to, wypadek z pociągiem zdarzy się pomiędzy Skierniewicami, które są siedzibą III oddziału lekarskiego, a Piotrkowem, gdzie przebywa stale oddział IV, to, zgodnie z obowiązującymi przepisami, oba te oddziały jednocześnie wyruszą na miejsce katastrofy, i mowy być nie może, aby wcześniej od nich przybyło Pogotowie warszawskie, choćby najlepiej zorganizowane i na każde wezwanie kolei gotowe.

Sprawa stałego stosunku kolei z Pogotowiem przedstawia się zatem w ten sposób, że, przyczyniając się w pewnym stopniu do utrzymania i rozwoju tej instytucji, będą one z usług jej korzystały o tyle, o ile nie stanie na przeszkodzie zbyt znaczna odległość od Warszawy. Podobnie jak wspiera dziś Pogotowie kolej Wiedeńska, wspierać powinny i drogi inne: Petersburska, Nadwiślańska i Terespolska. Poza tem zaś zorganizowanie służby ratunkowej pozostawić należy Zarządowi dróg żelaznych, które, niewątpliwie, acz smutnem dopiero nauzone doświadczeniem, nie będą szczędziły wydatków, ażeby organizację tę postawić na wysokości potrzeb.

Główną rzeczą będzie tu łatwość uruchomienia personelu lekarskiego, pociągi bowiem sanitarne zawsze stoją w pogotowiu, i na pierwsze wezwanie ruszyć mogą.

Lekarze kolejowi, jak wiadomo, nie poświęcają całego swojego czasu obowiązkom kolejowym, zajmują bowiem poza tem posady lekarzy fabrycznych, szkolnych i t. d., oraz trudnią się wolną praktyką. Wyszukanie ich przeto i wezwanie niemało zajmie czasu. Jeżeli katastrofa zajdzie w godzinach, w których funkcjonują tak zwane ambulatorya, wówczas pół biedy; jeżeli zaś w godzinach popołudniowych, lub nocnych, to wprost niepodobieństwem będzie znaleźć i zawiadomić o wypadku choćby kilku lekarzy, zwłaszcza, że służba ruchu nie posiada nawet pod ręką adresów mieszkań lekarskich.

W rozwiązaniu kwestyi organizacyi „Pogotowia kolejowego“, nasuwają się przeto przy takim stanie rzeczy dwa postulaty:

1-o. Ambulatorya nie powinny się znajdować na mieście, jak to jest dotychczas, ale w obrębie stacyi głównej, lub w bezpośredniem jej sąsiedztwie. Poza godzinami urzędowemi powinien w nich zostawać na dyżurze przynajmniej jeden lekarz i jeden felczer, za osobną, prócz zwykłej, stałej pensyi, dopłatą od godziny dyżuru.

2-o. Mieszkania wszystkich lekarzy kolejowych powinny mieć obowiązkowe połączenie telefoniczne ze stacją główną.

Pociągnie to za sobą zwiększenie wydatków na służbę zdrowia, ale ułatwi kolei w znacznym stopniu jej uruchomienie.

Obowiązek społeczny i zrozumienie własnego interesu w organizacji takiej powinny być myślą przewodnią. Nie sądzimy też, aby którykolwiek z Zarządów dróg żelaznych nie dołożył wszelkich starań do pomyślnego załatwienia kwestyi Pogotowia ratunkowego, przynajmniej na stacjach głównych, przedewszystkiem zaś oczekujemy tego od kolei Wiedeńskiej, która umiała sobie pozyskać największe zaufanie publiczności, i zapewne nadal utrzymać je w równym stopniu pragnie. Katastrofa w dniu 13 lipca niech będzie dla niej bodźcem do pracy szybkiej i wydatnej w tym kierunku.

Nauka nasza, która tworzyła się i tworzy pod wpływem Zachodu, nie zdołała dotychczas wytworzyć dla żadnej ze swoich gałęzi dobrej polskiej terminologii.

Jedna może matematyka posiada terminy rdzennie i szczerze polskie, dobrze oddające pojęcia i miłe dla ucha, jak łuk, cięciwa, promień, różniczka, całka, potęga, pierwiastek i t. d.

Nauki przyrodnicze, medycyna, chemia, fizyka, zoologia, botanika, posługują się już znaczną ilością wyrazów obcych, nad których usunięciem próżno łamią sobie głowy ludzie fachowi.

Obecnie sprawa tak stoi, że, jak słusznie powiedział ktoś o chemii, nie ma ona jeszcze w kraju swojej historyi, jako nauka, ale ma już historję polskie słownictwo chemiczne, splątane dziś do tego stopnia, że chemik warszawski nie rozumie dobrze chemika z Galicyi, lub z Poznańskiego.

Podobnie rzecz stoi i z nazwami technicznymi, z tą różnicą, że nad ich spolszczeniem i ujednoczeniem pracowano dotychczas mało.

Życie przemysłowe, które tak gorączkowo rozwija się w wieku naszym, wysunęło na plan pierwszy nauki techniczne. Każdy niemal rok przynosi nowe wynalazki w dziedzinie techniki, daje nowe maszyny, nowe zastosowania sił nowych, wymaga całego szeregu słów nowych dla oddania pojęć, dotychczas człowiekowi obcych. Kują się wyrazy w wielkiej międzynarodowej kuźni nauki z najszlachetniejszych metalów łaciny i greczyzny i w takiej postaci w świat idą, przedstawiając nieraz dziwaczne połączenie i trudne do oddania dźwięki. Znane są powszechnie dwudziestokilkosylabowe terminy uczonych niemieckich, trudne do przyswojenia, lecz, niestety, znane

są także obok tego krótkie i zwięzłe wyrazy obce, nazwy rozmaitych narzędzi, przyrządów, maszyn i ich części składowych, które, wzięte z języka obcego, przyjęły się i w powszechne weszły użycie. Walka z wyrazami tej kategorii jest daleko pilniejsza, aniżeli z temi, które wchodzą do słownictwa *par excellence* naukowego i służą nielicznej tylko stosunkowo garści ludzi. Wyraz obcy staje się niebezpiecznym dla języka dopiero wtedy, kiedy przechodzi do masy. Termin techniczny obcy nie przynosi językowi szkody, dopóki nim się posługuje inteligentny inżynier, ale skoro termin ten przejdzie do ust robotnika i w dodatku zostanie przystosowany do jego zdolności wymawiania, odpowiednio sfonetyzowany i, rzecz naturalna, przekrecony — wówczas zaśmieca już język i powinien być z niego usunięty.

Sprawę usuwania takich terminów załatwić trudno, i jedyną odpowiednią do tego drogą jest wytworzenie dobrego słownictwa technicznego polskiego, którem-by posługiwać się mogła zarówno nauka teoretyczna, jako też i jej praktyczni pracownicy. Jeżeli polskim terminem posługiwać się będzie inżynier, to ten sam termin przejdzie od niego do robotnika i łatwo się przyjmie w masie.

Ale wytworzyć takiego słownictwa nie może jeden człowiek. Potrzeba do tego sił zbiorowych, współdziałania wszystkich, pracy wytrwałej kilku nieraz pokoleń.

Tę pracę rozpoczęła u nas właśnie redakcja „Przeglądu technicznego“. W 5-tym numerze pisma tego z roku bieżącego, czytaliśmy ogłoszenie o konkursie z zakresu słownictwa technicznego. Obecnie mamy już plon i rozstrzygnięcie tego konkursu.

Ze obudził on zainteresowanie znaczne w odpowiednich sferach, świadczy, że nadesłano prac 84, obejmujących różne działy techniki.

Z pośród tych prac nagrodę główną, rubli 200, przyznano pp. St. Nakielskiemu i S-ce w Łodzi. Autorowie nagrodzeni otrzymali również i nagrodę dodatkową (rubli 10) za jeden wyraz.

Nagrody takie, za wyrazy oddzielne, przyznane także pp. Teodorowi Blockowi z Brudowa w Kaliskiem, Karolowi Bończa Szukiewiczowi ze Lwowa, profesorowi Tadeuszowi Fidlerowi ze Lwowa, Hipolitowi Chwalibogowi z Mysłowia w Siedleckiem, Aleksandrowi Kossurnowi z Warszawy, d-rowskiemu Fr. Krękowskiemu ze Lwowa, Władysławowi Skwarczyńskiemu ze Lwowa, W. Szretterowi z Moskwy i Adamowi Trojanowskiemu z Myszkowa w Piotrkowskiem.

Konkurs taki to początek — i jeżeli ma przynieść rezultaty dodatnie, mowę naszą oczyścić i wzbogacić — powinien mieć ciągłość.

Technicy nasi nie należą do ludzi ubogich i łatwo im będzie zgromadzić fundusz, którego odsetki były-by obracane na nagrody. Fun-

dużym tym zawiadywać powinna redakcja „Przeglądu Technicznego i stale ogłaszać konkursy w odstępach rocznych.

Z przytoczonego powyżej wykazu nagród widzimy, że sprawą słownictwa technicznego obok techników interesują się i językoznawcy zawodowi, jak dr Krček. Liczniejszy zastęp wciągnąć do tej pracy i wspólnymi siłami rozpalać coraz szerzej zamięrowanie do zastępowania wyrazów obcych swojskimi, — oto zadanie dla tych, co już dzisiaj stanęli do apelu.

Wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego ogłasza konkurs naukowy z ofiary p. Hipolita Wawelberga na prace w zakresie dziejów ludności żydowskiej.

Nagród ustanawia się dwie: pierwszą w wysokości 600 koron, drugą 400 koron w. a.

Prace nagrodzone, wydrukowane kosztem funduszu konkursowego, zostają własnością autorów, a tylko 50 egzemplarzy ma być oddanych p. H. Wawelbergowi.

Jako nieprzekraczalny termin składania prac w dziekanacie Wydziału filozoficznego Uniwersytetu lwowskiego ustanawia się dzień 30 września 1901 roku.

W bliższym określeniu warunków, którym odpowiadać powinny nadesłane na konkurs prace, znajdujemy objaśnienie, że chodzi tu z jednej strony o zbadanie historyczno - porównawcze stosunku Rzeczypospolitej polskiej względem ludności żydowskiej, a mianowicie o uwydatnienie tych wyjątkowo sprzyjających, w porównaniu z innymi państwami, warunków wyższej tolerancji religijnej i politycznej w Polsce, które spowodowały wyjątkowe skupienie się ludności żydowskiej w obrębie Polski, a zarazem o wyświetlenie zarówno dodatnich, jako też ujemnych wyników takiego skupienia się, tak dla kraju, jako też dla rzeczonyj ludności. Z drugiej zaś strony chodzi o historyczne zbadanie wewnętrznego rozwoju ludności żydowskiej w Polsce, pod względem jej organizacyi wyznaniowej, administracyjnej, sądowniczej, podatkowej i t. p., jej rozsiadlenia się i ogniskowania po rozmaitych częściach kraju, jej zajęć i zawodów, szkolnictwa, pojęć religijnych i społecznych, przedewszystkiem zaś o wyświetlenie jej stosunku do całości i oddzielnych warstw i stanów narodu polskiego,

do krajowych spraw gospodarczych i politycznych, oraz oddziaływania na nią polskiej kultury krajowej w obyczajach, tradycjach, języku, stroju i t. p.

W szczególności chodzi o historyczne zbadanie wzajemnego stosunku pomiędzy krajem, a ludnością żydowską w okresie dziejów nowoczesnych, to jest, jaki był względem niej stosunek rządu, prawodawstwa i opinii publicznej polskiej w dobie Wielkiego Sejmu, Księstwa Warszawskiego, Królestwa kongresowego, aż do reformy Wielopolskiego włącznie; oraz, jaki był stosunek tejże ludności względem odpowiednich przesileni krajowych i jaka jej rola w czasach pomiędzy onemi przesileniami.

Chodzi również o zbadanie polityki trzech rządów: rosyjskiego, pruskiego i austriackiego wobec ludności żydowskiej ze szczególnem uwzględnieniem doby Mikołaja I i Aleksandra II, Fryderyka II i Fryderyków-Wilhelmów II i III, Józefa II i ks. Metternicha. *Tulej zaś przedewszystkiem zależy na wyjaśnieniu wpływu owych działań każdego z trzech rządów na wyodrębnienie się typu żyda galicyjskiego, poznańskiego, litewskiego i kongresowego z pierwotnego typu żyda polskiego, pod względem kulturalnym, gospodarczym i politycznym, mając na uwadze wyniki tego procesu dla spraw krajowych w każdej odpowiedniej działości.*

Podkreślamy to, jako rzecz nową, w dotychczasowych pracach z zakresu historii żydów w Polsce nieporuszaną i otwartą dla licznych jeszcze badaczy.

Dodać należy, że prace konkursowe nie są w niczem krępowane, ani pod względem swojego punktu wyjścia i wniosków, ani też pod względem rozmiarów. Mogą zajmować się wykładem stron bądź dodatnich, bądź też zgoła ujemnych w stanowisku dziejowo-politycznem ludności żydowskiej w Polsce. Mogą to być większe dzieła i krótsze rozprawy, muszą tylko nosić charakter ściśle źródłowy i naukowy. Mogą zresztą obejmować bądź całość przedmiotu, bądź też którąkolwiek jego część, a nawet w szczególności są pożądane opracowania monograficzne, dotyczące bądź pewnego okresu, bądź pewnego oddzielnego zjawiska, to jest pewnego zagadnienia historyczno-politycznego, historyczno-prawnego, historyczno-ekonomicznego, historyczno-statystycznego, lub historyczno-kulturalnego pewnej prowincyi, pewnej wydatniejszej gminy, pewnego aktu prawodawczego i t. p. w zakresie dziejów ludności żydowskiej w Polsce. Obok opracowań w równej mierze są dopuszczane w tym samym zakresie wydawnictwa dokumentów, aktów, wiadomości historyczno-statystycznych i t. p. przyczynków źródłowych, wydanych sposobem naukowym, to jest opatrzonych w stosowną przedmowę i objaśnienia krytyczne.

W końcu nadmieniamy, że konkurs ten ma na celu zachęcenie do studyów historycznych sił młodych, obok bowiem studentów uniwersytetów lwowskiego i krakowskiego, tudzież młodzieży akademickiej polskiej, przebywającej na innych uniwersytetach, konkurować mogą tylko ci badacze przeszłości narodowej, którzy w przeciągu ostatnich lat pięciu. to jest nie później, jak w roku 1895 studia uniwersyteckie ukończyli.

Prace konkursowe winny być pisane w języku polskim. Mogą być rękopiśmienne, bądź takie, które ukazały się w druku w ciągu upłynionego roku konkursowego.

Nie wątpimy, że konkurs ten znajdzie oddźwięk i u nas. Praca, nad tego rodzaju tematami, jak wyłuszczone powyżej, zachęcająca jest zwłaszcza dla prawników. Młodzież nasza prawnicza tak mało pracuje naukowo, tak odlogiem zostawia niwę badań historycznych, że ją pod tym względem znacznie wyprzedzili prawnicy lwowscy i krakowscy. Tym razem powinna jednak i ona stanąć do apellu. Gruntowna wiedza prawnicza będzie tu doskonałym przewodnikiem w badaniach. Dobry historyk musi dziś posiadać przynajmniej elementarną znajomość prawa, bo się inaczej powikła zupełnie przy napotkaniu pierwszej kwestyi historyczno-prawnej, a nie uniknie jej. pracując nad „dziejami ludności żydowskiej w Polsce“. Prawnik natomiast bardzo łatwo zostać może historykiem, bo posiada metodę badań i krytycyzm, które przy pracy i umiłowaniu jej przedmiotu muszą go do pewnych, niechwiejnych wniosków doprowadzić.

Zadzwoniono u nas na alarm. Prasa podniosła sprawę grożącego nam braku księży. Ilość kandydatów do stanu kapłańskiego zmniejsza się z każdym rokiem. Oto cyfry, dotyczące seminarjum warszawskiego: w r. 1893 liczyło ono 127 uczniów, w r. b. tylko 97. Obecnie zapisało się tam 16 nowych kandydatów, z których jednakże tylko 8-iu okazało dostateczne przygotowanie. Nie lepiej rzecz się przedstawia i w seminarjach: kieleckiem, plockiem i sandomierskiem.

Gdzie są przyczyny tego zjawiska?

W „Słowie“ czytaliśmy niedawno gorący w tej sprawie artykuł, którego autor uderzył przedewszystkiem na zmateryalizowanie społeczeństwa dzisiejszego, które szuka w życiu nie już „chleba“, ale

„pasztetu“. Pogoń za pieniądzem, za zyskownem zajęciem oszołomiła wszystkich. Do stanu kapłańskiego młodzież garnie się niechętnie, bo nie zapewnia on jej takiego dobrobytu, jak handel np., lub przemysł. Dezercya odbywa się na korzyść szkół fachowych, które prędzej doprowadzają do pełnego złobu.

Takie mniej więcej jest rozumowanie autora powyższego artykułu.

Wątpić należy, czy w tem tkwi istotna przyczyna złego, złem bowiem jest niezaprzeczonem brak księży, którzy wobec ogromnej masy ludzi w naszym kraju mają do spełnienia obowiązek poważny i święty.

Ale ogólny brak kandydatów do seminaryów zależny jest od innych czynników, a najważniejszym z nich jest moralne wychowanie młodych pokoleń.

Młodzież uczy się dziś u nas wiele, lecz nie wychowuje się wcale. Kształcimy ją wyłącznie umysłowo, ale nie wychowujemy fizycznie, ani moralnie, nie dajemy jej żadnego ideału etycznego na drogę życia.

W takich warunkach reszty dokonywa już bardzo łatwo t. zw. „duch czasu“.

Obowiązek wychowania etycznego ciąży tymczasem, zarówno jak obowiązek nauczania, na rodzinie, na społeczeństwie i na szkole, jako instytucyi społecznej.

Dzisiejsza rodzina „mieszczańska.“ bez tradycyi, bez oparcia o życie duchowe, zajęta, albo walką o byt i gromadzeniem grosza, albo używaniem nagromadzonego majątku, etycznie wychowywać nie może. Całe jej zadanie i działalność polega na czasowem chronieniu małoletnich przed zgorzeniem.

W szkole ster wychowania moralnego spoczywa w ręce katechety. Program atoli szkolny wskazuje tylko suchy, dogmatyczny wykład religii. Dwie godziny tygodniowo poświęcone na ten przedmiot w żadnym razie wystarczyć nie mogą. Jeżeli odrzucimy święta i wakacje, przyjmniemy średnio 40 tygodni szkolnych w roku, to otrzymamy 80 godzin religii dla każdej klasy. Klas takich w gimnazjum jest 8, mamy więc ogółem 640 godzin religii w okresie nauki szkolnej. Przez te 640 godzin żaden ksiądz nie jest w stanie 30 lub 40 chłopców etycznie wychować, może ich najwyżej przesłuchać z zadanej lekcji.

W szkole więc wychowania etycznego młodzież nie odbiera.

A społeczeństwo?

Społeczeństwo nasze dotychczas także nie jeszcze w tym kierunku nie czyni.

Są u nas zaledwie jednostki, które marzą o jakimś ruchu etycznym na wzór tego, co się tworzy i dzieje za granicą, ale marzenia te nie przedarły się jeszcze przez mgły przedświtowe.

Jeżeli przeto nie mamy dzisiaj ludzi z powołaniem kapłańskim, to jest to przede wszystkim skutkiem braku odpowiedniego wychowania religijnego i etycznego. Tylko wychowanie takie może obudzić w młodzieży zapal i chęć do szczepienia wkoło siebie zasad i idei, które im dały równowagę w życiu, które się stały ich przewodnikami i karmią duchową. Wtedy znajdują się ludzie, którzy rozumieją znaczenie stanu kapłańskiego i oddadzą mu się chętnie, bez widoków na chleb, dostatek i beztroskę.

Idźmy za przykładem krajów innych. wytwórzmy wśród siebie silny, zdrowy prąd etyczny, wprowadźmy go do wszystkich dziedzin naszego życia, otoczmy się atmosferą podniosłych ideałów moralnych i w atmosferze tej wychowajmy młodzież, a zło grożące pierzchnie przed nami lub zmaleje do takich rozmiarów, że się z niem liczyć nie będzie trzeba.

Przypomnijmy sobie, jak się zaczął z niczego prawie ruch etyczny w Ameryce, jak się rozrósł i do jakich wpływów poważnych doszedł dzisiaj.

Przypomnijmy sobie, jak garść ludzi dobrej woli z prof. Adle-rem na czele, stawiała pierwsze kroki na tej chwastami porosłej ścieżynie, a jaką równą i szeroką drogą stąpa dzisiaj i ilu prowadzi za sobą.

Policzmy Towarzystwa etyczne w Anglii i zapoznajmy się z ich działalnością, zajrzyjmy do Francji, przeczytajmy doskonałą książkę p. Desjardins p. t. „Le devoir présent“, który tak silnie zaakcentował to, że można używać telefonu, a jednocześnie być barbarzyńcą, i do walki z barbarzyństwem wespół z innymi utworzył stowarzyszenie „Union pour l'action morale“. Spójrzmy na Włochy, które mają także swoje „Circolo etico sociale“, na Niemcy, Szwajcaryę, Skandynawię itd.

Uczyńmy to wszystko i rozważmy, czy zamiast biadać nad rozmaitemi brakami, nie lepiej wstąpić w ślady innych, budować i odbudowywać.

Gdyby księża nasi założyli w Warszawie Towarzystwo etyczne, szerzej oddziaływali na społeczeństwo, na rodzinę i na szkołę, w duchu wzniosłych i czystych prawd nauki Chrystusowej, gdyby urządzali dla młodzieży konferencye etyczne, zbliżali się do niej, nie jak nauczyciele, ale jak opiekunowie i przewodnicy z wyrozumieniem

wszelkich niepokojów i wątpień, które dziś tak wczesnie zaczynają umysły młode szarpać, zyskali-by sobie z pewnością niejednego adepta i wiernego towarzysza na później.

Dopóki jednak tego nie będzie, musimy utyskiwać na brak księży wogóle, a może przedewszystkiem i na brak dobrych księży.

Jesteśmy w pełni t. zw. Saison morte. Około 100,000 ludzi wyjechało z Warszawy, nad miastem rozpięła skrzydła swoje Nuda. Życie towarzyskie ustało. Ulica tylko tętni po dawnemu ruchem; czerni się tłumem przechodniów, turkoce powozami, rozlega nawoływaniem kolporterów „o krwawych zatargach chińskich“.

Kolporterzy ci, to drobiazg jeszcze, dzieci, które ledwie od ziemi odrosły, chłopcy od lat 7 do 10—12 najwyżej. Na ulicy się wychowują i z ulicy żyją. Lat temu kilka nie było ich jeszcze tyłu, ilu przewija się obecnie. Sprzedaż uliczna gazet rozwinęła się u nas bardzo, społeczeństwo dla zadośćuczynienia potrzebom swoim powołało do pracy cały zastęp roznosicieli. Rozmnożyli się--i już zaczęto na nich sarkać. Wystąpiono przeciw nim w imię moralności, bo chłopcy za bardzo dokazywali na ulicach: zabawiali publiczność chodzeniem na rękach, wywijaniem kozłów itd., demoralizowali się otrzymywaniem datków i naddatków, za śmiało i zbyt natarczywie napałowali pasażerów tramwajowych etc. Wywołało to specjalne rozporządzenia policyjne, które ogranicza wolność małych kolporterów i przedewszystkiem ustanawia minimum ich wieku. Nieletni, to jest nie mający lat 14 chłopiec nie może być już odtąd roznosicielem gazet.

Być może, iż uporządkuje to naszą kolporterję, da jej możność lepszego wyćwiczenia się, umiejętniejszego pełnienia obowiązków. Wyrostek 14—15-letni niewątpliwie z większą powagą spełni dane mu zlecenie, niż mały chłopczyzna, a przedewszystkiem nie będzie dokazywał.

Dobrej kolporterji potrzeba nam bardzo, potrzeba nam jej zorganizowania, po prostu stworzenia. Czekajmy więc, a może będziemy ją mieli.

Nie zdaje nam się jednak wcale, ażeby usunięcie małych chłopców od zajęć kolporterskich uchroniło ich od demoralizacji. Ulica

wielkiego miasta jest ściekiem, do którego dostają się wszystkie trucizny moralne—to prawda, ale czy od wpływów tej ulicy pozbawienie zajęcia roznosiciela zdoła go uwolnić? Przeciwnie, pozostanie on na ulicy i pozostanie na niej bez zatrudnienia i bez żadnej przed nikim odpowiedzialności za swoje postęпки. Wiadomą jest rzeczą, że pewna część dzieci warszawskich na ulicy żyje w ciągu lata i inaczej być nie może, bo ich bieda z domu wypędza. Jeżeli przeto pozbawiamy obecnie dzieci te możności zarobkowania nawet w tak prymitywny sposób, jak przez roznoszenie gazet, to pomyślmy o tem na seryo, co z nimi zrobić i gdzie je umieścić, żeby je nietylko przed demoralizacją uchronić, ale i opieką moralną otoczyć. Inaczej ulica robi z nich daleko pręcej gorsze jednostki, niż zrobiła-by, gdyby pozostali roznosicielami.

Czy jednak pomyślmy? „Saison morte“ nie usposabia do tego wcale.

Odbija się on na wszystkim, a w tym roku jest może bardziej martwym, niżeli w latach poprzednich.

Martwota owa ogarnęła i nasze pisma codzienne.

Dzienniki czytamy, bo czytanie ich stało się nalogiem, potrzebą; ale znajdujemy w nich tak mało rzeczy, wartych czytania, że po przerzuceniu telegramów i wiadomości bieżących, odkładamy pismo z zupełnem przświadczeniem, że nam ono nic nie przyniosło.

Tak rzadko spotykamy się w piśmie codziennem z artykułem treści ekonomicznej, społecznej, literackiej, że zdaje się, iż redakcyje pism dojść musiały do przekonania, że prenumeratorowie nie pragną takich artykułów, że potrzebom ich wystarcza ta właśnie treść, jaką im podają, treść bardzo mdła, zaprawiona od czasu do czasu sensacyjnem doniesieniem o zajściu pomiędzy p. X lub Y w ogrodzie, restauracyi, lub teatrze, o wynikłym stąd pojedynku, o zawałeniu się domu, katastrofie kolejowej i t. d. I wtedy wiadomość taka, zamiast notatki na zwykłym miejscu lub poważnego przedstawienia, jeśli ma charakter nieszczęścia społecznego, podaje się tu w formie szpaltowego artykułu, pisanego z zacięciem nowellistycznym. Najbliższą nieraz rzecz podnosi się w ten sposób do wyżyny wypadku dnia, o którym wiedzieć powinni wszyscy i wszyscy sąd swój o nim wydać. Tymczasem tyle jest kwestyi innych, o których głucho, tyle spraw, cisnących się pod pióro i wymagających światła.

Pominąwszy już całą dziedzinę życia społecznego, prasa ma obowiązek informowania nas także o tem, co się dzieje w świecie umysłowym—o sztuce, literaturze i nauce. Z tych zakresów spotykamy artykułów bardzo mało. Rozważań z zakresu sztuki poprostu unikają nasze pisma, o ruchu naukowym nie informują nas wcale, o nowych

książkach, które wychodzą—dowiadujemy się z notatek bibliograficznych lub kilkonastowierszowych wzmianek. Wytrawnych artykułów krytycznych coraz mniej, pojawiają się one coraz później i nie starają wcale sięgnąć w głąb życia duchowego. Jak „rari nantes in gurgite vasto”—zabłysną czasem felietony z pod piór lepszych, pisane z werwą i dowcipem, ale i tych coraz rzadziej, i na nich znać coraz bardziej trud i wymuszonność, robotę znużoną, dziennikarską.

Świadczyło-by to o ogromnym upadku u nas sił dziennikarsko-literackich, oraz o zupełnej nieudolności redakcyi zgrupowania dokoła pisma ludzi z talentem i wykształceniem.

Zdaje się, że jedno i drugie blizkie jest prawdy. Dziennikarz nasz jest do wszystkiego, pismo zapewnia się materiałem lekkim i tańszym, reporter w nim króluje, współpracownictwa piór tęższych i specjalnych nie szuka się wcale.

A przecież większość czytelników nie ubiega się w pismach li tylko za odpowiedzią na stereotypowe pytanie, co nowego? za sensacją i silnemi wzruszeniami, ale pragnie mieć wyświetlone w nich także te kwestye, których sama wyświetlić nie może.

Przy naszym ubóstwie, które tylko mniejszości pozwala na prenumerowanie obok dziennika pism innych, jednego przynajmniej tygodnika i miesięcznika, na kupowanie książek i informowanie się bezpośrednio o ruchu umysłowym, przy tem ubóstwie, które sprawia, że wydawnictwa książek poważnych leżą u nas latami na półkach księgarskich i potem sprzedają się antykwaryuszom za bezcen lub idą na makulaturę, prasa codzienna ma poważny obowiązek nauczania i nie może ona iść za przykładem tego, co dzieje się na zachodzie, gdzie ludzie prenumerują pisma specjalne i kupują książki, ale nieść powinna światło i wiedzę pod postacią odpowiednio dobranych, gruntownych artykułów społecznych, naukowych i literackich. Powinna ona mieć także na względzie prowincję, dla której Warszawa jest ogniskiem życia i która z niej czerpie wszystko dla zaspokojenia swych potrzeb.

Pisma nasze redagują się tymczasem specjalnie dla Warszawy i to dla pewnej kategorii jej mieszkańców, która żyje bardzo powierzchownie, zajęta jest pogonią za dobrobytem, a ze świata myśli skwitowała zupełnie. Wobec nich dziennik pojmuje się jako przedsięwzięcie mniej lub więcej korzystne, a nie jako placówka i zagon pracy obywatelskiej.

Saison morte niedługo się skończy. Miasto ocknie się i ożywi, wrzesień zgromadzi młodzież szkolną, ruch się wzmoże, będziemy mieli wyścigi jesienne i totalizatora, zapulsuje życie towarzyskie,

odświeży się repertuar teatrów, zaczną się w ślad za tem zabawy, rauty, five o'clock'i i t. d., ale oby się skończył także kiedyś i sezon martwy dla naszej prasy codziennej.

Towarzystwo żeglugi parowej na Wiśle pod firmą, M. Fajans, urządziło w r. b. kilka już wycieczek, które, nawet pomimo niezupełnie odpowiedniej pogody, cieszyły się powodzeniem u szerszej publiczności. Dość liczne grono turystów zwiedzało Płock, Czersk i Górę Kalwaryę, a zapowiedziane wycieczki w górę rzeki—do Sandomierza będą zapewne uwieńczeniem dotychczasowych w tym kierunku zabiegów nielicznej jeszcze garstki propagatorów wycieczek po kraju.

Z czasem zapewne zawiąże się u nas towarzystwo turystów i w całym społeczeństwie rozwinię się zamiłowanie do zwiedzania stron ojczystych. Ci, co po nas przyjdą, będą niewątpliwie lepiej znali kraj własny, niżeli my go znamy, a korzystając z licznych ułatwień, w młodym wieku będą mogli rozpoczynać po nim podróże.

Zanim to jednak nastąpi, może-by za przykładem p. Fajansa, poszły zarządy naszych dróg żelaznych i wyprawiały w ciągu lata po 2—3 pociągi specjalne dla turystów, chociaż-by tylko do główniejszych miast, przy ich linii położonych, podobnie jak kolej wiedeńska wyprawia pociągi odpustowe do Częstochowy.

Wśród mieszkańców Warszawy tylu jeszcze naliczyć można takich, którzy poza obręb miasta nie wyruszyli nigdy, którzy nie znają nawet żadnego miasta gubernialnego. Tymczasem miasta te, z wyjątkiem jednego Kalisza, mają dziś połączenie kolejowe z Warszawą, a i Kalisz otrzyma je niebawem. Nietrudno więc dostać się do nich.

Gdyby tak kolej wiedeńska zgodziła się na wyprawianie pociąga po cenach niżonych do Piotrkowa, który jako dawny gród trybunalski zasługuje na poznanie, i w porozumieniu z koleją fabryczno-lódzką, do Łodzi; kolej Nadwiślańska do Lublina, Petersburska do Suwałk i ku Łomży, Terespolska do Siedlec, Iwangrodzka zaś do Radomia i Kiele, to mielibyśmy ułatwione zwiedzenie 7 miast gubernialnych—i ze wszech miar ciekawej do zobaczenia Łodzi. Zostawał-

by tylko Płock, do którego można dojechać Wisłą, i Kalisz, który za trzy lata będziemy mogli oglądać swobodnie z łaski nowej kolei.

A ilu znalazło-by się chętnych do zwiedzania tych miast wśród młodzieżyszkolnej i uniwersyteckiej, tego dowodzić nie trzeba. Dla niedanego wydatek kilku rubli na kolej jest dziś przeszkodą, ale gdyby ta kolej zniżyła opłatę do 25 $\frac{1}{2}$, tak jak niegdyś placili za bilety studenci—pociągi dla turystów na brak frekwencji z pewnością-by nie narzekaly. Zresztą, powtarzamy, że idzie tu o 2—3 pociągi do roku, a najlepiej oczywiście w miesiącach letnich.

Może projekt ten znajdzie odgłos w sferach właściwych.

Wiadomości bibliograficzne.

— Dnia 28 czerwca b. r. odbyło się w Krakowskiej Akademii Umiejętności posiedzenie Kommissyi historii sztuki pod przewodnictwem profesora d-ra Maryana Sokołowskiego.

Przewodniczący na wstępie poświęcił gorące wspomnienie bolesnej straty, którą Kommissya poniosła przez śmierć swego wice-prezesa, ś. p. Władysława Łuszczkiewicza, tak czynnego i gorliwego współpracownika Kommissyi od początku jej istnienia, a zarazem jej założyciela.

W dalszym ciągu prof. Maryan Sokołowski zwrócił uwagę na bibliotekę katedry plockiej, o której cennych zbiorach daje wyobrażenie praca p. Matiasa Bersolna, a przede wszystkim na zapiski w kodeksie z XII wieku, odnoszące się do cudów, które w katedrze plockiej zdarzyły się w roku 1148. Cuda te rzucają światło na ówczesne stosunki, a głównie na postać biskupa plockiego, Aleksandra, tak wybitną i zasłużoną w dziejach naszej kultury, poczem przewodniczący przedstawił Kommissyi nową publikację tegoż samego autora:

„O iluminowanych rękopisach polskich“, poświęconą Uniwersytetowi Jagiellońskiemu z okazji pięćsetnego jubileuszu. Tenże przedstawił fotografie, nadesłane przez pana Janowskiego z Warszawy, zdjęte z kościoła i kolegiaty w Łasku, a zarazem ze znajdujących się w jej zbiorach zabytków. Są tam bardzo piękne kancyonały i antyfonarze, a niektóre ich karty zdobią herby Łaskich, oprócz tego złotnicze wyroby, z których na uwagę przedewszystkiem zasługują starannie i pięknie wykonane monstraneye. Ciekawą jest także misa brązowa z Brzeźnicy, z której fotografię również nadesłał p. Janowski.

Największy jednak budzi interes tablica crekeyjua kościoła w Lubrańcu, wystawionego przez Grzegorza z Lubrańca, kanclerza koronnego w ostatnich latach panowania Kazimierza Jagiellończyka, a ozdobionego przez jego wnuka, Jana, biskupa poznańskiego (1498—1520) herbu Godziemba, o której bliższą wiadomość i fotografię nadesłał Kommissyri dr Franciszek Chlapowski. Na tablicy tej widzimy, jak to podnosi profesor Piekosiński, rzadkie przedstawienie kanclerza z tłokiem pieczętnym, wiszącym na łańcuszku.

Profesor Maryan Sokołowski podał wiadomość o studyach zagranicznych uczonych nad księgami liturgicznymi XI i XII wieku, mieszczącymi się w czeskich i polskich zbiorach, a przedewszystkiem o zamierzonej przez czeską Akademię publikacyi miniatur, które te kodeksy obficie zdobią. D-r Swarzeneki nadesłał fotografie jednego z kodeksów ratsybońskich, które mają ten sam charakter, co sławny kodeks wyszehradzki w Pradze. M-r Lebner zaś przygotowuje wydanie tak kodeksu wyszehradzkiego, jak polskich kodeksów, jemu pokrewnych.

W końcu zwrócił profesor M. Sokołowski uwagę na miniaturę jednego z gradułów biblioteki kapitulnej krakowskiej, i wykazał, że mieści ona nie portret króla Kazimierza Jagiellończyka, przyjmującego posłów miast pruskich, jak twierdził Polkowski i jak dotychczas sądzono, ale jest kopią ryciny niemieckiej, przedstawiającej sąd Salomona, a wykonanej przez Franciszka von Roeholdt, czy też Israhela von Mekenen.

— „Dziejów ilustrowanych“, wydawanych w Wiedniu nakładem Franciszka Bondego pod redakcyą d-ra Ludwika Kubali, wyszły zeszyty od 341 do 364 włącznie, i zawierają: dalszy ciąg i dokończenie czasów średniowiecznych (tom II), oraz czasy starożytne (tom IV).

— „Prawo spadkowe Hebrajczyków i Indów“. Taki ma tytuł studyum, opracowane przez d-ra Stanisława Szachowskiego, nadzwyczajnego profesora Uniwersytetu lwowskiego i wydane we Lwowie.

— Interesujący przyczynek do naszego średniowiecza napisał dr Antoni Karbowski, pod tytułem: „Szkola katedralna krakowska w wiekach średnich“. Pracę tę wydała Spółka wydawnicza polska w Krakowie.

— Trzeci zeszyt „Przeglądu Filozoficznego“ wypełnia w większej części „Energietyka“, studjum, podpisane trzema nazwiskami: profesora d-ra H. Struvego, d-ra W. M. Kozłowskiego i d-ra J. Kodisową.

— „Biblioteki neo - scholastycznej“ D. Merciera wyszedł zeszyt 3-ci, mieszczący dalszy ciąg historii psychologii nowożytnej.

— Książd M. Godlewski, profesor seminarjum warszawskiego, wydał 9-ty zeszyt tomu I-go „Archeologii biblijnej“, opartej na ostatnich archeologicznych odkryciach na Wschodzie.

— Trzeci zeszyt miesięcznika „Wisła“ wyszedł z druku i zawiera: W. Makowskiego: „Dożywocie“; S. Udzieli: „Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego“; B. Bruelnalskiej: „Pieśni ludowe z pod Krzeszowic“; G. Smólskiego: „Z wycieczki na Mazowsze Pruskie“; M. Kueza: „Łupicha Kupiela“; W. Nałkowskiego: „Kronika geograficzna“; H. Łopacińskiego: „Rycerze przy grobie Chrystusa“; K. Radosławskiego: „Piosnki ludowe z Orońska“; A. Janowskiego: „Rysunki z piasku przed chatą“; R. Libentalowej: „Przesady żydowskie“; Wuka Stefanowicza Karadzicza: „Pieśni serbskie“; poszukiwania, sprawozdania, krytyki i przegląd czasopism.

— Jako oddzielna z pomienionego zeszytu „Wisły“ nadbitka wyszła rzecz o „metodyce aforystycznej“ przez M. Massoniusa i E. Majewskiego.

— P. Kazimierz Rakowiecki wydał broszurkę (odbitka ze „Zdrowia“) pod tytułem: „Mieszkania ludności wiejskiej“.

— „Rodzina Kruków“ (*Corvinae*) w mowie, pojęciach i praktykach ludu polskiego“ opracował Erazm Majewski przy współudziale Szczęsnego Jastrzębowskiego i d-ra Józefa Saneckiego. Jest to również odbitka z XIV tomu „Wisły“.

— W formie dodatku do „Przeglądu technicznego“ wyszło „Słownictwo polskie“ Antoniego Grabowskiego. Rzecz ta była przedstawiona w imieniu chemików warszawskich pod obrady IX Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie przez Bronisława Znatowicza, przewodniczącego Sekcyi chemicznej.

— Tom II „Pogańdek rolniczych“ na które składają się wykłady popularne, wygłoszone w sekcyi rolnej Warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, rozpoczął się od rozpraw „o uprawie łąk“. Broszura stanowi dodatek do „Gazety rolniczej“.

— Dr St. Ciechanowski napisał broszurkę pod tytułem: „Dżuma“, i przeznaczył dochód ze sprzedaży na cel dobroczynny.

— „Biblioteka dzieł wyborowych“ wydała pierwszy tom powieści historycznej Mikołaja Josika, z węgierskiego przez Antoniego Langego tłómaczonej, pod tytułem: „Ostatni Batory“ i Edmunda Planchut'a pracę, pod tytułem „Chiny i Chińczycy“ w przekładzie H. Michałowskiego.

— „Gazeta Polska“ pilnując się aktualności, drukuje również Ł. Barda rzecz o Chinach, pod tytułem: „Chińczycy u siebie“. Jest to tłómaczenie z franenskiego, wypuszczane tomami w serii dodatków bezpłatnych.

— Po zmarłym niedawno artyście scen: warszawskiej, krakowskiej i lwowskiej i byłym dyrektorze szkoły dramatycznej w Warszawie, Anastazym Trapszo, została książka, pod tytułem: „Podręcznik sztuki dramatycznej dla artystów i amatorów“, którą obecnie wydała Spółka wydawnicza polska w Krakowie. Jest to już drugie dzieło, poświęcone teorii i praktyce sztuki dramatycznej (mały tu na myśli książkę p. Mikulskiego); obie będą przedmiotem porównawczej oceny.

— Zeszyt VIII „Albumu sztuki polskiej“ zawiera dalszy ciąg seryi I, obejmującej „Wystawę retrospektywną“ 1898 roku, w opracowaniu Henryka Piątkowskiego. Zeszyt, podający reprodukcje obrazów i rysunków Łuskińy, Kondratowicza, Masłowskiego, Grottgera, Andriollego, Lipińskiego, Michałowskiego, Chlebowskiego, Kamińskiego i innych, nie ustępuje poprzedniemu pod względem tekstu i ilustracji. Jest to wydawnictwo, prowadzone z gustem.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

Michał książę Radziwiłł.